206

BRANKA LITEWSKA

OPOWIADANIE Z CZASÓW DAWNIEJSZYCH

PRZEZ

Michalinę Zielińską.

WARSZAWA.
Druk Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11.

1888.

Дозволено Цензурою.
Варшава 15 Апрѣля 1888 года.

I.

Smutno i powoli dźwigał się Kraków z toni nieszczęścia, gdy król Władysław Łokietek po raz trzeci w r. 1311 zasiadł na polskim tronie i zamieszkał na Wawelu z żoną Jadwigą Kaliską i dwojgiem dziatek, acz nie koronowany jeszcze i zwany księciem tylko. Po niedawnéj pogorzeli królewskiego zamku rozsiadł się już na jego szczętach dworzec dość wielki i trzy kościoły podniosły się na nowo, szybko, ale też z niezbyt trwałych ani kosztownych materyałów budowane; tylko obronne wały, otaczające cały gród na stromym Wawelu, potężne były i dobrze obwarowane. Bram strzeżono pilnie, tembardziéj, że sam pan rzadko tam odpoczywał w dworcu, zmuszony bezustannie walczyć z najezdcami po odległych granicach, broniąc swéj ziemi ze wszystkich stron szarpanéj przez Krzyżaków, Litwinów, Niemców, Czechów, Tatarów, i wewnątrz jeszcze rozerwanéj buntami i rozterkami, podniecanemi przez nieprzyjaciół, usiłujących z zamieszek tych korzystać. Sama Litwa przez ciąg jednego panowania księcia swego Witenesa ośm razy najeżdżała Polskę bez żadnéj do wojny przyczyny, jedynie dla łupieztwa tylko, zapuszczając się aż po Kalisz i Łęczycę w głąb kraju i uwo-

żąc mnóstwo nieszczęsnych jeńców; mniejszych najazdów trudnoby i zliczyć.

Po buncie wójta krakowskiego, Niemca Alberta, który pod nieobecność Łokietka wydawszy Szlązakom miasto rozkazał księżnie Jadwidze wynosić się precz z dziećmi z Wawelu, został Kraków następnie srogo ukaranym w osobach bogatych, osiadłych w nim mieszczan Niemców; Książe Łokietek za tę zdradę odjął im ważne przywileje. Smutek i upokorzenie miejskich panów odbijały się ponuro na całem mieście, zazwyczaj gwarnem i ruchliwem. Zresztą było to miasto złożone w większéj części z domostw nizkich i drewnianych, z pomiędzy których tu i owdzie wystrzelała czasem kwadratowa wieżyca, lub kamienica o wysokim dachu i kościoły; kościołów tych i klasztorów właśnie budowało się kilka, szeroko rozpościerając się z materyałami i różnemi przyborami budowy.

Sam tylko rynek krakowski, pomimo niedawnych smutnych wypadków, wrzał ruchem niewesołym ale gwarnym przy mglistym jesiennym poranku; ludzie jedni tłoczyli się do ratusza, mając tam sprawy jakieś u panów wójtów krakowskich, inni dążyli i cisnęli się do sklepów różnorodnych w kramach, które zbudowane podwójnym rzędem przez cały rynek, tworzyły na nim oddzielną niby ulicę; inni jeszcze krzycząc, aby im się usuwano, jechali wozami z towarem do ważenia na wadze miejskiéj, stojącéj przy ratuszu. Były też tu w pobliżu łaźnie, browary i piwnica tak zwana Ratuszowa, to jest gospoda, gdzie słynnem pokrzepiano się piwem,

a ludzie nie mniéj się do niéj cisnęli, jak do łaźni niezmiernie pod owe czasy uczęszczanych.

Cały ten gwar i ruch codzienny zwiększony był dziś jeszcze szczególniejszą okolicznością. Oto rozgadali ludzie, że przywieziono do Krakowa gromady nieszczęsnéj dziatwy, którą po ostatniem najściu Litwinów ludzie poznajdowali na ich drodze poporzucaną tu i owdzie w lasach i w polach. Litwin albowiem popaliwszy sioła, pomordowawszy ile się dało ludu i narabowawszy łupu, ile mógł nabrać, brał i starszych i dzieci w niewolę ile podołał, przywiązując po kilkoro na jednym koniu i uciekając potem co koń wyskoczy, przyczem nie jedno z konia spadłszy zaginęło, lub wysunęło się nawet czasem z rąk omdlonéj matki. Mnóstwo nieszczęśliwych takich dzieci umierało, ale inne bywały czasem po przejściu Litwinów znalezione przez litościwych ludzi, którzy docuciwszy się owego biedactwa i odżywiwszy je, brali za swoje, albo odwozili do miasta na rynek, aby tam wśród miejskiego zbiegowiska znaleźli się dla nich opiekunowie, a czasem i rodzeni rodzice, poszukujący porwanych dzieci. Taką to właśnie gromadkę przywieziono na rynek krakowski pewnego mglistego jesiennego poranku, i przeto ludzie, cisnący się gwałtownie do owych wozów, powiększali codzienny przedpołudniowy zgiełk na rynku. Co chwila rozlegało się płaczliwym głosem niewieścim wołanie powtarzane żałośnie:

— Puśćcie mię, ludzie, do dzieci, oj, puśćcie! może tam jest moje!... — i ciżba usuwała się z trudnością, dając przejście cisnącym się, a niezadługo płacz nie-

wieści i wykrzykniki żałosne dolatywały znów z pośrodka rynku, gdzie znajdowały się owe dzieci; kobiety szlochały, jedne użalając się nad dziećmi zbiedzonemi, inne płacząc, że nie znalazły swoich.

Zapamiętaléj niż inne i z większym jeszcze pośpiechem przedzierała się przez tłum już około południa szlachcianka jakaś, dosyć młoda jeszcze, ale okrutnie zmizerowana, odziana w dostatnią jubkę popieliczkami podbitą i czapkę, a na niéj chustkę jaskrawą. Była to chwila największego zgiełku na rynku, bo niektórzy rozchodzili się już i rozjeżdżali, zwiększając tem samem zamieszanie, a tymczasem szlachcianka owa przedzierała się gwałtownie, idąc na przebój, torując sobie drogę rękami co sił starczyło w mizernéj jéj osobie, zadyszana, oblana potem ze zmęczenia, z chustką opadłą z głowy na plecy, z oczyma wytężonemi ku środkowi placu.

— Ale, jejmość!... czekajże, jejmość!... — wołał barczysty, szpakowaty szlachcic, cisnąc się wraz z nią i usiłując osłaniać ją i torować drogę.

— Ale... będę czekać, a tam mi tymczasem kto dziecko zabierze... może już zabrali!... — odpowiedziała zadyszana i dążyła sił ostatkiem. I on dążył ile mógł, aż nareszcie dostali się na sam środek rynku, gdzie nagle stało się trochę swobodniéj i można było odetchnąć.

— Oj, dla Boga!.. — jęknęła szlachcianka, wyrwawszy się z ciżby i rozglądając.

— Zwolna! po jednéj, bo się podusicie, ludzie! Z rozkazu pana kasztelana! po jednéj! po jednemu

waszmoście przystępować macie do woza! — wołali pachołkowie kasztelańscy.

W pośrodku swobodnego miejsca stały dwa małe a ciężkie wozy takie, jakich zapotrzebowawszy, szedł owoczesny parobek, czy nawet i poważny kmieć z koniem i siekierą do lasu rano, a pod wieczór wyjeżdżał zeń na wozie, przez ten czas własnoręcznie zbudowanym. Nie musiało to być wygodne. Otóż na dwóch takich wozach sianem wysłanych siedziało lub leżało dziesięcioro zbiedzonych, nędznych i małych postaci; koń u jednego i drugiego wozu, stojąc z opuszczoną głową gryzł spokojnie garść porzuconego mu siana, parobek poprawiał uprząż powolnie, a niemłoda kobieta w sukmanie i z głową okręconą chustą, z dzbanem mleka w ręku, ulewając zeń po trochu do drewnianego kubka, krzątała się i podawała kubek do ust, to jednemu to drugiemu dziecku. Pachołków kasztelańskich kilku stało naokoło, w imieniu kasztelana nie dopuszczając ciżby i tylko kobietom wołającym, że swoich dzieci szukają, dozwalając przystępu do wozów.

Kasztelan rządził teraz miastem a nie wójt, jak dawniéj bywało przed buntem wójta Alberta, a że świeżo ten kasztelan rządzić zaczął, przeto porządek był wielki, pachołkowie ostro swe obowiązki spełniali, i koło wozów z dziećmi tłoku nie było wedle rozkazu kasztelańskiego, aby matki mogły swobodnie dzieci rozpoznawać. Szlachcianka skoczyła tedy do jednego wozu, potem do drugiego, zaledwo w tamten okiem rzuciwszy i znów do pierwszego się zwróciła i napowrót do drugiego bieżała, jakby rozum tracąc, bo od razu

spostrzegła, że ani w jednym, ani w drugim jéj dziatwy nie było. Ale mimo to szukała jéj gwałtem, nie chcąc uwierzyć własnym oczom, które jéj mówiły, że ostatnia nadzieja, jaka ją tutaj przywiodła, zniknęła teraz i przepadła. Biedne matczysko porywało dzieci jedno po drugiem na ręce, przyglądając im się z blizka, jakby przypuszczając, że się mylić może, a nieszczęśliwe sierotki, odurzone wrzawą i tułactwem długiem już może, i temi oględzinami, wytrzeszczały oczęta nieprzytomnie prawie, niektóre płakały, a każde trzymało w rączynie kawałek chleba czarnego. Nagle szlachcianka posadziła napowrót w wozie ostatnie dziecko, które oglądała i bezsilnie osuwając się sama na ziemię, jęknęła niegłośnym ale strasznym z głębi serca płaczem.

— Jejmość!... oj, miejże pomiarkowanie w żałości! a toż koń uderzy!... Wola Boska! stało się, niema dziatek naszych! — tak zawołał wtedy ów szlachcic, mąż płaczącéj kobiety, który na głos pachołka kasztelańskiego zatrzymawszy się o kilka kroków od wozów, zdaleka tylko ale bacznie przyglądał się dzieciom. Postąpił on teraz żwawo do żony i wziąwszy ją za ramiona, podniósł z pod kopyt końskich prawie i chciał uprowadzić daléj, ale trudno to było, bo kobieta za ciężka była, aby mógł ją na rękach przez ciżbę przenosić, a sama ani krokiem postąpić nie mogła, gdyż straszny żal odjął jéj wszystkie siły. Pozwolił jéj tedy mąż usiąść znowu na ziemi daléj od koni i płakać bezsilnie, a rozpacznie, sam stał koło niéj spokojnie, nie wiedząc wcale, że mu po męzkiéj poważnéj twarzy grube łzy toczyły się i na zawiesiste wąsy spadały. Czekał aż żal biednéj

matki zmoże się własną gwałtownością i przesili. Ludzie otaczający tymczasem spoglądali z litośnem współczuciem na tę grupę dwojga osieroconych rodziców, tak wymowną w boleści swojéj, że choć był to widok dość pod owe czasy zwyczajny, przecież niejednemu z patrzących łzy w oczach stawały. Ale bardziéj od innych wzruszonym zdawał się ksiądz jakiś, który stanąwszy w pobliżu patrzał serdecznie na dwoje płaczących, aż po chwili, zwolna kładąc rękę na ramieniu omdlewającéj z płaczu kobiety, rzekł cichym ale przejmującym głosem:

— *Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem pocieszeni będą!*—Jakby gorącem żelazem dotknięta wstrzęsła się kobieta i żywo podnosząc głowę, spojrzała księdzu w oczy, wołając:

— Albo co? są moje dzieci?... — wzrok jéj obłąkany był żalem, a głos ochrypły z płaczu.

— Tutaj ich niema — odparł z powagą — ale któż zaręczy, czy Bóg nie czeka tylko, aż się zgodzisz z jego świętą wolą, aby ci je oddać?

Kobieta jęknęła, chwytając się oburącz za głowę i kołysała ją tak rękoma, jakby ukołysać chciała swą rozpacz. Ksiądz spojrzał na mężczyznę i widząc łzy jego, rzekł z wyrzutem łagodnym w głosie:

— Należałoby się może bardziéj po męzku rzecz brać, a słabéj niewieście przykład uległości wyrokom Boskim dawać, bracie!

Zgromiony otarł łzy rękawem długiéj kapoty i rzekł:

— Bogiem a prawdą takby należało, ojcze, a no cóż, kiedy człowiek już taki charakter ma, że na łzy

niewieście patrzeć nie może; a przecież gdy ludzie rozgadali, że taką wielką chmarę dziecisków nawieziono na rynek krakowski, już ja odrazu mówiłem pannie mojéj, że w tem więcéj gadania niż czego, i tak jest: niebożątek ledwo kilkoro, Litwin przeklętnik tysiące ich uwiózł lub wytracił, a i tak moich tu być nie mogło, oj nie, bo z nich kosteczki w popiołach spalonéj chaty ja sam znalazłem... a ot przywlekli my się tu i tak na większą żałość i tyle...

Ksiądz brwi zmarszczył:

— Tak więc nijakiego zaufania w mocy Bożéj nie macie, ludzie? — rzekł surowo — i nijakiéj pokory ku poddaniu się woli Boskiéj? O małoduszni, jakoż więc chcecie, aby Ojciec niebieski zmiłowanie miał nad takiemi, jak wy, krnąbrnemi dziećmi? Niewiasto! — dodał prawie groźnie wstrząsając ramię płaczącéj. — Czy ty wierzysz w miłosierdzie Boskie?

— Wierzę... — wyłkała.

On surowiéj jeszcze zawołał, ręką wskazując dziatwę na wozach:

— Wierzysz, ale wiara twoja bez uczynków martwą jest! Ożyw twą wiarę, spełnij uczynek chrześcijański, a ożywi się nad tobą miłosierdzie Boskie.

Osieroceni rodzice spojrzeli na księdza i na dzieci i znowu na niego, nie rozumiejąc tych słów, więc je wytłómaczył:

— Nakarmij zgłodniałego, przyodziej nagiego, naucz nieumiejętnego — wołał z zapałem — weź które z tych sierot nieszczęsnych za swoje dziecko, taka jest wola Boska, pełnij ją bez szemrania, a zobaczysz, że

ktokolwiek uczyni tenże sam miłosierny uczynek względem twego własnego dziecka i ty odzyskasz z czasem dzieci stracone, bo moc Boska granic nie ma!

Dwoje ludzi strapionych spojrzało sobie w oczy wzajemnie i, rzecz niepojęta, pomimo owych kostek znalezionych w popiele, nadzieja znowu zaświeciła w ich oczach; kobieta zerwała się nagle o własnéj sile z ziemi.

— Chłopca czy dziewczynę? — spytali się jednocześnie nawzajem małżonkowie:

— Chłopca! dziewczyna pójdzie w świat od was za mężem swoim, a syn przyprowadzi wam do domu córkę! — stanowczo rozkazał ksiądz, który podobno nie miał innego celu, jak tylko wydźwignąć z rozpaczy nieszczęśliwych ludzi, bo patrząc na nich, serce mu się krajało z żalu. Chciał „strapionego pocieszyć” i chrześcijański ten uczynek powiódł mu się, bo ludzie znękani i obezwładnieni rozpaczą, gotowi są zazwyczaj poddać się cudzéj energicznéj woli, jeżeli ta umie zapanować nad nimi. Nieszczęśni rodzice przystąpili bez namysłu oboje teraz do wozów z dziećmi, rozpatrując się w nich bacznie i śpiesznie, bo dwie inne kobiety to samo czyniły i każda chciała ubiedz drugą.

— Ten?... Nie ten, bo czarnowłosy, a nasz był jasny.

— Ale ten musi mieć jak raz ze sześć latek, jak nasz!

— Pewno że musi mieć! — rozmawiali żywo, nie umiejąc na razie zdecydować się na wybór, a wtem szlachcianka, jakby pod wpływem natchnienia, spytała:

— Jak ci imię, dziecko? — chłopiec, do którego mówiła, wstrząsając go za rączkę, trzymającą bezwiednie kawałek czarnego chleba, wytrzeszczonemi ze strachu oczętami błądził po świecie nieprzytomnie, aż na powtórzone pytanie oczy jego zwróciły się na pytającą i odpowiedział powoli:

— Władko... — oboje rodzice strapieni krzyknęli: ich synek stracony zwał się także Władkiem! Przypadkowa ta okoliczność rozstrzygnęła wybór.

— Ten, ten niech będzie! — powiedzieli sobie oboje i kobieta nagle porwała wybrane dziecko na ręce i owinęła się wraz z niem dużą swą chustką, zamierzając śpiesznie odchodzić; przyciskała do piersi sierotkę mocno:

— A gdzież ojciec dobrodziéj, abyśmy mu podziękowali za ojcowską radę?..—spytał szlachcic. Obejrzeli się na okół, ale księdza już nigdzie nie było, znikł w otaczającym tłumie.

— Wasze miłoście musicie do pana burmistrza iść opowiedzieć się, iż dziecko bierzecie, aby wiadomość była, co się z każdem dzieckiem z tych tu przysłanych stało — objaśnił pachołek kasztelański gorliwie, wedle surowych rozkazów pańskich.

Szlachecka para poszła do poblizkiego ratusza, gdzie szlachcic opowiedział się wraz z żoną, jako zowią się Hordkowie, czyli Horscy z Hordki, Stanisław i Zofia, osiedli na roli i biorący za swoje jedno z dzieci znalezionych po najeździe litewskim, poczem żwawo przez mniéj ludny już rynek wrócili do swéj gospody, to jest do wynajętéj małéj izdebki w domu znajomego

kupca, gdzie Hordkowie zazwyczaj stawali za przyjazdem do miasta, podobnie jak wszyscy pod owe czasy, lokując się gdzie było można u mieszczan, w braku dostatecznéj ilości właściwych gospód.

II.

Po obfitym, choć pospiesznie spożytym posiłku, Stach Hordka dosiadł domorosłego stępaka, Hordkowa dosiadła drugiego, a że małym Włodkiem miała ręce i uwagę zajętą, więc wyrostek Chwast, młody, raźny parobczak, ujął cugle jéj wierzchowca i tak udano się z powrotem do domu. Koń Chwasta, rówieśnik jego i współwychowaniec w Hordce, puszczony teraz swobodnie mimo pakunków podróżnych na grzbiecie przymocowanych, biegł sobie samopas za państwem, dowodząc rozsądnem zachowaniem się, że zasługiwał w pełni na ufność, jaką pokładano w jego rozumie. Tak samo właśnie zachowanie się samych państwa Hordków dowodziło bystrego rozumu i doświadczenia tajemniczego księdza, który ich skłonił do wzięcia Władka za własne dziecię. Hordkowa, choć ciągle miała pełne oczy łez i pełne piersi ciężkich westchnień, przecież raz wziąwszy sierotkę na swe sumienie, mimowoli już, jako zacna kobieta, zajmowała się dzieckiem troskliwie, tembardziéj, że w sercu brzmiały jéj bezustannie słowa księdza:

— „Ktokolwiek uczyni tenże sam miłosierny uczynek względem twego własnego dziecka”...

Nieszczęśliwa matka przytulała serdecznie i coraz serdeczniéj do piersi cudze dziecko, przejmując się mi-

mowoli coraz silniéj tą wiarą, że tkliwość jéj odwzajemnioną zostanie przez kogoś na jéj własnem dziecku. Takie zajęcie i takie myśli pochłaniały biedną kobietę tak bardzo, że przezwyciężały jéj rozpacz i uspakajały ją, z pozoru przynajmniéj; co widząc i Hordka uspakajał się także, gdyż prawdą było szczerą, że na łzy żony w żaden sposób serca nie miał patrzeć, chociaż sam dawno już dzieci opłakał, przekonany po ścisłych poszukiwaniach, że Litwin ich nie uwiózł, lecz spalił śpiących, podpaliwszy dworzec w nocy, gdy oboje rodzice wracali właśnie śpiesznie z sąsiedztwa z pogrzebu, na którą to chrześcijańską posługę, staremu oddawaną krewnemu, nie uważali za stosowne brać z sobą małych dzieci. Wzdychał pan Hordka teraz ciężko lecz cicho, spoglądając na żonę cudzem dzieckiem zajętą i myślał:

— Niechże Pan Bóg da zdrowie zacnemu księdzu za jego słowa, kiedy kobiecisko moje chwała Bogu nie płacze.

Tak dojechano przed nocą na nocleg, a nazajutrz do rodzinéj Hordki, rozległéj osady, nie w lesie, jak podówczas osady bywały, lecz pod lasem, czemu też pani Hordkowa nieszczęście swe przypisywała:

— Gdyby chaty stały w lesie, nie tak jak stoją w szczerem polu, nie byłby Litwin zobaczył ich zaraz i podpalił — mówiła.

— Ba — odpowiedział mąż na to — a jakże Hordka ma stać w lesie? Wszakże nie gdzieś tam w lesie, tylko tu pod lasem w roku 1241, to jest 78 lat temu, kiedy ta kara Boska, co się Tatarstwem zowie, po raz

pierwszy na nas spadła, stanął tu pod lasem jakiś mały oddział Tatarów i mój ojciec z innymi dążąc do gromady do pana wojewody krakowskiego, natknęli się na owę garść pogaństwa i broniąc życia, szczęśliwie ją pobili. Tedy pan Glenda jeden, co tam dowodził, nuż rozpowiadać chełpliwie każdemu potem, że Hordę tatarstwa pobili, a mój ojciec, choć młody był wówczas, rzecze mu na to roztropnie a skromnie:

— Niema czego tryumfować, boć zaprawdę nie Horda to była, tylko Hordka chyba, gdyż przed Hordą nie ostalibyśmy się tak łatwo.—Usłyszał tę rozmowę pan wojewoda krakowski Włodzimierz i bardzo mu się owa skromna roztropność młodego chłopca spodobała i już go miał przy swoim boku, nazywając panem Hordką. Potem w téj słynnéj potyczce pod Turskiem, wsią o milę od Połańca, gdzie szczęśliwie a porządnie rycerstwo polskie pod wodzą pana wojewody Tatarów pobiło, znowu pan Glenda zawołał:

— A co! hej ty, roztropny panie Hordka z mlekiem pod nosem, czy i pod Turskiem Hordka tylko była, czyli też cała Horda?

— Hordka i to była, panie Glendo, Hordka! — odpowiedział mój ojciec. A gdy potem niezadługo nastąpiła pod Chmielnikiem walna bitwa i przegrali my ją na głowę, a rycerstwo padło, jak zboża pokosy, wtem mój ojciec z kilku innymi w gromadce walcząc jeszcze słyszy wołanie słabym głosem:

— Héj ty, panie Hordka, a teraz, czy to zniweczyła nas Horda czy Hordka?

— Na ten raz, to już cała i ogromna Horda —

odparł mój ojciec — pocieszajmy się tem tak sobie mówiąc, ażeby ze wszystkiem nie upaść na duchu, iżeśmy zwyciężeni zostali.

Te słowa młodego chłopca bardzo się wszystkim podobały, starsi powtarzali je potem młodym i do dziś dnia powtarzają, jako przykład, aby się w pomyślnych zdarzeniach nie chełpić, a w nieszczęściach nie upadać na duchu, tylko zawsze walczyć z biedą ze wszystkich sił swoich. Ojca mego wszyscy odtąd nazywali panem Hordką albo Horskim, że to na Hordce gospodarował i wielkie on miał zachowanie wśród współbraci, a król dał mu za zasługi i na znak jego mądrej skromności trzy lelije w tarczy i ten kawał ziemi pod lasem, na którym to owę małą garść Tatarów pobito, a on ją od swego przezwiska Hordką nazwał. Więc jakże Hordka ma stać w lesie, kiedy owi Tatarzy nie w lesie, tylko tu pod lasem stali?..

Tak kończąc swe dowodzenia, wskazał pan Hordka ręką przed siebie na nieludną i rzadko rozsypaną wśród krzaków i sadów, ale opodal od lasu wioskę swoję, do któréj właśnie państwo Hordkowie teraz dojeżdżali. A wtem poruszył się żwawo malutki chłopczyna, w ramionach pani Hordkowéj przed nią na koniu siedzący i wychylając z pomiędzy jubki i chustki jasną główkę, pokręcił nią na wszystkie strony, błyszcząc niebieskiemi oczętami i po raz pierwszy odzywając się niewyraźną mową dziecinną:

— To tu? tu pobito *Tatalów*?

Hordkowie oboje na raz krzyknęli zmienionym z podziwu głosem:

— To on słuchał, gdy ja mówiłem!

— Cóż za mądre dziecko! Oby się tylko uchowało!

— Słuchał i widać zrozumiał!

— Tak, tu ich pobił z innymi twój dzisiejszy dziad, pan Hordka, chłopaczku; rośnij i ty na mężnego, dzielnego rycerza, abyś także pobił nieprzyjaciół naszéj ziemi, tych Litwinów okrutnych i Tatarów i Niemców, i wszystkich innych, a sam żebyś się nigdy pobić ani poranić, a tem mniéj zabić nie dał!

Tak błogosławili na rycerstwo państwo Hordkowie przybranego synka swego, który owemi pierwszemi wymówionemi słowy umiał tak dziwnie zakraść im się do serc rozbolałych, że sami o tem nie wiedząc, już kochać go wtedy po rodzicielsku zaczęli, za tę uwagę i bystrość pojęcia, z jakiemi słuchał i rozumiał ich rozmowę. Tak wjechali z nim w bramę obejścia, gdzie krzyk powstał radosny i wszystka służba i dziad pan Hordka zbiegli się do nich, bo wiedząc, po co państwo jeździli do Krakowa i widząc dziecko w rękach pani Zofii, pewni byli, że to własny odnaleziony Władko. Pani Zofia zalała się łzami, i rzekła:

— Cudza to, cudza sierota, kędyś także przez Litwinów porwana i wypadkiem jakimś porzucona. Niemasz naszych! Niema! A to wzięliśmy, aby chrześcijański uczynek spełnić, który oby tak samo względem naszéj dziatwy był przez ludzi spełniony.

Zsiedli z koni, pan Hordka wziął dziecko od żony i stawiając je na progu dworca, gdzie chmurny po chwilowéj radości stał dziad Hordka, rzekł:

— Uklęknij, chłopcze, tu na tym progu, przed

Dodatek do N-ru. 20 Wieczorow Rodzinnych. 1888 r.

tym dziadem twoim, a ty, ojcze, błogosław prosimy dziecku, któreśmy wzięli na miejsce naszych...

Dziad westchnął, podniósł żylaste, spracowane ręce i wyprostował ogromną postać, oczy wznosząc ku niebu, aby z tamtąd siły błogosławieństwu swemu zaczerpnąć, ale potem schylić się musiał i dobrze, aby dłońmi dostać do głowy klęczącego dziecka, i mówił pan Hordka wśród uroczystego milczenia:

— Na obronę ziemi, którą potem i krwią twoją skrapiać masz, na obronę bezbronnych i słabych, na obronę krzy*a i chwałę imienia Pańskiego błogosławię ciebie, synu, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

— Amen! — odpowiedzieli wszyscy zgromadzeni.

W milczeniu obtarłszy oczy, weszli wszyscy następnie do największéj w dworku izby, gdzie w oczekiwaniu spodziewanych z powrotem gospodarzy leżał już bochen chleba na zbytkownie, bo grubem białem płótnem nakrytym, długim, wązkim stole o krzyżowych nogach, wbitych w ziemię, a teraz niemłoda Anka stawiała koło bochna misek kilka dymiących pełnych drobionych klusek z polewką ze słoniną i dwa duże udźce pieczonéj dziczyzny. Wszyscy, nie wyłączając Anki i Chwasta, zasiedli na nieruchomych koło stołu ławach, ale u jednego końca wązki stół był cokolwiek szerszy i wyższy właśnie tak, jakby mniejszy a wyższy stolik w poprzek do tamtego przystawiono, i tu siedział Hordka dziad, ten sam z przed 78 laty roztropny wyrostek, który na tem samem bodaj miejscu pierwszego podobno Tatara najezdcę w Polsce zwyciężył. Tak już ten stół urządził pan Hordka syn, gdy mu przed laty ojciec zdał

gospodarstwo po śmierci swéj żony, utrzymując, że nie może być gospodarzem ten, kto gospodyni nie ma. Na stole leżało tyle łyżek drewnianych, ilu było biesiadników, i misek mniejszych, z twardego wyrobionych drzewa stało kilka, bo przy większéj liczbie osób nie podobna było jeść z jednéj, zatem siedząc naprzeciw siebie przez wązki stół jadło po kilkoro z jednéj miski. Tylko pan Hordka ojciec jadł sam jeden, bo pan Hordka syn, który niedawno z wyprawy na Pomorze i do Wielkopolski z księciem Łoktkiem powrócił i na tych wyprawach z blizka o książąt się ocierał, widział, że książę i ten i tamten zwykli jadać osobno, więc i swemu staremu ojcu osobną misę, jak książęciu, kazał odtąd dawać pan Hordka.

Pani Hordkowa z dzieckiem na kolanach siedząc, karmiła je swoją łyżką i sama jadła jednocześnie. Zjadłszy kluski, każdy, nie wyłączając kobiet, dobył noża z zapasa, i biorąc poćwiertowaną już przez Ankę pieczeń, krajał ją sobie i jadł; tylko pan Hordka ojciec brał pierwszy dla tego, aby wybrał co najlepsze. Parę dużych dzbanów domowego mocnego piwa krążyło wśród biesiadników, szumiąc i pieniąc się w drewnianych kubkach. Stos suchych drewek płonął na kominie, woniejąc zarazem, oświecał on raczéj niż ogrzewał izbę; nad stołem na żelaznym łańcuszku wisiała prosta czarka żelazna, a w niéj płonął jasny płomień, gdyż przez małe okienko rybią błoną zasnute księżyc zaczynał już zaglądać z pociemniałego nieba. Nakoniec Anka podała jeszcze przepyszną potrawę, godną iść na królewski stół, którą przyrządzać nauczyła się wpra-

wdzie od pani swojéj, ale snadź wrodzonym obdarzona talentem, doprowadziła wynalazek pani do takiéj doskonałości, że sama pani, powodowana sprawiedliwością przyznawała Ance pierwszeństwo w wykonaniu. Był to niedźwiedź!... najprawdziwszy niedźwiedź, niezgrabnie zrobiony, aż strach, ale tem właśnie popodobniejszy do niedźwiedzia z pałką w jednéj łapie, a z drugą wyciągniętą jak do uścisku, niedźwiedź zrobiony na wskroś z miodu i utłuczonych na masę orzechów, dwóch przysmaków, które muszą być smaczne prawdziwie, skoro ulubione są jak były przez wszystkie wieki. Ale podówczas przysmaki te jeszcze i dlatego lubiono tak powszechnie, że one były łatwiejsze do zdobycia i pospolitsze niż czarny chleb, daleko pospolitsze, bo na chleb należało w pocie czoła pracować i długo czekać, a miód gotów był do wzięcia, nagromadzony w nieprzeliczonych barciach dzikich pszczół, napełniających lasy owoczesne, które ze swéj strony zalegały z małemi przerwami całą Małopolskę, tak jak jeziora zalegały Wielkopolskę.

Wprawdzie Hordka nie leżała w lesie, co też wszystkich dziwiło, ale w każdym razie znajdowała się tuż pod lasem, i lada kto, porozumiawszy się ze starym niedźwiedziem, jak mówił Chwast, mógł zdobyć miodu, ile chciał. A co do orzechów, no, o tych niema co mówić, gdyż poprostu trącały w nos przechodnia, domagając się gwałtem, aby je zerwał. W takich tedy okolicznościach nic dziwnego, że gospodynie owoczesne wyrabiały z miodu i orzechów tysiące jadalnych figlów, dla uciechy rodziny, która ich własną była uciechą. Tak

też właśnie i pani Zofia Hordkowa przymyśliła sobie swego niedźwiedzia, który szaloną uciechę w swoim czasie sprawiał jéj synkowi. Mały Władko klaskał w rączki, krzyczał radośnie i skakał w górę, jak ryba wyślizgując się z rąk go trzymających, gdy ujrzał na stole malutkiego niedźwiedzia, którego we właściwym kształcie znali wszyscy, jako groźnego, ale zarazem i mądrego sąsiada, mieszkańca puszcz okolicznych, a wiadomo przecież, że z mądrym przyjaźń jest łatwa i pożądana.

I dlatego to właśnie Anka przysposobiła niedźwiedzia na spodziewane przyjęcie małego panicza, uwierzywszy za przykładem pani, że on się w Krakowie teraz znajdzie, gdyż ludzie rozgadali niesłychane rzeczy o mnóstwie niezmiernem dziatwy, którą pozbierawszy porzuconą przez uciekających z łupem Litwinów, zwieziono na stu wozach na krakowski rynek, aby matki osierocone odnajdywały swoje dzieciątka. Co prawda przesada w gadaninie ludzkiéj była tylko częściowa, jak zwykle, bo istotnie dziatek Litwini tyle porwali, że starczyłoby ich na dużo wozów, choć tylko dziesięcioro znalezionych przywieziono istotnie do Krakowa. Z tem wszystkiem panicza małego nie było, i Anka przy kluskach i mięsiwie namyślała się srodze, co dalej robić, aby smutnych wspomnień państwu i całemu domowi nie przyczyniać... ale rada trudna była: przecież nie mogła wyrzucić dla prosiąt (licznych zresztą) wspaniałego arcydzieła swego, które choć tanie pod względem materyału, przecież niezmiernie kosztowne było ze względu na pracę. Po długim zatem namyśle, wbrew

zdrowemu rozsądkowi, ale zgodnie z miłością artystyczną dla pracy swojéj, postawiła ją na stole... Wieczerza i tak posępna stała się wtedy pochmurniejszą jeszcze. Ciężkie westchnienia słyszeć się dały naokoło stołu, bo przecież wszyscy pamiętali, jak wielką uciechą dla dawnego paniczyka Władka bywał ów sławny niedźwiedź. Obfita i dobrze przyrządzona wieczerza i mocne domowe piwo nic nie pomogło, wszyscy byli śmiertelnie smutni, łamiąc na kawałki i jedząc niedźwiedzia, gdy wtem rzekł stary ale bystrzejszy, bo doświadczeńszy od młodych, pan Hordka dziad:

— A i cóż ono dziecko? Jeżeli ma być nasze, to niechże nasze będzie prawdziwie: dlaczegóż ja ani śmiechu ani płaczu dziecinnego nie słyszę, odkąd wnuków straciłem? Czy ono chore? Czyli raczéj może Boże broń już nie żyje?...

Na te słowa dziada, słynącego na sto mil w około ze swéj roztropności, wszystkie oczy zwróciły się ku małéj sierocie, zdziwione, że dziecko od dwóch godzin nie płacze.

— Żyje — rzekła pani Hordkowa — żyje, tylko zmordowało się okrutnie niebożątko, i podjadłszy a dostawszy w rączynę niedźwiedziową pałkę, po którą rękę wyciągało, zasnęło nareszcie.

— He he... ja widziałam, jak ręce wyciągnęło do niedźwiedzia!... — rzekła Anka wielce ucieszona z téj racyi.

— To dobrze — rzekł dziad doświadczony — ale takie małe dziecko, które nie może mieć więcéj nad pięć lat...

— Pięć do sześciu co najwięcéj, jak nasz Władko i nazywa się tak samo, bo umie to powiedzieć! — zawołali razem prawie oboje państwo Hordkowie.

— To bardzo dobrze — odparł dziad — otóż takie małe dziecko, jeżeli przez całą wieczerzę nie rozśmieje się, albo nie zapłacze, to chyba musi być niemądre ze wszystkiem... albo bardzo mądre? Jakież tedy ono jest?

— Nie wiem — rzekł na to pan Hordka syn — nie wiem, boć to dziecko jest w naszych ręku dopiero od wczorajszego południa, a przez ten czas okazuje się ciągle takie spokojne, jakby go nie było. A jednak słucha i rozumie snać co się dzieje koło niego, bo gdyśmy dojeżdżając do dom rozmawiali z jejmością o tem, jak to ojczulo przed laty pobiliście owych Tatarów na tem miejscu, gdzie teraz Hordka stoi, to dzieciak nagle jął wypytywać!

— Wypytywać? — zawołali wszyscy przy stole — O! to dzieciak nie lada!

— Czy mnie się zdawało, że póki nie zasnął, to jadł, gdyście mu dawali, Zośka? — spytał dziad głęboko się namyślając.

— Jadł, i dobrze, owszem, i dla tego tak myślę, że zdrów jest, choć mizerny... zapewniła.

— Tedy, kiedy dobry jest do jadła, to i do roboty dobry; a chwat będzie na Tatara, kiedy z maleńkości o niego się troska; a kiedy najadłszy się śpi zamiast marudzić, to już widać wrodzony w nim jest rozum... hm, niema co... to mądry chłopak!

Tak powiedział dziad Hordka, a że co on powiedział, to już musiało być prawdą, zatem wszyscy obecni zawołali odrazu:

— Mądry! o, mądry! Strasznie mądry! To mu z oczu widać!

— He he, już ja widziałam, że mądry, bo jak tylko niedźwiedzia przyniosłam, zaraz do niego obie ręcę wyciągnął, odrazu poznał, że to niedźwiedź! — powtarzała śmiejąc się Anka. A Chwast dodał:

— A przez całą drogę cicho w chustach siedział, dopiero usłyszawszy co jegomość o Tatarach mówili, jakże nie wytknie głowy z chust a nie zawoła: „Tutaj to pobito Tatalów?...” — takiem zaraz zmiarkował, że strasznie mądry.

— Ha ha ha!...—zaśmieli się wszyscy z umyślnie śpieszczonéj mowy, jaką Chwast naśladował mowę dziecka. I tak przecież po raz pierwszy od ostatniego najścia Litwinów wesoły śmiech rozległ się w smutnéj dotąd Hordce i obił o świeże i niezakopcone, bo tylko co po spaleniu postawione ściany ubogiego dworku, a to za przyczyną malca, który dawał nadzieję, że nowo powstający ród szlachecki nie zaginie zaraz w drugiem pokoleniu, jak się tego ojciec i syn Hordkowie obawiać zaczynali.

Wysławiając mądrość nowego dziedzica, powstali wszyscy od stołu, zasiedli na małych ławkach i stołkach koło ogniska i zabrali się do zwykłych zajęć. Pani Zośka zaniosła malca do komory i położyła na swojem posłaniu, złożonem ze skór kilku wilczych i kożuchów na sianie na szerokiéj ławie zasłanych, bo po owem

litewskiem gospodarstwie wszystkiego tu jeszcze było brak, a niedźwiedzia porządna skóra, doskonała na pościel, dopiero była wyprawianą i przygotowywaną do użytku.

III.

Wróciwszy do izby, pani Zośka położyła na rogu stołu napoczęty do połowy bochenek chleba, kładąc go ukrajaną powierzchnią na stół tak, aby chleb nie wysychał i nakryła go zawiniętym rogiem obrusa; potem siadła u ognia, kładąc przy sobie duży kłębek szarych, ale mocnych, własną ręką uprzędzionych nici i parę sztuk własnéj odzieży, zabierając się do sporządzenia z niéj odzienia dla chłopczyny; igły duże, długie na palec i odpowiednio grube, miała wpięte w płatek spory i wraz z nim zamknięte w małéj skrzynce grubéj, domowéj roboty, gdzie igły te przechowywane były same jedne, bez żadnego innego tam niegodnego ich towarzystwa, niby wielce kosztowne klejnoty jakieś.

Młodszy pan Hordka zajął się wiązaniem sieci, a parobcy struganiem łyżek, misek, i skrzynki na sól, co wszystko gwałtownie było potrzebne w tem gospodarstwie, założonem od lat blizko ośmdziesięciu, ale po kilka razy już od tego czasu rozpoczynanem z gruntu na nowo po spaleniu lub zrabowaniu, bo prócz strasznych litewskich najazdów, przecież sami Tatarzy byli tu znowu w r. 1260, kiedy to zniszczyli klasztór panien w Zawichoście i klasztór na Łyséj górze, i Sandomierz, i Kraków, a król Bolesław znów wtenczas na Węgrzech

przesiadywał, dopóki burza nie minęła. Oczywiście, że wtedy śladu z Hordki nie pozostało; a potem ledwo że zaczęła powstawać, gdy Jadźwingowie zakradli się tu i wszystko spalili. Ale też to było jedno z ostatnich ich łotrowstw, bo nareszcie i Bolesławowi zbrakło cierpliwości, nakazał pospolite ruszenie i wytępił okrutny ten krwiożerczy naród litewski, czy też czuchoński, bo pochodzenie jego niepewnem jest dotąd. Potem dobrze się już rozsiadła Hordka, gdy r. 1287 Tatarzy kamienia na kamieniu w niéj nie zostawili, zburzywszy całą Małopolskę aż pod Kraków i samych panien uprowadziwszy w jasyr 20,000, gdy Leszek Czarny król z kolei na Węgrzech siedział. Dodawszy do tego i litewskie najazdy, podziwiać trzeba wytrwałość dziedziców i serdeczne ich przywiązanie do tego kawałka ziemi, nadanego im za zasługi ojczyźnie, gdy po tylu zniszczeniach na nowo za każdy raz budowali się na temże samem miejscu; a czyniło się to prędko bardzo, Hordka po spaleniu wyrastała po prostu jak grzyb z ziemi.

Bo też i nie wymyślnie budowano, a materyału w lasach naokoło było pełno, a pierwszym robotnikiem z siekierą w ręku stawał sam dziedzic i wszystek sprzęt i statek w domu robił się własnemi domowników rękami, chyżo ale niewymyślnie, w oczekiwaniu nowego najazdu i pogorzeli. Był to zresztą los nie jednéj Hordki, lecz całego nieszczęsnego kraju. A jakkolwiek los to okrutny, miał on przecież swoję dobrą stronę, bo w szczególniejszy sposób usposabiał ludzi do życia chrześcijańskiego. Ludziska w nieszczęściu wspomagali się wzajemnie, jak

prawdziwi bracia, sąsiad sąsiadowi własnoręcznie pomagał chatę budować, aby żona z dziatwą miały coprędzéj gdzie głowę przytulić; o chciwości, o gromadzeniu dostatków, o „robieniu majątku", nikt ani wyobrażenia nie miał, ale każdy z musu pracował bezustannie na codzienne wyżywienie dla siebie i swoich, i dla głodnych, wiedząc dobrze, że mu to będzie dziś jutro po bratersku w potrzebie takiéj saméj odwdzięczone tak samo. A potem gdy sąsiad pomógł, gdy się nowe gospodarstwo jako tako złądziło, trzebaż było coprędzéj za pomoc ludziom podziękować, i o wspólnéj biedzie się naradzić; a jakże to uczynić, jeżeli nie przy kubku domowego piwa i miodu i serdecznych wzajemnych uściskach? Zapraszano się więc wzajemnie do nowego dworku każdego, chaty raczéj, na nowe osiedliny i ściskając radowano i płakano razem, „dźwigając wspólnie ciężary swoje" wedle słów Pisma św. Pośród innych przyczyn było więc i to przyczyną licznych niezmiernie uczt owoczesnych i w ogóle wielce towarzyskiego życia, zwłaszcza gdy pomimo nędzy i chorób, następujących po najazdach i spustoszeniach, przecież mnogość zwierzyny, i owocu, i miodu, po gęstych lasach, i ryb po głębszych i bystrzejszych niż dzisiejsze wodach, dawała łatwą możność wyżywienia i ucztowania, byle był jaki taki ład, a zdrowe ręce.

I otóż zasiadłszy przy ognisku wieczorem jesiennym po przywiezieniu Władka do domu, państwo Hordkowie nie nad czem, tylko właśnie nad koniecznem sproszeniem i ugoszczeniem sąsiadów radzić teraz zaczęli. Przybycie Władka czyniło rzecz jeszcze pilniej-

szą, boć był to wypadek bardzo ważny, a ludzie przywykli dzielić się między sobą wszystkiem, tak łzami jak i uśmiechem, więc i tą łzami oblaną uciechą, że się synka nowego dostało, trzebaż się było także podzielić. Zwyczaj był tak powszechny i naturalny, że do narady wszyscy należeli, nawet Anka pomywająca w kącie naczynie po wieczerzy. A pierwszy zaczął dziad Hordko, bardzo umiejętnie a uważnie i z zamiłowaniem strugający dla Władka miecz na Tatara...

— Staśko!... — rzekł — dużo tam jest mis i łyżek?... a zwierza grubszego nie dostałbyś?... trzebaby sąsiadów ugościć.

— Misek na zmianę starczy, a łyżki... przecież ludzie wiedzą, że my na nowem gospodarstwie, to każdy swoję będzie miał za cholewą lub u pasa...—powiedziała pani Hordkowa, zanim mąż z odpowiedzią pośpieszył:

— W dębinie tamtéj za strugą — rzekł tajemniczo — wypatrzyłem maciorę z dwunastu warchlakami, tylko czekałem aż trochę podrosną... a teraz możeby ich już brać...

— Ale jak?... trzebaby z kiłku... — ozwało się kilka głosów.

— Daleko tam one chodzą od naszéj téj piwnicy, gdzieśmy to trochę dostatku przechowali raz przed Tatarem?... wiesz — powiedział dziad z namysłem.

— A właśnie niedaleko! — z tryumfem odrzekł syn — tylko okrąglaki ostrożnie wysunę, już probowałem, dadzą się ruszyć, a ziemia na nich nad jamą zielskiem taka przerosła, że się i tak trzymać będzie, póki co ciężkiego nie stąpi... a jama głęboka okrutnie.

— Złapią się... tylko nakłaść trzeba na wierzch przynęty.

— A jakby nie, to trzeba ich nagnać.

— A sól?... — zawołała nagle Anka, pomywająca w kącie naczynie, ręce załamała, a w głosie jéj przerażenie brzmiało. I słusznie, bo do Krakowa blizko dwa dni drogi, a przecież dopiero co z tamtąd wrócono, ale gospodarze zgryzotą o dzieci przygnębieni zapomnieli snać o głównym sprawunku, a soli w króbce już ledwo parę garści się kołace.

— Sól jest, w worku w komorze, kupiłam... — westchnęła Hordkowa, wspomniawszy, jak płacząc za zginionemi dziećmi, a z Władkiem na ręku kupowała tę sól właśnie. Anka odetchnęła głośno, jakby jéj ciężar spadł z serca; a pani Hordkowa dodała zwolna z zająknieniem, rumieniąc się jak polny mak czerwony i niebieskie oczy spuszczając pod ławę ze wstydu:

— Sól jest, ale... wstyd powiedzieć: ani ja drobiazgu na pieczonki dla gości, ani piwa mam więcéj nad codzienną zwyczajną potrzebę... więc nie wiem, jak to będzie.

Pan Staśko popatrzał na żonę ze współczuciem nad jéj zawstydzeniem, a dziad pogłaskał biały rąbek na jéj głowie tak, jakby głaskał jasne ukryte pod nim włosy i rzekł:

— Nie wstydź się, Zośka, i bądź dobréj myśli; każdy wie, że jesteś dzielna gospodyni, nieraz już Litwin i Tatar gospodarował w Hordce i kamienia na kamieniu nie zostawił, a przecież ledwo chata stanęła, już ty w niéj miałaś czem gości przyjąć, boś rządna, co

prawda to prawda. Ale na ten raz, to straszne z dzieciskami nieszczęście wszystkim nam rozum odjęło—dziad westchnął i umilkł na chwilę, a ze wszystkich stron izby ciężkie dały się słyszeć westchnienia, jakby ją jedna napełniała rodzina; on mówił dalej:

— Z tem wszystkiem nie kłopoc się, złądzi się to wszystko, zanim Staśko z warchlakami da sobie radę...

— Hm... przecież i sarn parę albo łosia trzeba będzie dostać z lasu... — wtrącił półgłosem młodszy Hordka, a dziad mówił dalej:

— Ty tymczasem jeszcze piwa nawarzysz, Chwast i Dzięciół stary nachwytają ci w sidła ptactwa dzikiego na pieczonki, a potem Antko ryby nałowi w strumieniu; nie bój się i myśl już tylko o piwie.

— Chwast, Antko! to my jutro w las skoro świt!.. — rozporządził gospodarz, a dwaj parobcy w odpowiedzi wyjęli długie noże z za pasa, zdjęli z kołka łuki, kołczany i sznury jakieś, i poczęli to wszystko oglądać i poprawiać, odłożywszy dotychczasową robotę. O jednę i to najważniejszą rzecz nikt nie spytał, o miód pitny, bez którego nie mogło być ugoszczenia, nie pytano zaś dlatego, iż wszyscy byli o tę podstawę uczty spokojni; sycenie miodów było jednym z licznych talentów i zajęć słynnego z mądrości dziada, więc kiedy on mówił o ugoszczeniu sąsiadów, to już tam w piwnicy jego osobnej miodów musiały być zapasy porządne.

— Anka! jutro skoro świt przyniesiesz mi cztery wory jęczmienia i wysypiesz do nowej kadzi!... a będziesz brała ze śpichlerza z ostatniej przegrody za drzwiami, bo to ziarna najmłodsze! — rozkazała pani

Zośka, i zaraz Anka, skończywszy z myciem naczynia, wzięła wór z kołka, ażeby go opatrzeć. W chwilę później, gdy pierwsze ozwały się kury, nieliczne na nowem gospodarstwie, zaczęto się zabierać do spoczynku, a pani Zośka, poprawiając i otulając śpiącego Władka, rzekła z westchnieniem do męża:

— Władko mój, śpiąc mocno, jak to dzieci zwykły, mógł łatwo życie we śnie postradać lub być porwanym przez Litwina; ale Baśka maleńka, imieniem waszéj matki, panie mężu, nazwana, aby życzliwy duch pokrewny czuwał nad nią z poza grobu, jeżeli Bóg na to pozwoli, Baśka spała jak zawsze u boku Jagny, Chwastowéj matki, którą postanowiłam na swojem miejscu przy dzieciach, gdy mi jechać na ów nieszczęsny pogrzeb wypadło... A Jagna była nie stara, żwawa i hoża kobieta jeszcze, i życzliwa, jakoż więc stać się mogło, aby ona dzieci nie uratowała, zbiegając z niemi do lasu?

— Hm... Litwin podkradł się cicho... ogień objął raptownie... — mruknął z tłumionem westchnieniem Staśko Hordka, który nigdy nie miał odwagi wyraźnie żonie powiedzieć, że w zgliszczach swego domostwa znalazł drobniutkie i duże kosteczki, i kości zwęglone, które wszelką co do odszukania dzieci odbierały nadzieję biednemu ojcu.

— Choćby najciszéj, choćby najraptowniéj podeszli — żywo odparła — toć przecież uciekając z duszą własną, zapomniawszy nawet o starszem dziecku, musiałaby Jagna jeszcze choć młodsze przy niéj śpiące przycisnąć do siebie niechcący i z niem uciekać!... nie

może inaczéj być, przecież ona też kobieta i matka, a wszakże i zwierzęta bronią małych swoich!

— Oj, Zośko, Zośko, panno moja — z łagodnym wyrzutem i ciężkiem wzdychaniem Staśko rzecze — ażali to nie wiesz, iż nieszczęście, gdy znagła i we śnie nachodzi, to ze wszystkiem człowiekowi rozum czasem odbiera? A nieraz też w ogniu dym zgoła wprzódy ludzi śpiących udusi na śmierć, niżeli się przebudzą — urwał nagle mowę pan Hordka, niedopowiadając myśli swojéj, jakby go co nagle za gardło ścisnęło, i po małéj chwili dopiero dodał:

— Niema co... dopuszczenie Boże, ale wina moja, i tylko moja w tem nieszczęściu, iżem lepiéj nie badał, co się na świecie dzieje, a posłuchom o Litwinie nie wierzył, choć już chodziły po ludziach, i wszystkiéj czeladzi pozwoliłem na ów pogrzeb, jedynie tylko Chwastowych rodziców, że to zaufani, a roztropni pozostawiając doma, jego przy dobytku, ją z dzieciskami... to też wszyscy zginęli; postanowił mię Pan Bóg gospodarzem a ojcem, alem nie umiał dbać o powierzone mi dusze, tedy mam teraz zapłatę za niedbalstwo moje: moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!...

Kląkł Staśko Hordka przy ostatnich wyrazach na glinianéj ubitéj podłodze w komorze i bił się w piersi aż w nich jęczało, a łzy grube toczyły mu się po ogorzałéj twarzy, a w lewéj ręce trzymał przed sobą utkwiony w podłogę glinianą miecz ojcowy, zdany mu wraz z obowiązkami gospodarza ku gospodarstwa obronie: rękojeść miecza, jak zwykle, tworzyła krzyż, a w pośrodku tego krzyża znajdował się wewnątrz za drogim ka-

mieniem misternie utajony jeden maluchny odłamek, okruszek raczéj z marmurowéj płyty, na któréj wedle tradycyi namaszczonem było ciało Chrystusowe. Płyta ta znajdowała się od wieków i dotąd znajduje w kościele grobu Chrystusowego w Jerozolimie, i któryś z przodków dziada Hordki, dostawszy się tam w orszaku pobożnego rycerza, jakiegoś polskiego Krzyżowca, dopuszczony do ucałowania pamiątkowéj téj płyty, uniesiony prostoduszną pobożnością wieku, nie zastanowiwszy się, że czyniąc skrycie rzecz zakazaną, popełnia czyn naganny... całując, zachwycił zębami różek marmuru, i... o cudo!... odrobina głazu ukruszyła się pod dzielnym zębem małopolskiego parobeczka... on natychmiast odszedłszy od płyty zawinął okruszynę ową w płatek jedwabny, a następnie zaraz na miejscu w Jerozolimie, stanąwszy kunsztmistrzowi nad karkiem, kazał mu w oczach swoich osadzić tę okruszynę w pośrodku rękojeści swego miecza i zasłonić ją zdobytem na jakimś Turku dyamentem...

Odtąd miecz ten był relikwią rodzinną, i on to właśnie w ręku teraźniejszego dziada Hordki, gdy tenże był jeszcze wyrostkiem, dopomógł mu wedle jego szczeréj wiary do zwycięztwa kilkakrotnego nad Tatarzynem i Litwinem, za co wreszcie tenże dziad, zostawszy przez króla udarowany klejnotem i kawałem ziemi dziedzicznéj i nazwawszy ją Hordką, rozpoczął stanowczo już nowy ród szlachecki. Przed tym to krzyżem, rękojeść miecza stanowiącym, klęczał teraz Staśko Hordka, modląc się i płacząc w pokorze i uznaniu winy własnéj, aż biednéj pani Hordkowéj serdecznie żal się zrobiło, że

rozbudziła w mężu boleść tak dotkliwą, a płonną już teraz, więc uklękła przy nim i gorącemi słowy przeprosiła Pana Boga za to, że nie chciała uledz woli Jego świętéj i przyrzekła odtąd ukrywać w głębi duszy boleść własną, aby jéj nikomu nie przymnażać.

Nazajutrz rano, kiedy po wspólnéj krótkiéj modlitwie zasiedli wszyscy do rannego posiłku, złożonego z gorącego piwa z serem, w pośród ciszy, jaka przytem zapanowała, usłyszano ciche w komorze szeptanie... Pani Zofia poskoczyła tam i ujrzała małego Władka, który zaledwo obudzony ukląkł na posłaniu, złożył rączki i powoli, uważnie mówił „Ojcze nasz”...

— Zacnych jakowychś rodziców jest to dziecko!... — rzekł dziad zdziwiony, bo chłopczyna był taki mały, że trudno go było posądzić o umiejętność pacierza. Jednak odmówił go dobrze. Pani Zofia usiadła wtedy ze wszystkimi do misek i zawoławszy dziecko, wzięła je na kolana i jadła wraz z niem jak wczoraj. Malec jadł, ale niebieskie oczy wędrowały mu tymczasem tu i owdzie po izbie i do jednego i do drugiego biesiadnika, aż nareszcie zatrzymały się stale i z wielkiem wytężeniem na jednym przedmiocie, tak, że aż malec jeść przestał:

— Patrzajcie no ludzie, patrzajcie... widzicie wy, czemu ten dzieciak się przypatruje tak pilno?... — spytał półgłosem dziad Hordka, trącając lekko w bok siedzącego przy nim syna. Wszystkie oczy zwróciły się za kierunkiem wzroku Władka i okrzyk zdumienia wyrwał się z ust wszystkich: przedmiotem, który tak zajął małego, była wisząca na białéj, bo świeżéj ścianie dość

jeszcze świeża także tarcza pana Hordki, na któréj wymalowano wyraziście znak jego herbowy „trzy lelje w pół pola błękitnego, drugie pół pola czerwone.”

— Czy ty wiesz, co to jest, chłopcze? — spytał dziad Hordka, wskazując tarczę — jeżeli wiesz, to powiedz, no powiedz, jak się to nazywa? Co to jest?

— Wiem — szepnął chłopak, kiwając głowiną, a na dalsze nalegania odpowiedział, siląc się z trudem na wymawianie wyrazów:

— To jest klejnot szlachecki... ale, to inny...

— A co! Czy nie mądry? — zawołała Anka, uderzając ręką o rękę, a stłumiony gwar podziwu nad tą mądrością napełnił izbę. Dziad i ojciec dopytywali tymczasem pilnie, aż się pokazało, że maleńki istotnie rozumiał co mówił i przywykły był, odkąd oczy na świat otworzył, patrzeć na znak herbowy swéj rodziny, zawieszony z tarczą na ścianie, jak pospolicie u szlachty bywało; ośmielony pieszczotami, usiłował nawet opisywać ten znak i nazwę jego stanowczo wypowiadał i powtarzał, ale nazwa ta przekręcona w dziecinnéj mowie brzmiała dziwnie niezrozumiale, coś niby *loza* albo *puloza* co mogło znaczyć i *Róża* i *Półkoza* czyli *Półkozic* i bardzo wiele innych nazw herbowych. Zaprzestano tedy wypytywać, a dziad, odsapnąwszy jakby po wielkim wysiłku i zabierając się znowu do misy, rzekł z westchnieniem:

— Ha... a więc bądź co bądź szlachecka to krew przynajmniéj, Bogu dzięki!... — wszyscy odetchnęli swobodniéj, pani Zośka, córa staréj szlacheckiéj rodziny, goręcéj niż dotąd przycisnęła dziecko do piersi.

dziad i ojciec, świeża szlachta, tem wyżéj cenili znak pożytecznéj dzielności swojéj, że go świeżo a drogo krwią własną okupili, woleli więc przyjąć za syna szlacheckie niż inne dziecko.

IV.

Malec niechcący roztropnością swą i uwagą ujmował sobie serca przybranych rodziców. Cóż dopiero, gdy powoli zaczął się ośmielać w miarę, jak opuszczał go pewien rodzaj osłupienia i wystraszenia, jakie padło nań widocznie z przyczyny strasznych nieszczęść, przebytych tak wcześnie. Stało się to zaś dosyć prędko, zwyczajnie jak u dziecka żywą obdarzonego wyobraźnią.

W chwilę po śniadaniu, gdy wszyscy porozchodzili się do swych pilnych zatrudnień, pani Zofia postawiła na ławie duży drewniany, domowéj roboty „przycierek", nalała doń ciepłéj wody, w któréj wygotowała sporą ilość pokrajanych korzeni *mydlniku*, rośliny u nas pospolitéj, potem rozebrawszy Władka, wsadziła go w tę kąpiel, a zrobiwszy mięciuchny wiechetek z delikatnego sianka, jęła szorować nim chłopca na wszystkie boki od stóp do głowy i z głową nawet, obciąwszy mu przedewszystkiem włosy, co wszystko w jednéj chwili biała pianka pokryła. I otóż okazał się wtedy nowy dowód wielkiego rozumu malca, o czem pani Zofia sama niezmiernie zdziwiona tak następnie przy wspólnym obiedzie opowiadała:

— Wyobraźcie sobie, panie ojcze, a toż ten chło-

piec, kiedym go kąpała, ani pisnął, ani zapłakał... a przecież kąpałam należycie, jak po tak długim zaniedbaniu dziecka wypadało!...

— Mądry! — powiedział dziad stary, a wszyscy potwierdzili znowu. Po kąpieli pani Zofia odziała dziecko w zupełnie świeże, wczoraj uszyte odzienie, barwą i krojem takie, jak dziada i ojca, tylko rozumie się daleko mniejsze; był to długi żupan, czyli kapota ciemnéj barwy, co, aby piękniéj wyglądało, przepasała pani Zofia w pasie własnym czerwonym pasem i także czerwoną zadzierżką czyli „fawurkiem" zawiązała chłopcu u szyi. Małe, ciepłe i bardzo wygodne łapcie dosyć łatwo było sprytnéj szlachciance uszyć z kawałka cienkiéj baraniéj skórki, włosem obróconéj wewnątrz, a przytwierdziła je dziecku do nóżek długiemi takiemiż kawałkami skórki, niby wstążkami okręcając nóżki, co lepiéj niż cobądź innego zabezpieczało od chłodu i dosyć pospolicie było noszone. Włosy wyczesała dokładnie grzebieniem, wielce podobnym do zgrzebła, jakich dużo sporządzał Antko wieczorami zimowemi na całoroczną dla ludzi i zwierząt potrzebę. Tak wystroiwszy nowego synka, szlachcianka uściskała go ze łzami daleko serdeczniéj jeszcze niż dotąd, i zamyśliła się, jakby mu sporządzić czapkę?.. Ale niedługo myślała, bo nie było czasu na namysły, odłożywszy je zatem do sposobnéj pory przy jedzeniu lub przed zaśnięciem, kazała tymczasem Ance uprzątnąć ślady kąpieli, a do dziecka rzekła:

— Pójdź, Władku, będziemy piwo warzyli.

Chłopiec podskoczył, jakby mu zdrowia po kąpieli

przybyło i ujął panią Zofią za spódnicę. Poszli do dużéj komory za czeladną izbą, gdzie w nowéj kadzi pełno już było jęczmienia, nanoszonego przez Ankę ze śpichlerza, a pani Zofia teraz zabierając się do robienia piwa, zaczęła wodę dobierać, kosztować i próbować, aby była w samę miarę letnia i doprowadzić mogła jak najprędzéj jęczmień do „słodowania" to jest kiełkowania: osłupiała ze zdziwienia ujrzawszy, że mały Władek, wylazłszy na ławę z wielkim trudem, wybierał niezdrowe ziarna z kadzi pełnéj jęczmienia i odrzucał je na ziemię...

— Co ty robisz, dziecko? — spytała.

— Piwo!... — odpowiedział, wytrzeszczając na nią oczęta, zdziwiony, że o tak prostą rzecz pytała.

— Szlachcic! Szlachcic urodzony! widocznie z własną matką nieraz piwo robił! — krzyknęła w uniesieniu sama do siebie pani Zofia i po raz pierwszy rzuciła się dziecko całować tak, jak go dotąd nie ucałowała jeszcze. Odtąd serce jéj, przylgnąwszy raz do cudzego dziecka, jak do swojego, zostało już przy niem stanowczo i nazawsze i wtedy to wytłómaczyła mu, że jest jego matką, i matką kazała się nazywać. Przebrawszy zboże, matka i synek zamyślony troszkę, wsypali je do drugiéj odpowiedniéj kadzi, naleli wodą stosownie ogrzaną, wymieszali porządnie i zabezpieczywszy od kurzu, pozostawili w spokoju na dni trzy tylko, jakkolwiek potrzebuje ono czasem i siedmiu, aby kiełkować zaczęło. Ale zależy to od różnych okoliczności, że zaś pani Hordkowéj pilno było z piwem niezmiernie, przeto dobrała ziarn jaknajmłodszych, nalała je ku napęcznie-

niu wodą ogrzaną najwłaściwiéj, i wszelkiemi siłami przyśpieszając proces „napęcznienia”, konieczny przed słodowaniem, pewna była, że doprowadzi doń swoje ziarna w ciągu dni trzech. Tymczasem wszyscy domowi osłupieli przy obiedzie na widok wystrojonego chłopca, który istotnie teraz okazał się bardzo ładnem dzieckiem, tak, że już i twarzyczką samą i zwinnością podobał się otaczającym, jak dotąd podobał się im roztropnością.

— A czapka? Cóż on czapki nie ma? —spytał ojciec.

— Nie ma; myślałam jaką, z czego zrobić i nie wymyśliłam dotąd niezdarna — ze smutkiem i wstydem rzekła pani Hordkowa.

— Ej, jejmość, panno moja, wstydzićbyś się popowinna raczéj wygadywać tak na siebie — odparł na to z oburzeniem pan Staśko—a toż i tak odziałaś dzieciaka od stóp do głów w jednę chwilę; poczekaj, możeć ja jemu teraz przyodziewek choć na głowę obmyślę.

Jakoż zaraz po obiedzie poszedł gdzieś...

— Ciekawam gdzie i po co?—rzekła pani Hordkowa do dziada, który piwo popijał jeszcze — boć gdyby był w domu lada baranek, tobym wiedziała co zrobić, ale niema nic zgoła po litewskiem gospodarstwie.

Jeszcze rozmawiali z dziadem, a czeladź zabierała się do odejscia, gdy wpadł pan Staśko, niosąc za płaski ogon bobra świeżo ułapanego... Wszyscy krzyknęli z podziwu, bo choć bobrów pełno wówczas było po rzekach, jednakże niełatwo było je łowić tak na poczekaniu; ale pan Staśko miał swoje tajemnice łowieckie, na które dziad się tylko uśmiechał, a czeladź w obec

nich posądzała gospodarza czasem o czary... Skutkiem tych czarów jednakże na ten raz malutki Władko miał nazajutrz gotową bobrową czapę tak wspaniałą, że i wielkiemu wodzowiby przystała i ozdobiła go nie lada. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy malec ukłonił się czapą zamaszyście, a z powagą na rozkaz matki:

— Kogo on widział? On musiał chyba widzieć, jak się senatory kłaniają — rzekł dziad zdziwiony.

Tymczasem w trzy dni ziarna jęczmienne napęczniały dostatecznie i po rannym pacierzu i po wspólnem śniadaniu, gdy każdy poszedł do pilnéj swéj robty, matka z synkiem porozkładali je na czystéj, wymytéj ku temu jak najczyściejszy stół podłodze. Wkrótce zaczęły one kiełkować, a wtedy umiejętna wielce i bystra pani Zofia potrafiła utrafić w najwłaściwszéj chwili, aby przerwać kiełkowanie, co jest główną piwowarstwa tajemnicą. Słód, czyli kiełkujące zboże, przeniesiono do suszarni, gdzie skutkiem szybkiego odciągnienia wilgoci i ciepła żywotność ziarn została zniweczoną i dalszy proces kiełkowania wstrzymany. Potem wysuszało się słód i wyciągało zeń rozpuszczalne w wodzie jego części, a potem otrzymany płyn przez fermentacyą przechodził w piwo.

Przy całéj téj robocie mały Władko pomagał stale matce, matką ją na jéj rozkaz nazywając, choć raz o zmierzchu, gdy nikogo w izbie nie było, a matka, przytuliwszy synka po skończonéj na ten dzień robocie, kołysała go cicho w ramionach, siedząc przy ognisku, malec zaczął coś rozpowiadać o innéj matce i braciach, i Burku starym, i o pożarze okropnym i strasznych

ludziach, wyrywających go z rąk téj matki, przyczem rozpłakał się okropnie. Pani Zofia przestraszona utuliła i zabawiła dziecko, jak mogła i odtąd starannie już unikała dlań wspomnień wszelakich, aż też dziecko i zapomniało ich wreszcie ze wszystkiem.

Tymczasem sklarowało się piwo i pieczeni przysposobiono mnóstwo, poczem zeszli się i zjechali sproszeni sąsiedzi na dziesięć i więcéj mil w około: ktokolwiek nowo powstającemu z litewskich popiołów gospodarstwu przyszedł z jakąbądź sąsiedzką pomocą, czy panu Staśkowi choć jeden okrąglak do budowy dworku dopasował, czy pani Staśkowéj choć jednę sztukę dobytku lub drobiazgu na zapomogę wedle zwyczaju w takich razach przysłał, wszyscy zaproszeni zostali z konieczności. Miód i piwo lały się strumieniem, najdoskonalsze z szlacheckich przysmaków krasiły ucztę obfitą, tak niezmiernie wykwintną, że ku wielkiéj uciesze gospodyni, goście bardzo wielu potraw postrojonych cudnie i barwisto obyczajem wieku wcale a wcale poznać nie mogli. Wielki niedźwiedź z pałką stał na środku głównego stołu, a około niego wspaniała góra słodyczy, tak misternie zrobiona z murami na szczycie, że każdy, kto spojrzał nań, zgadywał odrazu, iż to był: Wawel.

Przed i po uczcie zaczęto probować koni, tembardziéj, że gospodarz dobierać ich i nabywać potrzebował, wywiązały się z tąd gonitwy i harce rozmaite; a potem próbowano się na szable, jak zwykle czyniono przy każdéj sposobności, aby wprawy w robieniu bronią nie zaniedbywać. Że zaś niejedna matka przywiozła z sobą dzieciaka, tedy widząc, co starsi robią, zaczął

i mały Władko w gromadce rówieśników wywijać świeżo otrzymaną od dziada szabelką, głośno zapowiadając, że wszystkich Tatarów i Litwinów co do jednego pozabija i braciszka swego Władka i siostrę Baśkę od nich odbierze i do matki, która za nimi płacze, przyprowadzi. Usłyszawszy tę dziecinną gawędę, pani Zofia rozpłakała się, a wszystkie kobiety, pomagając jéj, ściskały przytem butnego malca tak, że go omało nie zdusiły pieszczotami. Nakoniec wszyscy poszli w taniec, nieodłączny od żadnego, choćby małego pod owe czasy zebrania, i w serdecznéj ochocie zagłuszono nareszcie łzy kobiece i drobne swary przyjacielskie, wynikłe wśród męzkich harców. Tak odbyła się uczta w Hordce u państwa Horskich obyczajem wieku, a wydaną była na osiedliny w nowym dworku i na instalacyą w nim nowego maleńkiego dziedzica, którego wszyscy rodzicom winszowali, przepowiadając, że przytulona sierota sprowadzi na nową chatę błogosławieństwo Boskie. Po hucznéj zabawie rozjechali się goście i wszyscy powrócili do gorliwéj nieustannéj pracy, z któréj słynęło owoczesne pokolenie zarówno, jak z zabaw ochoczych.

V.

Pod dzielną opieką króla Łoktka nastały wkrótce choć trochę spokojniejsze czasy dla Hordki i wielu innych okolic, jakkolwiek na granicach wszędy drogo krwią własną okupywało się bezustannie ten spokój. Lata biegły, Władko podrastał i już dawno a gwałtem

z panem ojcem na Litwina się wybierał, od czego powstrzymywała go jeszcze matka, wymawiając zbytnią młodością, gdy wtem niespodziewana wieść gruchnęła po kraju, napełniając go pełnem niedowierzania zdziwieniem: król Łoktek miał poślubić synowi swemu Kazimierzowi córkę księcia litewskiego Gedymina i przeto, zawierając z Litwą przymierze, zabezpieczyć przynajmniéj z jednéj strony nieszczęsny kraj swój od bezustannych rabunków i pożóg.

— Czy to być może, aby z Litwinem przymierze stanęło i on napaści i rabunków zaprzestał? Nie może to chyba być, cóżby on robił, gdyby nas nie rabował!— mówili między sobą ludziska, nie mogąc już uwierzyć w lepszą dolę.

A tymczasem wieści zaczynały się sprawdzać. Roku 1325 wczesną bardzo wiosną zazieleniły się lasy i pola, skowronki na wyprzódki z ludźmi zabrały się do śpiewu i orki, niezadługo o wiosennym świcie, przy ciepłym polatującym wietrzyku, wyszedł z dworca Horskiego dziad Hordka, zawsze krzepki i silny, mimo wieku, gdyż były to czasy, w których zdarzało się, iż urzędownie nieraz przyznawano ludziom niektórym, świadczącym w ważnych sprawach, po lat *sto pięćdziesiąt* i nie uważało się to za rzecz wyjątkową. Za dziadem szedł Władko, na którym ubiegłe lat trzynaście daleko większą niż na dziadzie sprawiły zmianę; jeżeli w chwili przybycia do Hordki miał on lat pięć, to teraz musiał mieć już około lat ośmnastu i na te lata wyglądał. Był to parobeczek krzepki, ale niestety! smutny i podobniejszy do zmokłéj kury, niż do chwata, jakim

był jeszcze przed czterma łaty: chłopak gryzł się w duszy i wstydził od lat czterech, to jest odkąd zabroniono mu iść z panem ojcem na Tatara, pomimo, że czternastoletni wyrostek uczynił już zadość wszystkim próbom szlacheckiéj młodzieży, i dwuletniemu byczkowi jednem cięciem szabelki łeb ściął, i okolicznym najdzielniejszym szermierzom z szablą placu dotrzymał, i każdego dzikiego konia ujeździć potrafił. Gdy potem raz i drugi pan ojciec, idąc znowu na wojenkę, nie wziął także Władka z sobą, chłopcu życie zbrzydło i stał się podobnym do zmokłéj kury.

Postępował on teraz obojętnie za dziadem, idącym poważnie i uroczyście lecz ochoczo przytem. Za nimi wysypała się wszystka czeladź męzka i osadnicy z kilku chat otaczających. Bo przez lat trzynaście, spokojniejszych trochę niż dawniejsze, zagospodarowała się Hordka i zaludniła. Zaraz z brzega przy drożynie stał tam pal w ziemię wbity, a w nim dziesięć ogromnych wbitych kołków, co znaczyło podówczas, że właściciel gruntu daje dziesięć lat *woli*, czyli wolnego użytkowania z ziemi, i lasu, i strugi tym ludziom, którzy osiedliwszy się i własną pracą pobudowawszy na jego gruncie, po upływie owych lat dziesięciu będą potem pracowali dla pana. Otóż pierwsze lat dziesięć upłynęło dawno i Hordka zaludniła się, a jéj mieszkańcy przywiązali się do dziedzica, który ilekroć siadał na koń, aby kraj piersiami zastawić, zawsze zdawał władzę swą gospodarską na ojca, a tego już okolica cała miała za ojca, dla wieku i wielkiéj mądrości.

I teraz właśnie dziad Hordka zastępował syna,

a cała ludność szła za nim na obchód najuroczystszéj może ze wszystkich chwil rolniczego żywota „na pierwszą siejbę”. Młodzi parobeczki, a pierwszy wśród nich Władko, wiedli woły z bronami. Gdyby był ksiądz w pobliżu, szedłby także, ale w jego braku tem większą powagą otoczony szedł sam dziad Hordka. Szedł wyprostowany, przy szabli, z oczyma wzniesionemi w niebo i chcąc wyrazić przepełniające go uczucia o wiosennym poranku, teraz występując do boju z siłami przyrody, na któréj zdobywać miał chleb, zanucił pieśń starożytną, z jaką przywykł iść na nieprzyjaciela ojczyzny, pieśń Bogarodzicy. Władko przyłączył głos swój dźwięczny do potężnego głosu dziada, ale śpiewał smutno, bo zaraz na myśl mu przyszło, że ani razu jeszcze pieśni téj nie śpiewał, jak rycerzowi przystało, idąc do boju. Inni otaczający cicho szeptali wyrazy pieśni, nie śmieli zabrzmieć pełną piersią tym śpiewem właściwym tylko rycerstwu, bo w gromadzie nie było rycerza-szlachcica, prócz dziedziców; czasem ten i ów z młodszych, podniecony pięknością śpiewu, rozlegającego się uroczyście pod błękitnem niebem przy wtórze skowronków, podniósł głos także, ale wnet starsi karcili go spojrzeniem surowem i śmiałek ściszał głos, pocieszając się myślą, że i on przecież może kiedyś pieśń tę zaśpiewa, jeżeli potrafi odznaczyć się w służbie ziemi, która go żywiła. Tak przeszła gromada koło pala z kołkami i wyszedłszy z zabudowań na szczere niwy, zmierzała ku potężnemu, bo zgruba niezmiernie ociosanemu krzyżowi, stojącemu na krańcu posiadłości. Tu pieśń umilkła; dziad stanął nad świeżo zoraną i za-

wleczoną skibą, zatknął w ziemię szablicę swoję, zaczerpnął z woru u pasa garść ziarna i wznosząc ręce i oczy ku niebu, wielkim zawołał głosem:

— Wszechmocny Stwórco, który stworzyłeś człowieka i ptaka, aby śpiewali chwałę twoję i ziarno im dałeś na pożywienie, pobłogosław to ziarno, które oto rzucam w ziemię, aby rozrodziło się setnie, aby nie zaznali głodu ludzie i ptacy: w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, ptacy niebiescy, oto rzucam wam pierwsze ziarno, abyście wraz nami o urodzaj błagali!...

— Amen! — chórem uroczyście odpowiedziała gromada, wrzawliwy chór ptasząt zagłuszył ludzi, rzucając się na ziarno, które sypnął ku nim w górę dziad stary; potem drugą garść sypnął na niwę i poszedł bruzdą daléj wprost, miarowym krokiem i z rytmicznym ruchem ręki, obleczony w kapłańską nieledwie godność i powagę siewcy. Lud ukląkł, odmówił głośno chórem modlitwę Pańską na uproszenie obfitego urodzaju i zabrał się każdy do swojéj pracy.

Dziad Hordka siał wytrwale, młody Władko bronował za nim, przykrywając swieżo spulchnioną ziemią ziarna w nią rzucone, gromada pracowała na około; południowy tylko posiłek przerwał na krótko rolniczą pracę, dzień zbliżał się ku końcowi, gdy w oddali na mało znacznéj drożynie zaszarzało i zabłysło razem coś niewyraźnie i powoli zwiększać się zaczęło, kierując na przełaj przez pola ku pracującym na niwie; Władkowi smutnemu serce biło, jak młotem:

— Oj, ktoś do nas jedzie — westchnął — błyszczy coś w słonku, pewno zbroiczka, to rycerz jakiś.

— Gospodarz, czy nie gospodarz? — spytał sam siebie dziad, dokończywszy na ten dzień siejby i schodząc z łanu na ugór, dokąd natychmiast Władko za nim pośpieszył z broną i wołami.

— Pan ojciec?... a kiedy niedawno pojechali na Litwina... gdzieżby już podążyli wracać z wojenki?... — odrzekł. — Ano jedzie jak pan ociec samotrzeć...

— A jeżeli to prawda, co ludzie mówią o przymierzu z Litwinem, o ślubowinach?... zauważył dziad, ciągle wpatrując się w niespodzianego gościa.

— Ej zaś!... gdzieżby tam nasz królewicz Kazimierz chciał pogankę brać sobie na żonę!... — oburzył się Władko — toż to dzika dziczyzna być musi!

— Hm... a jakby król ojculo tak królewiczowi swemu nakazali?... hm? — zapytał dziad.

— Ha, jak mus, to mus; ale gdzieżby tam król Łoktek dzikiéj synowéj zapragnął? czy to mu brak pięknych księżniczek na świecie!.. upierał się Władko.

— A nie co tylko gospodarz! — rzekł poznawszy gościa dziad.

— Ojculo! — krzyknął jednocześnie Władko i porzucając woły popędził jak źrebak naprzeciw ojcu, dobiegając jednakże pomiarkował się i zdaleka stanął, nie śmiąc się witać, bo przecież matka i przykład ojca wpoiły weń zasady przyzwoitości. Stał tedy z czapką w ręce, nie ruszając się do witania, a ojciec, przejeżdżając mimo, uśmiechnął się tylko do niego, z konia zsiadł i cugle pachołkowi swemu rzucił, a sam pieszo do własnego ojca podszedłszy, ujął go za nogi pokornie witając:

— Szczęść Boże! — Stary krótką chwilę ręce na głowie syna potrzymał, błogosławiąc z cicha, potem za głowę uścisnął i pocałował. Całując ojcowe ręce spracowane, prostował pan Staśko powoli kark zgięty, gdy Władko rzucił mu się do nóg, witając, jak on witał dziada przed chwilą.

— No no... widzisz, że i mnie minęła wojenka, chłopcze!... — rzekł pan Staśko, ściskając go z uśmiechem i zwracając się do dziada, dodał. — Panie ojcze, nowin huk! A Zośka, czy zdrowa? — i znowu, zbiegającą się doń gromadę witał, zastawszy ją przy pracy:

— Szczęść Boże!

Dobra chwila minęła, nim uspokoił się gwar radosny, sprawiony niespodzianym powrotem dziedzica, którego zwęszywszy zdaleka psy nawet podwórzowe przypadły teraz pędem witać, porzuciwszy dla tak wyjątkowej okoliczności swe stanowiska na chwilę; na ten widok pani Hordkowa pośpieszyła za niemi, miarkując po ich ruchach, że pana bieżą przyjmować. Po chwili mała rodzina złączona ruszyła powoli rozkosznym wiosennnym wieczorem ku dworowi, czeladź i gromada ze statkiem, wołami, końmi, szła za nimi, gwarząc wesoło.

— Nowin huk? A no najpierwszą powiedz: zkąd ci taki powrót nagły? — pytał dziad Hordka.

— Wracam, bo wojny z Litwinem teraz nie będzie — powiedział pan Staśko.

— Nie?... to może jest co prawdy w tem, co ludzie gawędzą o przymierzu z Litwą i ślubowinach z Gedyminową dziewką?

— Szczera prawda?

— Rety z poganką!... — zawołała pani Zofia.

— A ty co na to, chłopcze? — spytał dziad żartobliwie, patrząc na Władka, który milcząc, jako nie pytany dotąd, głową tylko dziwnie kręcił na owę nowinę.

— A to, dziadu, że za nic w świecie nie chciałbym teraz mieniać się z królewiczem Kazimierzem na dolę! biedak on! — żywo chłopak zawołał. To jego wielkie współczucie dla królewicza rozśmieszyło wszystkich:

— Dlaczego? — dopytywano.

— A no jakże! — odparł z zapałem — przecież widzimy i czujemy na własnéj duszy i ciele własnem, jacy to okropni zbójcy, drapieżnicy, krwiożercy są ci Litwini, toż przecież mordują oni lub unoszą do puszcz swoich nawet dziatki maleńkie, więc czynią zupełnie to samo, co dzikie zwierzęta, wilcy, dziki, albo te sępy, ptaszyska straszne; a toż przecież niedźwiedź nasz leśny jest już sto razy uczciwszy od takich ludzi, bo jeszcze tego nie bywało, aby niedrażniony kogo napadł lub dzieciątko rozszarpał!... I z takiego to ludu dziewczyna ma być żoną tego pięknego królewicza Kazimierza, co to o nim powiadają, że taki dobry, z każdym najuboższym człowiekiem wdaje się za pan brat?... a toż ona jemu ta poganka, ta dziczyzna, oczy kiedy wydrapie!... Chyba, gdyby ją krótko wziął i ostro babę trzymał... ale to znów względem żony niełładnie jest i w szlacheckim stanie, a cóż dopiero w królewskim! Tedy nieszczęsny jest ten zacny królewicz!

— Ha ha ha! — śmieli się rodzice z uniesienia chłopca.

— Ha ha ha! jak żona bardzo zła, to i w królewskim stanie różnie się przytrafi!... — zaśmiał się w téj chwili głos nieznajomy. Wszyscy spojrzeli tam, zkąd głos przychodził: na skraju lasu, koło którego tuż przechodzono teraz, stał pod rozłożystym dębem tęgi i duży, acz widocznie młody bardzo chłopak, w krótkim żupaniku pod dostatnią zarzuconą na ramiona opończą, zbroi nie miał żadnéj, choć i podówczas mimo trochę spokojniejszych czasów szlachcic zdala od chaty zwykł był zbroi używać, ale za szerokim czerwonym pasem jego tkwił nóż, oszczep i toporek, i miecz u boku nie lada jaki, a na głowie o gęstéj, kędzierzawéj, ciemnéj czuprynie, miał pospolitą podówczas czapkę o żelaznym spiczastym wierzchołku i żelaznemi okutą obręczami, zabezpieczającą od ciosu z góry. Wsparłszy się w boki, stał śmiejąc się i mówił dźwięcznym i donośnym głosem, acz zająkliwie trochę, z natury podobno.

VI.

Spojrzawszy sobie wzajem w oczy Horscy i nieznajomy, wszyscy zdjęli czapki, a gospodarz rzekł śmiejąc się:

— Królewicz nasz ani się spodziewa, jaka tu u nas troska jest a kłopot o jego małżeńską dolę... A no, gościa czyli podróżnego widzę Pan Bóg na moim gruncie postawił, tedy godziłoby się cześć gospodarstwu uczynić i na próg chaty też stąpić? Ja sam u pana ojca i u panny téj mojéj też niby gość, bo oto wprost

z Krakowa przybywam, miarkuję więc, że nie zła nam się tam dwom gościom dostanie od panny mojéj wieczerza...

Tak zapraszając prostodusznie, a serdecznie, Staśko Horski jednocześnie ukazywał ręką na ojca i żonę:

— Gość w dom... — uprzejmie dodał starzec z ukłonem, bo gościnność nawet względem najmłodszych gości świętą była, choćby dla starców.

— Wieczerza czeka! — skwapliwie z pokłonem potwierdziła pani Zofia słowa męża.

— Oj, nie dam ja jéj długo czekać, jeżeli tylko pozwolicie, gospodarstwo mili! — odpowiedział młodzik z taką obiecującą co do wieczerzy intonacyą w głosie, że gospodarze zawołali jednogłośnie a radośnie:

— Prosimy zatem! — i wszyscy ruszyli ku widocznemu jak na dłoni dworkowi, a wtem Władko, ucieszony widokiem rówieśnika i to głodnego jeszcze, co przecież prawdziwą jest dla gospodarza rozkoszą, ujął go po bratersku pod ramię i zawołał, spojrzawszy na rodziców:

— A no to bieżajmy prędzéj, chłypniecie choć kubek miodu nim ojce zdążą! — i pociągnął młodego gościa do dworu, biegnąc nieledwie.

— Ostatni od kąta na pólicy najstarszy jest! — krzyknął za nim dziad stary.

— Wiem, wiem! — ozwała się odpowiedź już zdaleka i dwaj chłopcy po chwili wpadli do domu z impetem i gościć się tam poczęli ochoczo. W chwilę późniéj zasiedli wszyscy do wieczerzy, przy któréj młody gość dotrzymał obietnicy: zmiatał misy jednę po drugiéj,

zaprosiwszy do swojéj na towarzysza Władka, ale śmiejąc się przytem, że go odje:

— Źle wyjdzie pieszczoch na téj współce, bom ja od rana nic nie jadł w lesie.

— A wam zkąd przyszło tak mię przezywać?... — z podziwem i urazą zapytał Władko, zaczerwieniony nagle, jak burak — Albo mię znacie?

— Nie znałem, tylko zgadywałem, a teraz już znam, boście się oto zaczerwienili na dowód, iż zgadłem, żeście pieszczoch — odparł tamten.

— Ależ bo — ze śmiechem rzekł gospodarz — to jest wieczne od czterech lat jego zmartwienie, iż pieszczochem ludzie go zwać będą, ponieważ jeszcze ni Tatara ni Litwina nie ukąsił szabelką; a boi się tego przezwiska, jak ognia, aż tu właśnie takeście go przezwali, panie gościu, więc cały zawrzał chłopak od wstydu.

— O! jeżeli tak — gość zawoła — to przepraszam, nic o tych okolicznościach nie wiedziałem, a takem nazwał cię, bracie, widząc, żeś sam jeden podobno u rodziców i oczko w główce!

— Wstydź się przepraszać, kiedyś nic nie zbroił, a raczéj sam przebacz, jeżelim przyostro na cię spojrzał, i sprawę, a wstyd mój zapij lepiéj — z westchnieniem ciężkiem, mimo uśmiechu, rzekł Władko — bo co wstyd to wstyd i prawda, żem nietylko pieszczoch, ale i piecuch nawet!

— No, nie ze wszystkiem znów, jeżeli nie z własnéj woli, zaś rodzice muszą dobre racye mieć, dla czego tak czynią — poważnie rzekł młody gość.

— Otóż tak jest i sprawiedliwe są słowa wasze, pomimo, że nie wiek nauczył was rozumu, gościu! — żywo i jakby z jakąś do syna przymówką ozwała się pani Zofia — bo, powiedzcie sami, czy nie więcéj uczyni przeciw wrogowi silny mąż, dojrzałym powodowany rozumem, niż młodociany taki, który choć konia rozhukanego poskromić zdoła i ciołkowi kark przeciąć, to przecież zawsze jest sam jeszcze niby tenże ciołek nietęgi! I czy nie lepiéj byłoby, gdybym i mego starszego syna troskliwiéj chowając puściła go na Litwinów dopiero w mężnych latach, gdy umiałby dawać sobie radę na wojence, niż co słabiuchnym chłopaczkiem uśmiercił go Litwin od razu wraz z siostrą, jak nędzne pisklęta? Nie lepiejże powstrzymać się z działaniem, ażeby lepiéj działać?...

— A!... to wam dzieciątka pomarnował Litwin!.. o!... słusznie mówicie — przytwierdził gość, uważnie i ze współczuciem patrząc na panią Hordkową.

— Ależ to były dzieciątka maleńkie, nie to co ja jestem od lat czterech! — zawołał Władko.

— Daj ty pokój, bracie — odparł półgłosem gość — nie upieraj się, wiem ja, co to dziecko u matki i wiem, co wojna i nieszczęście, którego gdy niewiasta raz się naje do syta, to już nigdy smaku jego nie zapomni, choćby najlepiéj jéj potem się działo. I z moją matką tak było: wojna i nieszczęście przycisnęły ją srodze, choć w dostatkach zrodzona, przyszła na niedolę taką, że od ludzkiéj jedynie litości przytułek miała.

— Oj dla Boga!... —szepnęła gospodyni ze współczuciem.

— To też teraz — ciągnął daléj gość — choć lepsze nastały niby czasy, już przecież matczysko trwóg a trosk dawnych nie może zapomnieć, tak i twoja...

— Chwałaż Bogu, z którego łaski pod królem Łoktkiem lepsze nastały czasy — rzekł dziad — a no, co to teraz będzie z litewskiemi ślubowinami, to ciekawość..

— Że ślubowiny będą, to już za pewną rzecz słyszałem w Krakowie — odparł pan Staśko — ale wszyscy takiego są zdania, że spokojności tem się od Litwina nie kupi; i jabym tak myślał, że poganin ten gotów umyślnie przyjaźń niby zawrzeć, abyśmy się na nią ubezpieczyli, byle potem tem lepiéj się obłowić, gdy wpadnie na nas znienacka.

— Otóż tak — szepnął Władek do rówieśnika, trącając się z nim łyżkami przy żwawéj w misie robocie — tak to pewno będzie, a co królewicz biedy tymczasem napyta z taką żoną, to napyta, i co to z tego!..

— No, jeżeli ty taki ciekawy, co z tego, a królewicza tak ci żal — rzekł gość z namysłem — to ja mógłbym tobie powiedzieć, co z tego, bom słyszał od ojca cokolwiek o téj rzeczy: oto Gedyminowa dziewka wielkie ma wiano dostać!

— Co! — zawoła Władek oburzony — i to dla wiana król Łoktek chce złą żonę dla syna napytać? O, jeżeli tak, to już ja mam lepszego ojca, niż królewicz Kazimierz, mój nigdyby tego nie zrobił!

— A choćby i chciał zrobić, toby pani matka pieszczocha swego obroniła — żartując rzekł pan Staś-

ko. — Ale czyliż to tylko prawdziwa wieść, którą powiadacie miły gościu? Z Krakowa jadę, a nie słyszałem o tem.

— I owszem — powie dziad na to — trudno nawet, aby prawdziwą być miała, bo jakież tam wiano mógł Litwin dać swéj córze? Chyba toby dał, co u nas zrabował!

— Tak się wam zda mili gospodarze — z uśmiechem odparł gość, przyjmując świeży kubek ręką dziada nalany — a przecież niezadługo usłyszycie tę wieść sprawdzoną; ty zaś młody bracie nie dziw się Kazimierzowemu ojcu, bo jest on nietylko jednego swego syna, ale i całego narodu ojcem, tedy choćby i kosztem tego syna miał ten naród zbogacić, to czyliż przeto złym ojcem nazwać go należy?

Na te słowa młodzieńca wszystkie oczy zwróciły się na niego, Władko aż łyżki przy ustach zapomniał, patrząc w niego zamyślony.

— Ależ gościu miły — odrzecze na to żywiéj dziad — pięknemi ty słowy mówisz, lecz po młodemu nie zastanawiasz się nad mową własną, bo powtarzam: jakież to wiano litewski ów rozbójnik może nam dać? i czegóżby to Polska pożądać odeń mogła, prócz aby jéj nie rabował i nie palił?

— A to, choćby przyrzekł, nie dotrzyma poganin! — dodał pan Staśko.

— Ale bo, widzicie — z figlarnym uśmiechem gość odparł — król Łoktek nie takiego pożąda od Litwina wiana, jak myślicie, nie złota, ni srebra, ni żelaza nawet, jeno takiego coś, co i Litwin może dać,

i Polska, i wy sami tego pożądacie, i bardzo temu radzi będziecie... a zgadnijcież, co to jest?

— E... — rozśmiał się gospodarz — także gadajcie, a będziemy wiedzieli, że nam gadki do odgadywania prawicie, jak to bywa zimową porą przy ognisku, a no téj nie odgadnie chyba nikt.

— Nikt?... — zapytał gość, spoglądając po innych biesiadnikach.

— Nikt! — chórem odpowiedziano.

— No, to wam powiem — rzekł — oto w wianie za Gedyminówną mają być wróceni nam wszyscy jeńcy, przez Litwina Polsce pochwyceni!

Przy stole stało się dziwnie cicho na te słowa i znowu wszystkie oczy utonęły w gościu:

— Ejże, cóż bo mówicie? nikt o tem nie słyszał... — szepnął dziad po chwili. — Toż chyba ojciec wasz u boku samego króla musi stać, jeżeli pierwéj od wszystkich taką rzecz wie... — rzekł gospodarz i urwał nagle mowę zakłopotany trochę, bo nie wypadało wybadywać gościa, jeżeli ten sam od razu nie opowiedział się, kim jest, wchodząc w gościnne progi.

— Dla Boga świętego, to i dzieciska moje wrócą może jeszcze! — zawołała gwałtownie pani Zofia.

— Jejmość!... ejże, panno moja—cicho powiedział jéj mąż — nie rój ty próżnych nadziei, z których nowy żal wyrasta; czyli to już nie opowiedziałem ci całéj prawdy, co i jak w popiołach dworca naszego onego czasu znalazłem?

Biedna Hordkowa westchnęła i zamilkła, dławiąc upartą swą, wiecznie odradzającą się nadzieję

— Czy to być może?

— Może i będzie — potwierdził gość — a ty, młody bracie, przyznaj, że z takiem wianem może i warto żonę wziąć, i przecież ma być ochrzczona...

Stary dziad i Władko, bardziéj niż inni zdumieni, wpatrywali się w młodziana, gdy wtem nagły gwar stał się w bramie i kilku konnych, a z tych jeden łuzem pysznego kasztana prowadząc, wpadli w podwórze:

— A toż co? — rzekł gospodarz i żywo podążył na ganek.

— Pewno wieczerza obfitsza się przyda — żywo wstając szepnęła gospodyni.

— Wybaczcie, cni gospodarze, że zjadłszy a podziękowawszy wstanę od waszego stołu — kłaniając się i wstając gość przemówił — boć mnie to szukają.

— Héj! gospodarzu, nie widzieliście tu w okolicy młodego panięcia pieszo? — krzyknęli jeźdźcy do pana Staśka.

— A ot jest, jest królewicz! — zawołał jeden nagle i wszyscy zeskakując z koni pobiegli do ganku; pan Staśko odurzony ustąpił im z drogi i wtedy ujrzał poza sobą wychodzącego z domu młodego gościa:

— Miłościwy panie mój, cóż się to stało? Czyliś zdrów i cały przynajmniéj? Kasztan zjawił się nagle sam, a my od godziny mało nie poszalejem, szukając Waszéj Miłości po lesie!... — rzekł młody, ale mimo to bardzo poważny pan, przystępując strwożony do młodzieńca.

— Ehe, toś ty dlatego wiedział najświeższe o królewiczu nowiny!.. — odezwał się idący tuż za nim

i dziwnie w téj chwili zagapiony Władko, nie spostrzegając, że przywykł już ty a ty rozmawiać się z gościem

— Władko!... toż jest królewicz!... — szepnęła trącając go matka.

— A zobaczysz, żem prawdę mówił! — odparł mu poważnie tamten, a do owego pana rzekł: — Ej, panie z Mielsztyna, nic się nie stało, anim ja chciał kłopot wam czynić, tylko zeskoczyłem z konia, aby wody się napić ze zdroju, wtem wilczysko skoczyło koniowi pod nogi i spłoszyło go...

— A!... to ten, cośmy znaleźli!... — ozwał się któryś z przybyłych, potrząsając ogromnem wilczyskiem, czepionem u troków.

— A ja, obejrzawszy się po świecie i szlachecką ujrzawszy siedzibę, wprosiłem się na wieczerzę, za którą Bóg zapłać gospodarzom, i tyle! — dokończył królewicz Kazimierz, kłaniając się czapką państwu Hordkom.

— Zapłacił!.. skoro widzę w chacie mojéj miłościwego pana mego! — rzekł dziad, ujmując wraz z synem królewicza za nogi, a gdy ten żywo schylił mu się wzajem do ramienia, stuletni Hordka mimowiedzy podniósł oczy w niebo, a ręce nad głowę panięcia, przyszłego króla, który pokornie schylił ją po starca błogosławieństwo.

— O!... chwałaż Bogu, kiedy nic się złego nie stało... A no z wieczerzą toś sobie Wasza Miłość dobrze poradził! Ot co jest królewską głowę nie dla kształtu mieć!... — rzekł po przyjacielsku, już ochło-

nąwszy ze strachu, pan z Mielsztyna, kręcąc własną głową figlarnie. Królewicz spojrzał nań żywo;

— Nie wie syty, jak głodnemu jest! — rozśmiał się raźnie. — Wy głodni! Ej, ty miły Władku, szczery przyjacielu mój, który troskasz się tak serdecznie o moję dolę, spytaj ty pani matki twojéj, bo ja nie śmiem, czyby nie miała jeszcze dla mych towarzyszy choć trochę tych specyałów, którem ja z ręki jéj jadł?...

— Miłościwe paniątko, złociste, dyamentowe moje — zawoła pani Zofia, obejmując królewicza za nogi — a toż jest spichrz, lamus, skład, sernik, spiżarnia i dwie komory pełne z łaski przodka twego, który za krew dla ojczyzny wylaną ten kawał ziemi temu ot ojcu naszemu dał; a cóżbym ja za gospodyni była, żebym królewicza mego z towarzyszami nie potrafiła ugościć!

— A no, to wracajmy do komnaty a stołu, towarzysze mili — zawołał królewicz i dodał ciszéj, jakby w tajemnicy — bo powiem wam, że nie licząc sarny i warchlaka młodziuchnego, jest tam taki miód i takie są ciastka orzechowe, że byłbym pewno dotąd przy nich siedział, gdybyście mi nie przeszkodzili.

— O... idźmyż prędko! — krzyknięto chórem, i uszczęśliwiona pani Zofia powiodła gości do izby, sadzając ich teraz wcale inaczéj: czeladź, będąca już zresztą po wieczerzy, wespół z królewiczem odbytéj, nie siadła do stołu, bo i miejscaby dla niéj nie było. Obsiedli stół myśliwi królewscy, a królewicza chciała posadzić gospodyni na miejscu dziada, ale królewicz powiedział:

— Z przeproszeniem twojem, gospodyni nasza,

nie tak będzie! — dziada posadził na zwykłem jego miejscu, sam siadł po jego prawicy, a Władkowi po lewicy jego naprzeciw siebie usiąść kazał i rzekł do dziada i gospodarzów, patrzących ze zdumieniem na takie rozporządzenia:

— Waszmość państwo raczcie, jeźli łaska, nakarmić i nasycić zgłodniałych i spragnionych, a nie zważać wcale na nas sytych, którzy mamy z sobą do pomówienia o rzeczach ważnych.

Zastosowano się tedy skwapliwie do jego woli, stuk drewnianych i glinianych naczyń, brzęk nożów i gwar biesiadny wnet napełnił komnatę, a tymczasem królewicz Kazimierz u boku dziada, nie zważając niby, iż ten jeden słyszeć go musi, rzekł z cicha do siedzącego naprzeciw Władka:

— Władku miły, mam ciebie prosić o przysługę wielką, a ułożyłem tak sobie odrazu, jakem tylko usłyszał troskę poczciwą twoję o moję dolę...

— Z przeproszeniem Waszéj Miłości, mylicie się, królewiczu mój — odparł Władek, ocucony już zupełnie z chwilowego zagapienia — nie macie wy mię albowiem o nic prosić, ale jeżeli zechcecie uszczęśliwić mię rozkazem jakim, który w mocy méj byłoby wykonać, toż na resztę życia uczynicie mię wdzięcznym za tę łaskę wiernym sługą waszym, chociem i tak nim jest.

— Zgoda i tak — rzekł królewicz. — Owóż, miły Władku, wiedz ty, o czem nikt nie wie, oprócz jednego Jaśka z Mielsztyna, a to, że ja sam o te litewskie gody wcale nie jestem taki spokojny, jak to umyślnie po sobie pokazuję; bo jak król ojciec każe, tak ma być,

a ja syn dla przykładu ludziom tem większe posłuszeństwo winienem. Nie to mię wszakże niepokoi, aby owa Litwinka już zaraz oczy wydrapać mi miała, ho ho!... a idźno tam zobacz na wozie, co musi stać przed waszą bramą, niedźwiedzia; bestya potwór, a sam jeden z tym obuszkiem tylko dałem mu dzisiaj radę; nie taki ja lękliwy. Ale widzisz o tej Litwince niektórzy ludzie potajemnie przed panem ojcem okruteczne mi dziwy w ucho gadają: a to, że czarownica, charakternica jest i przeto, jak zwykle taka, ma troje oczu, dwoje, jak każdy, a trzecie między tamtemi, ale z tyłu głowy i już wszystko tem okiem, nawet w wielkiej odległości wypatrzy... A to znowu, że zaklęta jest i przeto, byleś ją z oka spuścił, jużci co wieczór, wronie skrzydła ze skrzynki wydobywszy, przypina je sobie do ramion i fiu!... tyleś ją widział!...

— E... miłościwy królewiczu, toż chyba jakieś brednie ludzie waszej miłości gadają!... — ofuknął niespodzianie dziad, nie mogąc dłużej wytrwać, pomimo, że niby nie do niego mówiono.

— Ot! — na to królewicz — nie mnie to nowina, dziadu: wiem ci ja dobrze, że są na świecie ludzie, radzi zawsze na przekór czynić najlepszym króla zamysłom; a już gdyby im się udało między królem a królewiczem niezgodę posiać, ot toby im dopiero było na rękę!... a może i na kabzę, z poza granic napychaną.. A no nie głupim!...

— Chwałaż Panu Bogu najwyższemu! — mimowoli zawołał starzec. Wszystkie oczy zwróciły się u

wyższemu stoła końcowi i gwar biesiadny w mgnieniu oka umilkł, jak zażegnany.

— A toż co?... — wśród bezdennéj ciszy spytał królewicz. — Co się stało?

— Tu między nami nic, miłościwy królewiczu — odrzekł bez namysłu Jaśko z Mielsztyna — tylko my sądzili, że z Waszą Miłością coś się stało, gdy tak żywo od waszego stołu krzyknął dziad gospodarski „Chwałaż Panu Bogu!"

— Tak on krzyknął? No, kiedy tak krzyknął, to snadź nie stało się nic złego, zatem jedzcie waszmoście smacznie daléj, a nie lękajcie się o nas — odpowiedział królewicz, i gdy tamci posłusznie zajęli się jedzeniem, on mówił daléj do Władka:

— Zatem ani ja się boję, boć niema czego, ani zważam na niemądre ludzkie gawędy, ale mimo to ciekaw jestem bardzo i radbym zawczasu prawdę o téj przyszłéj królowéj jéjmości wiedział, a nikomu o téj mojéj chęci ani pisnąłem dotąd. Dopiero dzisiaj, usłyszawszy przypadkiem twoję o mnie troskę, Władku kochany, pomyślałem sobie: ot ten szlachcic nada mi się w kłopocie, pojedzie z posłami do Litwy, nic nikomu nie mówiąc, przyjrzy się Gedyminowéj pannie, posłucha, co tam służba o niéj prawi i powie mi szczerą prawdę. Czy zgoda?

— Z poselstwem?... do Litwy?.. ja? — powtórzył jak odurzony Władek.

— No tak, i cóż w tem dziwnego? — żywo i niecierpliwie odparł królewicz — gdybym mógł, sambym pojechał z wielkiego niepokoju, aby zobaczyć coprę-

dzéj, jaką też to panią a matkę ma mieć naród polski po mojéj matce świątobliwéj! A no mnie nie należy, król ojciec nie każe, a tobie, byle twoi ojce pozwolili, nikt nie wzbroni i lepiéj ty odemnie samego wszelkiéj prawdy się dowiesz, bo nikt tak dalece nie będzie na ciebie zważać ani ukrywać jéj przed tobą, a wszak ty sam pragniesz na Litwę!

— Oj, królewiczu mój! — Władko zawoła, ręce składając — pragnęć ja wszystko uczynić, cobyście wy kazali, aleć na Litwę iść pragnąłem ja z szablą, aby pokarać rozbójników za siostrę Baśkę i brata Władka; a zaś jechać z poselstwem, to wcale inna jest rzecz, to nie szabli chyba potrzeba, jeno rozumu dużego, a ja go nie mam, i z przeproszenim waszéj miłości, czyliż to król miłościwy zechce takiego jak ja, uczciwszy uszy, błazenka, z posłami posyłać? Toż tam sami znaczni i mądrzy panowie pojadą?...

— Nie bój się nic — królewicz na to — Jaśko z Mielsztyna ma takie u króla jegomości zachowanie, że wszystko przez niego wyjednać można, więc już się na to poradzi, aby ciebie przy poselstwie naznaczono. Tylko ty mi się dobrze spraw. Że pojadą znaczni i mądrzy, to prawda, ale przy nich, im do pomocy i rycerskiéj usługi, i dla orszaku, będzie też niejeden skromny szlachecki młodzian dodany, tak będziesz i ty. Że zaś to nie wojenna wyprawa, tem ci łatwiéj pani matka twoja jechać pozwoli, a ty znów nie myśl, aby wtem już wcale żadnego zaszczytnego niebezpieczeństwa dla cię nie było, gdyż do takiego pogaństwa jechać, choćby z posłami, zawsze to trudna rzecz!

— Niechajże wszystko będzie wedle rozkazu waszéj miłości!.. jeżeli tylko ojce pozwolą... — rzekł Władko, spoglądając na dziada i nie wiedząc sam, czy się cieszyć lub smucić, bo i z chaty na szeroki świat wylecieć chciało mu się okrutnie, i matki żal mu było opuszczać, i wstyd go zdejmował, że nie na wojenkę pierwszy raz ma z domu wyruszać.

— A czy pozwolą?... — spytał jakby troszkę proszącym głosem królewicz, spoglądając także na dziada z pod oka jakoś.

— Czemu nie, jeżeli taka wola miłościwego króla i królewicza jest; a toż zaszczyt niemały na chatę naszą spada, jakiego nikt tu nie zasłużył — dziad rzecze.

— Gadaj zdrów, dziadu i bywaj zdrów, świeże są jeszcze te lelije, które widzę tam na waszéj tarczy, a no wiem i ja, za co ci dane zostały — odparł królewicz i wstał od stołu, uprzejmie gospodarstwo żegnając i za pożywienie zgłodniałych dziękując:

— A po tych smakołykach napiłbym się jeszcze wody wszelako — dodał. — Skoczyła pani Zofia i obmywszy a otarłszy czysty kubek, coprędzéj z nizkim ukłonem wody w nim podała, aż królewicz, odpiąwszy drogą spinkę od żupana u szyi, wodę wypił, a spinkę w kubek puścił. A pani Zofia rzekła:

— Takiż to królewski obyczaj, szczęście i zaszczyt uczyniwszy chacie, jeszcze ją za to darzyć: synu Władku, klejnot ten w rękojeść szabelki tobie pan ojciec oprawić każe, abyś tą szablą nieprzyjaciół króla i ojczyzny zwyciężał!

— Amen! niech tak będzie! — powiedzieli dziad i ojciec.

Królewicz Kazimierz tajemniczem mrugnięciem młodego Władka pożegnał.

Po odjeździe królewicza z orszakiem, dziad zaraz opowiedział synowi i synowéj o woli jego i pani Zofia wpół smutna wpół radosna z zaszczytu i z tego, że nie na niebezpieczną wojenkę pieszczoch jéj pojedzie, zajęła się wraz z mężem przygotowaniem szat odpowiednich podróżnych i grosiwa jakiego takiego zebraniem; trzeba też było i konia, i zbroiczki jakich lepszych niż te, któremi się dotąd chłopak przy domu obchodził. A w tem z wielkiem wszystkich zdziwieniem wjechał na podwórze pewnego dnia dworzanin królewski, prowadząc luzem pięknego konia wraz ze skromnem ale całkowitem rycerskiem uzbrojeniem; król to przysłał Władkowi wraz z podzięką za ugoszczenie syna i wezwaniem aby młody szlachcic stawił się u królewskiego dworu. Nie zwlekając zatem udał się zaraz Władek w drogę wraz z dworzaninem, pożegnany gorącemi błogosławieństwy ojców i dziada, przewidujących, że go już teraz nie prędko zobaczą.

VII.

Na mały czas przed wyżéj opisanymi wypadkami roku 1323, Gedymin, W. ks. litewski, poganin, pisał do papieża Jana XXII długi list, a w nim między innemi było: „Ojcze święty, my nie walczymy z chrześcijanami, aby tępić ich wiarę, lecz aby się bronić od sro-

gich krzywd krzyżackich. Oto dla prześladowań i przemocy Krzyżaków, król Mendog, będąc wprzód ochrzczonym, odstąpił od téj wiary, a poprzednik nasz król Witenes napróżno wzywał do Litwy kapłanów chrześcijańskich i kościół im w kraju swoim ofiarowywał. Kapłanów nie dopuścili Krzyżacy i kościół spalili."

Następnie wyliczał Gedymin bezprawia Zakonu i wzywał nad sobą i Litwą opieki papieża, obiecując przyjąć wiarę chrześcijańską, a za to prosząc aby nie był przez Krzyżaków trapionym.

List był widocznie pisany ręką którego z mnichów, przy boku Gedymina będących. Współcześnie rozesłał Gedymin listy do miast hanzeatyckich, Lubeki, Roztoku, Stralsundu, Greiswaldu, Stetyna i Wisby, inne do zakonników Ś. Dominika (zakonu kaznodziejskiego) i do zakonników Ś. Franciszka (Minorytów), które to listy gorliwie rozwieźli i rozrzucili mieszkańcy Rygi.

Listy te potwierdzają tylko list ów pierwszy. Pismo dane do miast związek Hanzy składających uwiadamia je, że Gedymin pisał do papieża w chęci przyjęcia wiary i oczekuje na posły Ojca Św. z odpowiedzią; obiecuje im pokój „jakiego dotąd w chrześcijaństwie nie bywało". Oznajmuje, że zebrał duchownych zakonu kaznodziejskiego i Minorytów, kapłanów prawdziwych *nie mnichów obłudnych i przedajnych.* Nadaje swobodę handlu w całéj swéj ziemi bez poboru cła, opłat i myt, wszelkiego stanu ludziom, zapraszając ich do państw swoich, jako to: kupców, żołnierzy rzemieślników, kowalów, szewców, cieślów, kamieniarzy, solników, złotników płatnerzy, rybaków, aby z rodzi-

nami, z żonami i dziećmi osiadali w Litwie; nadaje im swobodę wynijścia na powrót bez przeszkody, opiekę im od poddanych swych przyrzekając Wzywa także wieśniaków, rolę uprawiających, na dziesięć lat zapewniając im grunta bezpłatne, przez pięć lat od wszelkich ciężarów królewskich uwalniając, po upływie zaś tych lat tylko dziesięcinę wedle dobroci pól, dawać będą obowiązani, co daleko korzystniejszem dla nich było, niż prawa służące osadnikom w innych państwach. Dla lepszego ubezpieczenia, dwa kościoły Minorytów w Wilnie i Nowogródku są postawione, trzeci O. O. zakonu kaznodziejskiego, aby każdy wedle wiary swéj Boga chwalił. Że postanowienie to niezmiennem być ma, urzędowym aktem zaręczył.

Dowiedziawszy się o tych listach i zamiarach W. księcia litewskiego, Krzyżacy zawrzeli gniewem, gdyż były one jedną tylko długą skargą na krzyżackie bezprawia i wyliczeniem środków ku zrzuceniu ich jarzma. Krzyżackie istnienie całe w Prusach, miało jedynie za urzędowy cel nawracanie pogan, pod którym to pozorem chrześcijańscy ci rycerze dopuszczali się na Litwie i Żmudzi takich samych okropnych bezprawi, jak poganie na Polsce, rabując przytem wszystkich, kto żył naokoło i rosnąc w potęgę z rozboju. Starali się oni skrycie przytem, przeciwko pozornemu celowi swemu, nie nawracać pogan wcale, mordując ich tylko, a to dla tego, aby ciągle istniało pogaństwo, i oni mieli kogo rabować. Jawne przyjęcie chrześcijaństwa przez Litwę podkopywało istnienie zakonu, czyniąc go niepotrzebnym w Prusach, i dlatego oddawna starali się

oni wszelkiemi siłami, jak to właśnie pisał Gedymin, przeszkodzić porozumieniu książąt litewskich z papieżem, ci zaś ze swéj strony nieraz już probowali tego środka, aby się przezeń poddając papieżowi pod jego i chrześcijaństwa opiekę, uwolnić od przemocy straszliwych Krzyżaków.

Obecnie stało się to samo, Gedymin w listach swych okazywał się gotowym do przyjęcia chrześcijaństwa, a Krzyżacy, wrząc chciwością i gniewem, postanowili znowu wszelkich użyć środków, aby porozumienia z papieżem nie dopuścić i nie dać takiéj smacznéj rybie, jak Litwa, wymknąć się z ich szponów drapieżnych. Zakon przez licznych swych szpiegów czynił co mógł, aby listy przejąć i wcale ich do papieża nie dopuścić, ale to się nie udało; zebrał tedy mistrz biskupów, warmińskiego, samlandskiego, pomeżańskiego, namawiając ich na swoję stronę, a rzeczy wystawiając po swojemu, aż namówieni Franciszkanie od siebie niby, ale za dyktowaniem zakonu, odezwali się do Rzymu, opisując tak właśnie czynności W. ks. litewskiego, jak list jego wystawiał czyny zakonu: okrucieństwa, najazdy, świętokradztwa i t. d. Gedymina srogim poganinem, kraj jego gniazdem łotrów, a chęć nawrócenia obłudą nazwano, uniewinniając całkiem zakon, który nietylko jakoby nie przeszkadzał do przyjęcia wiary, ale owszem usilnie nad tem pracował. Opaci Cystersów, oliwski i pelpliński, pisali w tymże duchu do Ojca Św.

Ale wszystko to nie wiele pomogło, bo w Rzymie wiedziano, że obie strony powodowane były osobistym interesem. To też papież pragnący przedewszystkiem

rozszerzenia dobroczynnych wpływów chrześcijaństwa, pomimo usilnych starań Krzyżaków, dał do mistrza zakonu list, w którym zabronił im napastować Gedymina, jeśliby wiarę chrześcijańską przyjął. Oznajmił również papież w tym liście, że na żądanie Gedymina wysłał ku niemu Bartłomieja, biskupa Aletu i Bertranda, opata monasteru S. Teofreda, jako posłów stolicy apostolskiéj, dla nawrócenia i chrztu panującego i jego poddanych. Zaczem zaleca najusilniej Krzyżakom pod posłuszeństwem, aby po nawróceniu Gedymina nie śmieli najmniéjszéj krzywdy mu wyrządzać i zostawali z nim w pokoju i zgodzie. Przedewszystkiem zaś ustanowiono między Gedyminem i Krzyżakami natychmiastowy rozejm. Gedymin przez księży mu przychylnych i szczerze nawrócenia Litwy pragnących wiedział o tych papieża rozkazach i zdawało mu się, że już teraz spokój powinien mieć od Krzyżaków; tymczasem oni niby najniewinniéj umieli sam jego lud, nie rozumiejący własnéj sprawy, a taki rozbójniczy jak i oni, przywieść do zaczepki, aby niby nie na nich była wina zrywania rozejmu, a potem po stokroć oddawali mu wet za wet i mordy i pożogi wrzały daléj nie ustając.

Jednocześnie zakon, przyjmując u siebie w Prusach z wielkiem uszanowaniem owych legatów papiezkich, Bartłomieja i Bernarda, wprzódy nim się oni zobaczyli z Gedyminem, potrafił wpłynąć obłudnemi słowy na ich przekonanie i otumanić ich. Wysłany też od tego poselstwa papiezkiego do Gedymina Sedegałło podchwycony został w drodze przez Krzyżaków i zamordowany, aby porozumieniu posłów z Gedyminem przeszkodzić.

Skutkiem tego wszystkiego, gdy nareszcie Bernard opat, Gedyminowi list papiezki dowiózł, winszując nawrócenia się na wiarę i ofiarując pomoc swoję, Gedymin rozjątrzony ciągłemi i ciężkiemi krzywdami, mimo rozejmu trwającemi w obec wielkiego zgromadzenia bojarów i kunigasów swoich odpowiedział uroczyście, zapierając się listów swoich do papieża i przysięgając, że nigdy znać nie chce innéj wiary nad tę którą wyznaje. Krzyżacy dokazali swego: potrafili dowieść pogańskiemu księciu, że nawet papież nie może Litwy przed zakonem obronić, zatem Gedymim, w mniemaniu, że zakon silniejszym jest od papieża, ponieważ nie posłusznym mu być może, nie widział już dla czegoby miał szukać nie pożytecznéj mu opieki stolicy apostolskiéj, i przeto po pogańsku wyparł się niedawnych słów i zamiarów swoich. Jednocześnie przecież szukając gdzieindziéj pomocy do opierania się napastnikom, téj pomocy, któréj jak sądził nie znalazł w Rzymie, zwrócił się po nią do najbliższych sąsiadów, do Polski, dotąd uciemiężanéj i napadanéj przezeń tak samo, jak Litwa i przez Krzyżaków.

Takie to w najkrótszéj treści swéj zaznaczone powody i przyczyny, wśród wielu innych tym podobnych, przygotowały pierwsze dziejowe zbliżenie pomiędzy Polską i Litwą. „Przymierze z Władysławem Łoktkiem nowy cywilizacyjny pierwiastek wprowadziło na Litwę i dowodziło wymownie, że Gedymin nie miał fanatycznego wstrętu ku wierze chrześcijańskiéj; że nie myślał o jéj zagładzie; a walcząc z chrześcijany walczył jako z sąsiady tylko, wedle słów listu do papieża. Pomoc,

jaką mógł dać Gedymin Łoktkowi przeciw Krzyżakom, Brandeburczykom, cesarzowi, Czechom i Tatarom, wchodziła z drugiej strony w rachunek.”

„Po wstępnych zatem i wielce tajemniczych umowach, jak to zwykle w podobnych razach między państwami bywa, król Łoktek, naradziwszy się z duchownymi i świeckimi panami, wyprawił uroczyste już i jawne do Gedymina poselstwo, prosząc o rękę córki jego Aldony dla syna swego Kazimierza, około szesnastu lat wówczas mającego. W posagu żądał wolności dla mnogich jeńców polskich, w niewoli u pogan uprawiających ziemię, wznoszących ich grody.”

Zaledwo rzeczy te zaczęły na jaw wychodzić i poselstwo zabierało się dopiero w drogę do Litwy wyruszać, już w obu państwach niemniéj jak i w innych okolicznych i u Krzyżaków, przerażonych takiem połączenim się w jednę siłę dwóch dotychczasowych wrogów, rozniosła się o tem wieść lotem błyskawicy. Niepokój, nadzieja i obawa, zapanowały wszechwładnie. Nie jedna biedna matka w Polsce, opłakawszy już dawno stratę dzieci, odżyła teraz nagle nadzieją niespodzianą, myśląc sobie:

— Mają wracać do gniazda jeńcy, przez Litwinów z Polski naszéj zabrani? a nuż i moje dzieci tedy powrócą?... przecież ich nieżywemi nie widziałam; zatem któż wie, czy ich żywemi teraz nie ujrzę!—i w obec téj nadziei radowały się biedne matki, zalewając się łzami jednocześnie na myśl, że nadzieja ta i radość płonnemi być mogą. A tymczasem znów Litwin nie-

jeden spoglądał na swoje pola, uprawiane rękami polskich jeńców i mruczał:

— A żeby was Perkunas *) trafił... wy panowie, którzy nad nami moc macie i ty, Gedyminie nasz i ty Łoktku sąsiedzki... jeżeli naprawdę jeńców każecie nam oddawać! A to piękna rzecz! Słyszał to kto! Oto wojownik, zdobywszy jaką taką broń, opuszcza chatę i rodzinę, polowanie, rolę, wygody, i z narażeniem własnego życia pędzi na rozkaz swego *reiksa* czy tam *kunigasa* **) na Lacha, Krzyżaka lub Rusina, z ciężką pracą dorwie się do łupu, z cięższą jeszcze biedą dostawszy jeńca, zwłaszcza dziatwę, dowlecze się z tym kłopotem do domu, aż tu oddawaj tę zdobycz na wspólny podział... Podzielą na trzy stosy, jeden na skarb wezmą, drugi na kapłanów, a trzecim dopiero wojowników obdzielą... Oj oj, cóż to przytem wszystkiem trudu, nim sobie z kilku dzieciaków wyprosisz z jeńców gromady, bo dzieciak prędzéj się odtęskni niż starszy jeniec i łatwiéj do niewoli nawyknie; a no jak to z małego wyhodujesz i zaczynasz na polu i w chacie mieć ład i pomoc z niewolnika lub niewolnicy, to ot masz co nowego: Kunigas Gedymin obmyśli sobie przyjaźń i pokrewieństwo z kimciś i ty Litwinie, na raz jeden dla przyjaźni Kunigasa Gedymina oddawaj temu komuś napowrót niewolnika i niewolnicę własną, którzy są twoją prawą ręką, twoim majątkiem!... Ależ to jest straszna zgroza, to niesłusznie, tak nie powinno być! I, może to jeszcze nieprawda!

*) Perkunas bóstwo litewskie, właściwie piorun.

**) *Reiks* wódz. Kunigas panujący książę.

Tak mniéj więcéj mruczeli sami do siebie mrukliwi z natury Litwini, i tak rozmawiali półgłosem w głębi swych domostw, nie pojmując zupełnie korzyści ze związku z Łoktkiem i jego państwem, a niechętni zwracaniu brańców, którzy stanowili najbardziéj pożądaną część zdobyczy i byli warunkiem zamożności i dobrobytu dla swych właścicieli.

I tak też, a przynajmniej w tenże sens, rozmawiali z sobą pewnego rozkosznego popołudnia wiosennego trzéj starzy, lecz krzepko wyglądający Litwini, siedzący wygodnie na małem urwisku u stóp wysokiéj góry nad rzeką Wilią. Na górze w oddali wznosiło się miasto Kiernow, o pięć mil oddalone od budującego się właśnie naówczas Wilna, a będące najdawniejszym grodem pogańskiéj Litwy i najpierwszą stolicą jéj książąt. Trzéj starzy, odziani w żupany dostatnie z samodziału, śpięte ogromną mosiężną klamrą z wyrzniętemi na gładkiéj blasze symbolicznemi litewskiemi figurami, mieli na nogach sandały, a na głowach letnie kapelusze słomiane, kształtu nawy, domowéj roboty, i rozmawiając a raczéj gawędząc z sobą, rzucali co chwila badawcze spojrzenia, a często i krótkie napomnienia lub rozkazy kilku młodym towarzyszom, którzy na około nich dozorowali sporéj gromadki pięknych i strojnie przybranych koni spętanych i pasących się na bujnéj łące. Młodzi ubrani byli podobnie jak starzy, tylko klamry śpinające ich żupany były w przeróżne kształty wyginane, najczęściéj w kształt węża, zwiniętego spiralnie.

Kilka ogromnych koszów starannie nakrytych

stało u boku starców, odpędzających od nich konie, ilekroć który przypadkiem się zbliżył. Wszyscy ci ludzie, tak starzy jak młodzi, z ubioru, z zachowania się i zajęcia wyglądali widocznie na służbę, zależną od innéj daleko liczniejszéj gromadki państwa, bawiącéj się przy odgłosie hucznéj muzyki na prześlicznéj, rozległéj łące w pobliżu tak równo zieloną murawą usłanéj, kwiatami strojnéj i zacisznie pomiędzy górą i lasem ukrytéj, jakby śliczną tę miejscowość przyroda sama umyślnie na wesołe zabawy dla żwawéj przeznaczyła młodzieży, niby wspaniałą salę w tem zamczysku starem, któremu sklepieniem jest niebo, a ziemia podstawą. I rzeczywiście widocznem jest, że liczna i strojna młodociana drużyna z Kiernowa, wyprawia tu sobie jakąś wycieczkę zamiejską z ucztą i z tańcami, o czem świadczą wzmiankowane kosze do żywności używane, i zabawa, któréj oddają się wszyscy z niezmiernem ożywieniem. Zabawa ta jest to znana i pospolita litewska „jaskółka” *blezdingieli* po litewsku zwana. Taniec ten odbywa się gdziekolwiek na otwartem polu, pospolicie na obszernéj łące. Chłopcy z dziewczętami stają najprzód parami w rząd a potem śpiewając:

Jaskółeczko,
Lataweczko,
Frru! Frru!
Najmilsza,
Najdroższa,
Frru! Frru!

Pierwsza para się okręca i przechodzi pod rękami drugiéj, a za nią inne łańcuchem także się okręcają i przechodzą pod rękami par następnych, co niezmier-

nie malowniczy sprawia widok i najdoskonaléj lot jaskółki naśladuje. Taniec ten powinien się odbywać z największą szybkością. Po kilkakrotnem takowem przetańcowaniu, formują potem tanecznicy kąt ostry, w jednéj linii stają chłopcy, w drugiéj dziewczęta i znowu w rozmaitych kierunkach pląsają, nie psując bynajmniéj figury kąta i śpiewają:

Braciszki, siostrzyczki,
Polecim, polecim!
Do zielonéj dąbrowy,
Polecim polecim!
Fiut, fiut, jaskółeczko!
Fiut, fiut, lataweczko!
Myśliwy nie zastrzeli!
Myśliwy nie oszuka!

Oczywiście dziesięć par młodych Litwinów i Litwinek tańczących Jaskółkę na kwiecistéj łące pod Kiernowem śpiewało jedynie po litewsku tę piosenkę, którą tu w polskim przekładzie podajemy. Spiew był donośny i dźwięczny, bo z dwudziestu silnych młodzieńczych piersi rozbrzmiewał, a ruch dziesięciu par lub dwóch linij wzmiankowych tak szalenie chyży, pomimo iż niezmiernie prawidłowy, że patrzącéj zdaleka służbie w oczach się mienić i mroczyć i w głowie zawracać zaczynało od samego widoku zawrotnego do szału tańca, migocącego w dodatku mnóstwem barw, czego wśród prawdziwych jaskółek nie bywa.

— Ej, ależ tańczą bo tańczą dziś na umor nasze książątka! — pomrukiwał ten i ów ze służby, podrygując mimowoli w takt piosenki i lotnego tańca.

— Ho!... bo dziś Kunigas, młody Kiejstut z siostrą Aldoną taniec w pierwszą parę prowadzą! — ze śmiechem objaśnił jeden z trzech starych dworzan, pilnujących koszów i porządku wśród młodych stajennych.

— O o!... to prawda: wszystkim Gedyminowym dzieciom nie brak ognia, ale co Kiejstut i Aldona, to już jakby iskry same! Nie tak to dziś prędko ochota ustanie, kiedy oni prowadzą.

— No no, niechże i lasy i góry też naśmieją i nahukają się porządnie — rzekł najstarszy z trzech, stosując te słowa do dziwnie a wesoło brzmiącego echa, które i od ścian lasu i od gór nadlatując, napełniało okolicę stokroć spotęgowaną wrzawą wesela, i zaraz dodał stary frasobliwie:

— A Lajma *) niechaj sprawi, aby nam i Aldonie radość i ochota nie przepadły przy tych nowych odmianach, o jakich ojciec Gedymin zamyśla.

— O, ty, złowróżbny stary zającu! czemuż tak ciągle Gedyminowi i jego zamysłom drogę przebiegasz! — oburzył się po przyjacielsku młodszy towarzysz mówiącego, czyniąc w ten sposób przystosowanie do pospolitego i w Litwie przesądu, że zając, przebiegający w poprzek drogę podróżnemu, jest dlań złą wróżbą.

— To nie ja, tylko doświadczenie starości tak wróży — odparł tamten, z gniewnym pomrukiem wzdychając — Czy wiesz ty, młodziku, dla czego, gdy tam o pięć mil ztąd przy ujściu Wilny do Wilii przed da-

---

*) Lajma, bóstwo szczęścia.

wnemi laty wielki nasz książę Swintoróg wzniósł w lesie dębowym, świątynię, i ołtarz na cześć Perkuna wystawił, a na ołtarzu ogień Znicz nasz święty rozniecił, a kapłani, wieszcze i kapłanka, do téj chwili, do dziś dnia tenże sam ogień tam utrzymują, pilnując go dniem i nocą, aby nie zgasł, choć łatwo byłoby im nowy ogień po zagaśnięciu dawnego rozniecić... czy wiesz dla czego oni ten dawny czczą i pilnują?... Oto dla tego, że jest stary! I to powiedziawszy sędziwy dworzanin odwrócił się od młodych.

— Ej, no, nikt przecież nie myśli starości uwłaczać — rzekł któryś z młodych układnie, usiłując rozsierdzonego staruszka ułagodzić — ale czemuż bo ty, Witginsie, tak bardzo oburzasz się na Kunigasa naszego Gedymina robotę? Przecież i on już stary jest, więc też powinien wiedzieć, co robi!

— I pewno, że wie — dodał inny młody dworski —Wszak to ludzie dziwy o téj Polsce opowiadają, jakie to tam wielkie miasta, świątynie, a w nich Znicz wcale nie płonie; mówią, że tam słudzy chodzą w piękniejszych szatach, niż Kunigasy u nas, ech... toż jak się polscy z naszymi pokumają, to i do nas te wszystkie dziwy przyjdą, które teraz wtedy i ten tylko ogląda, kto je na Polakach zrabuje... A przecież jeżeli prawda, co ludzie mówią, że któraś nasza Gedyminówna, czy wszystkie mają za żony królom polskim być dane, to przecież jaki taki orszak z niemi do Polski pojedzie; ot to dopiero szczęśliwy na kogo los ten padnie!...

Młodzik byłby dalej coraz większym rozprawiał zapałem, czego młodzi towarzysze chciwie słuchali, sku-

piwszy się w gromadę, ale wtem stary Witgins przerwał mu gniewnie starem przysłowiem:

— *Kas Diewo żaddēta, bus ir attessēta* „Komu Bóstwo przyrzecze, temu dotrzyma" tylko nie młodzikowi rozum, bo temu, choćby go i wszyscy bogowie przyrzekli, to on głupim zostanie! O ty, nicponiu, to tobie źle jest żyć ojcowym obyczajem? tobie się książęcych szat zachciewa? i świątyń kamiennych, w których Znicz nie płonie? i myślisz, że jakby, czego niech Łajma nie dopuszcza, która z córek naszego Kunigasa na kraj świata na inną wiarę jechała, to marszałkiem na jéj dworze zrobionoby takiego głupca, jakim ty jesteś?.. Otóż się mylisz, bo głupców nigdzie nie brak, więc by ich nie potrzebowano od nas sprowadzać; a wiedz o tem, że Polacy za nic mają nasze bogi, bo sami są chrześcijany, tedy jakby tylko mogli co u nas po swojemu odmienić, to najprzódby nam święte ognie pogasili w świątyniach. Ano każdy wie, że póki Znicza świętego, póty Litwy, zatem, jakby Znicz zagasł, toby wszystkiemu i Litwie saméj koniec ostateczny był, i wszystkiemu co litewskie, a nawet takiemu głupcowi, jak ty! — I znowu odwrócił się stary od młodego, a tymczasem, gdy młodzi zgromadzeni umilkli na chwilę, inny stary rzekł, kiwając głową frasobliwie:

— A słyszeliście, co powiadają o jeńcach?... ej, chyba w tem jeżeli nie wszystko, to choć połowa musi być pustéj gadaniny ludzkiéj: gdzieżby też Kunigas Gedymin miał nakazywać, aby wszyscy niewolników z Polski wziętych oddawali, niby to w wianie Kunigasówny Aldony?... A tożby nie jedno gospodarstwo ze

wszystkiem zmarnieć musiało!... toż to niewolnika tysiące muszą być!... bo każdy z naszych, idąc na Polskę, bardziéj jeszcze na niewolnika niż na jaki bądź inny łup się czai a dybie!

VIII.

Wszyscy słuchacze mieli już pomrukiem przyznać słuszność mówiącemu, lecz nie stało na to czasu, bo oto właśnie ruchliwy wir jaskółczy, na łące rozigrawszy się i rozbujawszy szalenie, nagle rozleciał się i pojedyncze jaskółki poupadały na murawę bezsilnie, goniąc ostatkiem tchu, ale śmiejąc się, aż się echo rozśmiało. Huczna muzyka umilkła, a konie głośnem rżeniem odpowiedziały na śmiechy, poznawszy zapewne głosy swoich pań i panów. Natychmiast wstał stary dworzanin Witgins i wraz z towarzyszami otwarłszy kosze, zaczął roznosić i rozsyłać pomiędzy młodych państwa tych koszów zawartość. Była to oprócz zwierzyny przedewszystkiem „*skabe-putra*" ulubiony przysmak Łotwaków, ale i przez całą Litwę używany, zwłaszcza jako ochłoda w czasie zmęczenia zabawą lub latem pracą w polu; jest to rodzaj marmelady, przyrządzonéj z buraków i różnych owoców leśnych, a także krup jęczmiennych lub gryczanych, co wszystko wraz z mnóstwem przypraw zalewa się po ugotowaniu kwaśnem mlekiem, potem pozostawia w kuble na dni kilka, aby dobrze zkwaśniało i je się na zimno. Letnią porą przechowuje się tę potrawę w sakwach ze skór baranich lub cielęcych, i w nich niesie ją się na pole i tak też właśnie przynie-

siono ją między innemi w koszu na łąkę, dla ochłody roztańczonym książętom. Były prócz tego w koszach i *kiepszaszas* to jest pieczone głowy baranie, przysmak żmujdzki; i *chołodzieć* i *boćwina*, to jest zupa kwaśna z młodych łodyg buraków, gotowana z wędliną i zabielona śmietaną; i *wereszczaka*, czyli młoda słonina smażona z sosem.

Czternaścioro dzieci Gedymina, siedmiu synów, siedm córek, i sześcioro młodych ich towarzyszy, okazało do uczty tyleż ochoty, co i do tańca; pieczenie zarówno jak przysmaki, znikały w miarę ich podawania. Prócz wymienionych, były tam jeszcze dwie starożytne i ulubione litewskie potrawy: końskie mięso i pewien rodzaj pasztetów dzisiejszych, to jest formy zrobione z ciasta i zasuszone, w które nakładłszy mięsa i owoców, zasklepiano ciastem i gotowano to lub pieczono, i te największą cieszyły się wziętością, choć niczem nie gardzono zresztą, a już najmniéj piwem, miodem i mlekiem klaczy, podawanem w ogromnych rogach.

Istnieje przekonanie ludowe, że jakim kto jest do jadła, takim i do pracy; i wedle tego mniemania, dzieci Gedyminowe, dzielne do pracy być musiały, niemniéj jak do tańca, jednakże mimo całą żywość, zmuszona była cała ta gromadka jedząc posiedzieć chwilę spokojnie, i wtedy też dopiero można było przypatrzeć jéj się i rozróżnić pojedyncze osoby, co w czasie tańca niepodobieństwem było. Okazywało się tedy najprzód, że nie wszyscy byli tu tak bardzo młodzi, jakby z ochoty do żwawego tańca wnosić można, bo Narimund

najstarszy z obecnych, był już średniego wieku mężczyzną, najstarszego zaś ze wszystkich Gedyminowiczów Montwida wcale tu nie było. Olgerd i Kiejstut mieli po dwadzieścia kilka lat wieku, a Lubart, Koryat, Jawnut i Lubko coraz to młodsi; ten ostatni chłopaczkiem był prawie dopiero Tak samo i córki dwie najstarsze Gedymina nosiły już tak zwane „abglojme”, strój głowy mężatek, Aldona była dorosłą dziewoją, a cztery jéj młodsze siostry, zaledwo wchodziły w wiosnę życia. Sześć innych osób były to żony i mężowie dziatwy Gedyminowéj, znajdował się też wśród nich młody dworzanin Butowd, zawezwany do książęcego towarzystwa jedynie tylko dla dotrzymywania pary młodéj Baniucie, ulubionéj towarzyszce Aldony, a córce starego zasłużonego Witginsa.

Rozpierzchłe w téj chwili na zielonéj murawie plemię Gedymina dziwnie barwnie wyglądało, bo strojne było po wielekroć bardziéj, niż piosenka ludowa opowiada o żonie jednego z obecnych tam właśnie, ale nieżonatych podówczas jeszcze bohaterów.

Swojéj roboty płótnem się stroiła,
Króciuchną w pasy spódniczkę nosiła,
Na białéj szyi bursztyna sznureczek;
Na światłych włosach ruciany wianeczek.

Niektórzy z bawiących się na łące pod Kiernowem książąt mieli wprawdzie mimo czy też z powodu wczesnéj wiosny futrzane z wiszącemi uszami i stożkowato zakończone czapki (kiapure) i suknie tak zwane *prijostis* (przypaśne), z białego sukna (gełumbe) pasem skórzanym przypasane, a na nogach skórzane kurpie

lub bogato wyszywane sandały i szerokie spodnie do kolan, gdzie podwiązkami *pakieles* utrzymane były: inni mieli kaftany krótkie, opięte, z pętlicami, bramowane futrem dla ozdoby; ale za to strój dziewcząt i kobiet daleko był wykwintniejszy. Przeważało istotnie w tym stroju płótno domowéj roboty w pasy lub szare, gdyż z niego noszono suknie do kostek sięgające, ale prócz tego pstrzyły się i barwiły spódnice *padurkaj* gorsety i obcisłe kaftaniki, wszystko bramowane, obszywane, a co do pętlic, bursztynów, zausznic, iglic do włosów, pierścieni, łańcuchów, naramienników i sprzączek, nietylko mosiężnych, lecz i srebrnych nawet, tych nadmiar przeciążał ubranie. Zresztą chustka, *skara*, białe zawicie w koło głowy zwane *kykas* lub pstre *merginne*, odznaczało mężatki, gdy panny miały na głowach ciemne ruciane wianeczki z mnóstwem wstążek różnobarwnych, sznurów, błyskotek i spuszczone warkocze, a wśród tych ozdób, u rękawów, u pasa, u skraju szat i wszędzie dźwięczały za każdym ruchem maleńkie poprzyszywane dzwoneczki. Z mężczyzn nikt nie miał brody ani wąsów, które Litwini zapuszczali na starość dopiero.

Gdy tak strojne i wesołe grono posilało się chciwie i śpiesznie, tymczasem grajkowie, stojący opodal na boku, spocząwszy przez tyle tylko czasu ile potrzeba było na wychylenie ogromnych rogów pełnych końskiego fermentowanego mleka, najmocniejszego z napojów, uderzyli znów i zadęli w swe muzyczne narzędzia, a te były: *wamzis*, dudka kręcona z kory wierzbowéj, lipowéj i t. p. *świstałka* z metalu, *dzindzinis* o jednéj że-

laznéj strunie, napiętéj na szerokiéj łuczynie, *molinka*, dutka z gliny, jako też *trymytaj* i *sutartinej*, trąby długie na kilka sążni, robione z wydrążonego prostego drzewa, spojonego kilka razy, których końce wprawione były w ogromne kubły, co jeszcze powiększało niezmierną donioslość ich dźwięku.

Najstosowniejsza to muzyka, gdy rozlega się w głębi odwiecznych lasów, i taką też właśnie zagrzmiały one znowu teraz po krótkiéj chwili spoczynku, tak huczno a potężnie, że młoda Aldona, znana z zamiłowania w hucznéj muzyce i zabawie, nie mogła się oprzeć temu wezwaniu: żywym gestem rzuciła na murawę piękny nieduży róg w bursztyn oprawny, którym piła miód złocisty, i chwyciwszy z za pasa maleńki toporek, poskoczyła jak sarna na środek łąki, wywijając nim zręcznie i silnie po nad głową i kręcąc się w koło, wołała na wpół żałośnie:

— Topór! topór! *kirwis!* Braciszki! siostrzyczki! *brolelej! seseles!* kiedyście się zjechali, żeby ostatni może raz z siostrą się ucieszyć, zanim ja na kraj świata między obcych ludzi pojadę, braciszki, siostrzyczki, jeżeli mię kochacie, zatańczcie jeszcze ze mną topora, ostatni może raz! ostatni!...

Młodsi naprzód, starsi za nimi pobiegli na to wezwanie, porzucając jadło i otaczając siostrę, ujęli się za ręce i kołując na około niéj, śpiewali:

Tańcujmy, tańcujmy,
Dzisiaj dobry czas,
Kto tańcuje, kto się bawi,
Ten jest dzieckiem naszem.

Walditoju - bogiń
Prośmy o! o!
A boginie nam pomogą,
Jeśli nie dziś to jutro.
Dzisiaj pijemy, hulamy,
Bo dzisiaj nasz czas,
A zaś jutro, kto przewidzi,
Gdzie każdy się podzieje.
Ty, dzieweczko najpiękniejsza,
Jednego z nas wybierz,
Który śmielszy chłopczyna,
Temu topór rzuć!
Temu topór rzuć!
Ho! ho! temu topór rzuć!

Przy okrzykach „ho ho" księżniczka Aldona, znajdująca się w kole, z niepospolitą zręcznością i siłą rzuciła topór ostry wysoko w górę, bracia i krewni skoczyli go chwytać w powietrzu, chwilę trwało zamieszanie, aż spadającą broń pochwycił książę Kiejstut, mniejszy od braci i smuklejszy, a zwinny, gdy oni nawet młodsi od niego mniéj byli zręczni w postawie i ruchach. Pochwyciwszy, skoczył do Aldony i tańcował z nią rzeźko w pośrodku koła, które znowu się naokół nich utworzyło, tańcując także; przetańczywszy, Kiejstut i Aldona pocałowali się i złączyli się z kołem, a jedna z młodszych siostr Aldony zajęła jéj miejsce w jego środku z toporem w ręku i śpiew i taniec zawsze przy grzmiącéj muzyce rozpoczął się na nowo.

„Początek tego tańca musi sięgać głębokiéj starożytności, pisze Jucewicz, gdyż w śpiewie wspomina się o Dejwach Walditojach. Dziki to zaiste lecz prawdziwie wojennego narodu taniec."

Tak tańcowano, aż grzmiało i huczało w okolicy, dopóki zmęczenie nie zmusiło młodzieży do nowego spoczynku i pokrzepienia się jadłem i napojem, które służba znowu roznośiła. A w tem, sam Witgins zasłużony, wziąwszy jakąś misę, niósł ją powoli i uroczyście, umyślnie przechodząc tuż koło książąt i księżniczek, aby oni musieli zwrócić oczy na ową misę, niesioną w ten odznaczający się sposób; kto spojrzał, ten otworzywszy usta z zadziwienia zapominał jeść i pić, a patrzał na misę i na niosącego ją Witginsa. Misa pełna była potrawy zwanéj *szupienia*; jest to jęczmienna kasza z grochem, gotowana z młodą słoniną... a oprócz że potrawa ta, podawana zazwyczaj na gorąco nie właściwą była przy uczcie w lesie, gdzie gotowe przyniesiono przysmaki, jeszcze w pośrodku misy zatknięty w gęstą szupienię sterczał spory zakręcony ogon prosięcy... co już było nazbyt znaczącą okolicznością, aby nie miało zaciekawić obecnych. Albowiem taki ogon i tak w misę *szupieni* wetknięty, podany na stół w obec młodzieńca, starającego się o córkę gospodarza, znaczy, że rodzice panny zgadzają się na przyjęcie owego kawalera za zięcia. Każde dziecko wiedziało o tem w Litwie, to też zjawienie się szupieni z prosięcym ogonem i sposób w jaki ją niósł stary Witgins, musiały zwrócić ogólną uwagę.

Patrzano ze zdziwieniem wielkiem, a on niósł poważnie symboliczną szupienię, aż doszedł do pewnéj młodéj parki Butowda i Baniuty, siedzącéj na uboczu i bardzo rozmową zajętéj i z wielką powagą podał misę młodzieńcowi... Huczny wybuch śmiechu dał poznać, że

patrzący zrozumieli tajemnicze znaczenie tego poczęstunku i że ich to niezmiernie ubawiło. Aldona zanosiła się od śmiechu, pomimo, że ulubienica jéj Baniuta, udając że śmieje się także, rumieniła się jednak z przykrości i wstydziła. Butowd zaś, zrywając się z miejsca, odskoczył od podawanéj mu misy, czerwieniąc się i blednąc na przemian i płonącemi gniewem oczyma radby był ubić na miejscu Witginsa, gdy tymczasem stary ten podstępny drwinkarz zmykał już co tchu wraz z kaszą na swoje miejsce wśród służby, stuliwszy uszy, garbiąc się i głowę kryjąc w ramiona z komiczną miną niedźwiedzia, któregoby niedźwiednik potężnie kijem pokropił. Radował się stary dworak, że udało mu się książęce grono kosztem Butowda zabawić.

— Ach o! Baniuta! — śmiejąc się wołała Aldona — ty więc wprzódy niż ja zostaniesz mężatką, kiedy ojciec twój przyjmuje Butowda na zięcia!

— Baniuta! — wołały inne towarzyszki — myśmy sądziły, że na żegnanie się z siostrą Aldoną przybywamy, a to widać obchodzimy zrękowiny twoje! ha! ha!

Śmiano się tylko z Baniuty, nie zważając na Butowda, który mimo to czerwienił się i bladł z oczami pełnemi gniewu i łez, cofnąwszy się w cień gromadki odwiecznych dębów. Z całego grona książęcego, jeden tylko Kiejstut, rzuciwszy okiem na niego, odczuł co działo się w duszy Butowda i gdy ten zniknął za dębami, młody kunigas rzekł do krewnych:

— Nie dobrze i niesłusznie czynimy.

— Co takiego?... — spytano.

— Najprzód to, że z tego Butowda, zwykłego nie-

wolnika, brańca, zrobiliśmy sobie towarzysza, odkąd od ziemi odrósł i obchodzimy się z nim częstokroć, jak nietylko z wolnym człowiekiem, ale nawet jakby z równym sobie; a potem to, że czasami znów pozwalamy zazdrośnikom drwić z niego, jakby on nie był zdolny odczuć wyrządzonéj mu przykrości. Ktoby z koniem chciał w ten sposób poczynać, raz pieszcząc go bez miary, a drugi raz karcąc bez winy, znarowiłby go i zrobił zeń niesforną, złośliwą szkapę, zamiast wiernego towarzysza.

— Nudzisz, braciszku — odpowiedziała Aldona — Butowd od tego jest niewolnikiem, aby nam *wolno* z nim było wszystko, a jemu aby *niewolno* było nic.

A zresztą stary Witgins słusznie go wyśmiał — rzekła jedna z młodych mężatek — bo Butowd zawiele sobie dzisiaj pozwala.

— Tak jest, to prawda — dodał ktoś inny — Butowd powinien rozumieć, że jeżeli dzisiaj tu z nami się bawi, to dla tego, żeby Baniuta miała dobrego tancerza; ale to nie daje prawa niewolnikowi zawracać oczami i wzdychać za wolną Litwinką taką, jak ona. Tak samo też, jeśli wychował się z nami, to dla tego, że ma taki dar do ujeżdżania dzikich koni i układania sokołów, jak nikt drugi, a przecież mimo to, co niewolnik to niewolnik!

— A co służalec to służalec! — ozwał się na to głos dźwięczny, drżący oburzeniem, lecz mimo to śmiały z po za gromadki rozmawiających Gedyminowych dzieci: to Butowd, idąc tamtędy niepostrzeżony, usłyszał, co o nim mówiono i odpowiedział bez namysłu,

a gdy wszystkie oczy na niego się zwróciły, dodał jeszcze głośniéj tak, aby Witgins, udający wielkie służbą zajęcie, mógł go usłyszeć: — Niewolnikiem wojennym, brańcem, może być każdy, choćby najszlachetniejszy kunigas, ale pieczeniarzem, ogryzającym całe życie kości i wylizującym misy po panach, może być tylko nikczemnik, który nie potrzebuje wcale obawiać się, iżby się kto do pokrewieństwa z nim przypytywać pragnął, gdyż toby dla niejednego brańca niewolnika ujmą było!

— O! o! o!... niechże go Perkun utrafi!... patrzajcie, jak to przemawiać się nauczył, jakby sam kunigasem był!... — mruczał gniewnym pomrukiem stary Witgins, usiłując rozgniewać książąt na dumnego niewolnika.

IX.

Jeszcze książęta nie ochłonęli ze wzruszenia, które wywołało niespodziewane zjawienie się Butowda, gdy w tem nowy, niezwykły wypadek odwrócił uwagę powszechną od młodego brańca. Grajkowie z ostatnim niesfornym jękiem swych instrumentów poczęli uciekać w popłochu, bo ogromny, rogaty potwór leśny ukazał się po za nimi na skraju lasu:

— Bawół! Żubr! Daniel! Na koń! Na koń! — rozległo się wołanie i dzieci Gedyminowe, skoczywszy na konie, rzuciły się w stronę leśnego zjawiska. Butowd, zdążywszy podać konia Aldonie, był już wraz z nią pomiędzy pierwszymi w pościgu; taneczna zaba-

wa w jednéj chwili zamieniła się w zażarte polowanie, dźwięk rogów myśliwskich zagrzmiał wśród puszczy zamiast muzyki tanecznéj. Ogromny żubr, widocznie z głębi lasów tu zawędrowawszy, patrzał przez chwilę zdziwiony na zamęt ludzi i koni, nie przeczuwając widocznie niebezpieczeństwa; aż gdy spostrzegł wymierzone przeciw sobie włócznie i poczuł kilka strzał w grzbiecie utkwionych, wtedy rzucił się bez namysłu w stronę gdzie było najmniéj nieznanych mu nieprzyjaciół. W tem to miejscu właśnie zaufany Witgins, dozorca służby Gedyminowéj, który na innym, bardziej uobyczajonym dworze królewskim byłby zapewne zwany marszałkiem dworu... układał własnoręcznie w koszach puste a drogocenne na Litwie, choćby to były z najprostszéj gliny naczynia, i nie naruszone jeszcze a obfite zapasy przygotowane na długi dzień wiosennéj zabawy.

— Ojciec mój, ojciec! — krzyknęła przeraźliwie młoda Baniuta, przeczuwszy raczéj niż ujrzawszy ruch żubra i biedne dziewczątko zwróciło gwałtownie swego konia, chcąc śpieszyć na ratunek Witginsa, ani pomyślawszy, czy było w stanie go ratować.

— Witgins! uciekaj! uciekaj w bok!...—zawołało kilka głosów z gromadki pędzących za zwierzem młodych kunigasów. Ale okrzyki te do reszty tylko zatrwożyły starego dworaka, nie odznaczającego się nigdy zbytkiem odwagi tak, że zamiast nagłem uskoczeniem w bok zejść z drogi zwierzęciu, on, służbista w każdym razie, pochwycił duży kosz, nad którym był właśnie schylony i uciekał z nim prosto przed siebie.

ile mu nóg starczyło. Lecz drżące te ze strachu nogi splątały mu się po kilku krokach i stary drwinkarz padł jak długi wraz z koszem, rozsypując na około siebie obfitą i różnorodną jego zawartość, w tejże w chwili, gdy zwierz w całym pędzie nadbiegał. Już schylając zajadle głowę ku ziemi, dziki żubr, rozszalały pogonią, miał schwycić starego na olbrzymie rogi, aby właściwym sobie obyczajem wyrzucić go wysoko w powietrze, już okrzyk zgrozy wyrwał się z kilkunastu piersi, goniących napróżno za chyżym zwierzem kunigasów, gdy nie z pomiędzy nich, lecz z boku, z lasu, snać przewidziawszy instynktem myśliwca ruchy zwierzęcia i zabiegłszy mu na przełaj, wyskoczył młody jeździec z podniesioną w ręku ogromną pałką, miedzią czy ołowiem nalaną, pierwotną bronią Litwinów i jednym téj maczugi ciosem powalił na ziemię żubra.

— Butowd! Niech żyje Butowd! — wołali dobiegający książęta w uniesieniu podziwu nad potęgą ciosu a głos kunigasówny Aldony brzmiał wyraźnie wśród innych.

— Baczność! baczność! z drogi! zwierz jest tylko ogłuszony, zaraz się zerwie! — wołał jednocześnie Butowd zwycięzki i gdy młodzież posłuszna ostrzeżeniu odskakiwała w tył, on tymczasem, nie tracąc czasu, porwał za kark leżącego i w pół nieżywego ze strachu Witginsa i cisnął go na bok na ręce nadbiegającéj służby, wołając:

— Ruszaj!... wylizywać daléj pańskie misy, złośliwcze!

— Niech żyje Butowd! Oto prawdziwie rycerska

pomsta na nieprzyjacielu! — powtarzał z uciechą książę Kiejstut.

— O! o! brat Kiejstut musi zaraz o rycerskość zawadzić! — śmiało się rodzeństwo. A gdy tak rozmawiano wesoło, żubr tymczasem wedle przepowiedni doświadczonego, choć młodego myśliwca, powstał na nogi, chwiejąc głową przez chwilę, potem powiódł zabiegłemi krwią oczami po otaczających go zdaleka wrogach i ujrzawszy nastawione do ciosu włócznie, pałki, siekiery i łuki napięte, zawrócił nagle i skoczył w las, z którego na swoje nieszczęście wyjrzeć mu się zachciało. Radosny okrzyk zapalonych myśliwych i huk trąb potężnych odpowiedziały na ten ruch jego i książęca gromadka popędziła w las za zwierzem przy hucznéj wtorującéj ich okrzykom muzyce, bo grajkowie przyszedłszy do siebie ze strachu, dęli zawzięcie, jakby mszcząc się w ten sposób na stworzeniu, które ich tego strachu nabawiło. Prócz nich, na łące pozostała służba z Witginsem, podwójnie zakłopotanym, zrozpaczonym nawet w obec cennych na Litwie choć bardzo prostych mis i garnków, które sam porozbijał, upadłszy z wielkim koszem, i w obec swego wybawcy, któremu należało za ocalenie życia podziękować. Butowd podziękowań nie czekał; w pierwszéj chwili chciał podążyć za książętami, ale po namyśle machnął ręką:

— Żubr ma głowę rozbitą, dobiją go i sami — mruknął sam do siebie i zawrócił ku lasowi w przeciwną stronę, ale po kilku krokach powstrzymał nagle konia, ujrzawszy leżącą na murawie Baniutę, jakby nieżywą, zeskoczył, wołając:

— Ej, ty stary lizusie, co tam biadasz nad potłuczonemi garnczkami, pójdźno tutaj a zobacz, czyś większéj nie poniósł szkody!

— Co? moja córka? upadła z konia i zabiła się — krzyknął Witgins, przybiegając z resztą służby — O ja nieszczęśliwy! taka piękna, taka posłuszna, na tak pięknem stanowisku umieszczona, ulubienica kunigasówny! Czemuż nie dałem jéj za mąż w przeszłym roku kiedy stary Surkiłła chciał ją dla swego syna i już mi pięć krów za nią dawał! O, ja szalony, chciałem koniecznie jeszcze trzech koni, chciałem sobie interesa poprawić, na starość spokojną cośkolwiek uzbierać, bo wszak tę jedną tylko miałem córkę, a teraz nie mam nic!... O! czemuż chociaż tych pięciu krów nie wziąłem! *)

I tak zawodząc, rwał sobie włosy z głowy i łzami się zalewał ojciec, a patrząca na swego zwierzchnika młodsza służba, wzdychała pełna współczucia dlań, gdy wtem młody Butowd zawołał z gniewem:

— A ty chicwcze niegodziwy, to ty o krowach myślisz, zamiast dziewczynę ratować?... może osłabła tylko, bo nie widzę krwi, a dalejże, dawaj wody!..

— Wody?... a zkąd tu wody?... — mruknął ten i ów, spoglądając na kosze, w których różne były napoje, tylko wody, jako niepotrzebnéj nie było.

— A niechże was Perkun utrafi! Cóż to, nie wiecie, gdzie rzeki szukać? — z gniewem Butowd zawołał,

---

*) U starożytnych Litwinów płacono rodzicom umówiony posag za córkę.

i widząc, że nie doczeka się żadnéj pomocy od ludzi, nie mających wyobrażenia o zemdleniu i przekonanych, że dziewczyna nie żyje, sam postanowił ją ratować. Wprawdzie i on niewiele więcéj tu wiedział, niż wszyscy Litwini, wśród których się wychował, ale w każdym razie, wychowany z książętami, roztropniejszy był i trochę więcéj oświecony od sług, a zresztą czuł teraz słabe bicie serca Baniuty, wiedział więc, że jeszcze żyje. Przerzucił zatem dziewczynę przez siodło, sam skoczył na koń i przytrzymując ją jedną ręką, ruszył ku bliskiéj rzece. W chwilę późniéj skręciwszy za las, ujrzał błyszczące fale i zeskoczywszy z konia z dziewczyną na ręce i oblewając jéj twarz wodą, dłońmi czerpaną, dopiero spostrzegł, że Witgins czerwony i zadyszany zdążył tam z nim prawie zarówno:

— I ty tu, niegodziwcze! — burknął, nie przestając swego zatrudnienia — ejże, czy tylko nie dla tego przydreptałeś tu za mną z takim pośpiechem, żeś się bał, abym Baniuty nie uwiózł daleko z pod twéj opieki?...

— No a cóż, alboż dziewczyna to nie pieniądz? a pieniądz nie jestże pożądanym? — odparł prostodusznie zakuty Litwin. — O! o! co też to za bieda, że w naszéj Litwie tak mało jest srebra i złota, a za dziewczyny tylko bydłem płacą!

— Niech tam płacą, czem chcą — rzekł Butowd, pomagając powstać z trawy Baniucie, która oblana zimną wodą prędko wróciła do zmysłów. — Co do mnie, zapowiadam ci, złośliwcze, że jeśli nie przestaniesz pozwalać sobie takich ze mnie żarcików, jak ten dzisiej-

szy z prosięcym ogonem, to kiedykolwiek stracę cierpliwość, zapomnę, żem niewolnik, którego wy za psa nie macie i zbiję cię tak!... że się kości własnych nie dorachujesz potem!

— Och, Butowd!.. — szepnęła błagalnie Baniuta, jedną rękę przyciskając do głowy, na któréj duży guz stawał się coraz widoczniejszym, a drugą wyciągając tak, jakby nią chciała ojca osłonić. Ale młody niewolnik ani zważał na nią, tylko poprawiając uzdę i strzemiona na swym koniu, mówił daléj z gniewem:

— Wiedz raz, że ja jeżeli z Baniutą często tańczę i rozmawiam, i jadam z jednéj misy, to tylko dla tego, że dobra z niéj dziewczyna i że wychowaliśmy się razem i że bliżéj mi do niéj, niż do Gedyminowych dzieci, a chcąc nie chcąc muszę przecież czasem z kimś pogadać, aby mi język nie zmartwiał. Ale ani mi się marzy, żebym miał jéj pragnąć za żonę, i choćbym niewolnikiem nie był, i choćbyś ty mię prosił, żebym ją wziął za żonę, tobym też nie chciał, ponieważ ja pochodzę z takiego narodu, w którym się żony nie kupuje i nie sprzedaje!... — wyrzekłszy z wielką dumą te słowa, któremi usiłował pomścić się za niedawne wystawienie go na pośmiewisko, Butowd skoczył na koń i ruszył w las, gdy tymczasem Witgins wołał za nim, śmiejąc się złośliwie:

— A wiem, wiem, że u innych ludów nietylko nie płaci się nic rodzicom za dziewczynę, biorąc ją za żonę, ale jeszcze rodzice muszą posag do dziewczyny dopłacać, aby ją kto wziął: ot to dopiero brzydkie a niemra-

we muszą być tamte dziewczęta!... wstydziłbym się z takiego narodu pochodzić!

Butowd zatrząsł się z gniewu na to przekomarzanie i już zawrócił konia, aby zbić tego swego wiecznego nieprzyjaciela jak mu to niedawno obiecał, gdy wspomniawszy w czas, jak sroga kara czekała niewolnika, porywającego się na wolnego Litwina, powstrzymał chętkę i rzekł dobitnie:

— Bardzo dobrze... postaram się, aby sam kunigas Gedymin jeszcze dziś dowiedział się, jaką ty złą sławę rozpuszczasz o Gedyminównie Aldonie dla tego, że ma ogromny posag dostać od ojca! — i po tych słowach znikł Butowd w głębi lasu, a Witgins oniemiał na chwilę ze zdziwienia nad takim rozmowy obrotem:

— A to wygadany język u tego niecnego niewolnika! — zawołał po chwili, gdy przemówić zdołał — i kto wie, gotów jeszcze naprawdę przekręciwszy moje słowa plotek na mnie narobić przed kunigasem! otóż to takie są skutki, gdy się zbyt dobrze z niewolnikiem obchodzić, gdy taki nicpoń, zamiast kopać ziemię i kamienie rozbijać, uzuchwali się, ponieważ ku uciesze paniąt pozwolono mu je od dzieciństwa zabawiać, tak jakby był jakim żwawym psiną. Ej, Baniuta, czy ci już twoja niemoc odeszła? Zbierajże się prędzéj i śpieszmy do książąt, żeby uprzedzić tego plotkarza, kłamcę, złośnika!... bo kto pierwszy do młyna, ten miele, a kto się lęka czyjegoś gniewu, ten sam pierwszy gniewać się zacząć powinien. Wszak słyszałeś, cośmy mówili i rozumiesz zapewne, w jakim ja to sensie powiedziałem; starajże się, jak przyjdzie co do czego, tak to wszystko

kunigasównie Aldonie wystawić, żeby nie uwierzyła plotkom tego kłamcy, tego niewolnika! (wargas). Ja z mojéj strony będę już wiedział, co kunigasom młodym i samemu Gedyminowi powiedzieć; ale ty Aldony Gedyminówny mi pilnuj, żebym kłopotu nie miał przez plotki, bo pańska łaska na pstrym koniu jeździ. Prędzéj, śpieszmy!

Tak nawołując i śpiesząc, chytry dworak wystraszony nie żartem pochwycił wreszcie córkę za rękę i pociągnął osłabłą jeszcze napowrót tam, zkąd oboje przybyli, to jest na blizką łąkę, a z tamtąd rozkazawszy służbie zabrać resztę zapasów i nieocenionych skorup, ruszył z całym tym taborem kuchennym do dom co prędzéj, wiedząc z doświadczenia, że młodzi państwo wrócą z polowania prosto na zamek, gdzie obfita wieczerza powinna ich oczekiwać.

— Ten *wargas* nie będzie miał przecież sposobności w czasie polowania na mnie nakłamać przed młodymi, — mówił do córki, jadąc koło niéj na staréj nędznéj szkapie — a ja tymczasem już na zamku ze starym kunigasem się zobaczę o! o!...

Pospolitym ludzkim zwyczajem, Witgins mierzył drugich własną swoją miarą, więc pewny był, że Butowd uczyni, co onby sam na jego miejscu będąc uczynił, to jest, że będzie usiłował zgubić go w łasce pańskiéj znalazłszy do tego sposobność; ale grubo się stary pomylił. Butowd, ani pomyślawszy o niczem podobnem, jakkolwiek zły na tego nieprzyjaciela zazdroszczącego mu wiecznie łask młodych kunigasów, zagłębił się w las umyślnie w stronę przeciwną téj, w którą

żubr pobiegł, bo młody niewolnik miał już taką naturę, że każdy ból czy zgryzotę musiał zdala od oczu ludzkich w samotności przetrawić, a teraz właśnie bolesne oburzenie szarpało młodem jego sercem, jawnie okazując się na twarzy, gdy dziwna, wrodzona duma nie zmuszała go uczuć bolesnych przed okiem nieprzyjaciela ukrywać. Tak jechał już chwilę noga za nogą z głową smutnie spuszczoną, w ponurych pogrążony myślach, przekonany, że nikt mu ich z twarzy wśród puszczy nie czyta. Wstrząsł się więc nagle i namarszczył srodze, gdy posłyszał tuż obok głos ludzki, pieszczotliwy:

— *Jawnutis! Korigal!* Jawnutis, Młody dzielny do wojny! Młody! nie dawaj bólowi gryźć serduszka! O niedawaj! Szkoda młodego serduszka, lepiéj mu zapanować nad bólem, zwyciężyć złośliwość ludzką, *Jawnutis!*

— E, to ty znowu jesteś tutaj, *séné* babko?... dziwna rzecz, że najczęściéj cię spotykam wtedy, gdy mam zmartwienie! — rzekł ze zdziwieniem młody jeździec, patrząc trochę nieśmiałym wzrokiem na kobietę, która do niego mówiła — a może to prawda, co o tobie mówią, żeś śpiewaczka, wróżka? ale to już chyba z tych dobrych może?... Może jesteś *Burte*, wróżka?...

Kobieta, do któréj tak nieśmiało a przytem i podejrzliwie trochę mówił młody Butowd, była wcale niemłoda, bardzo ubogo odziana i zaprzężona do małego *weżimelis*, wózeczka, w którym wiozła jakieś worki i paczki, przyczem zmęczywszy się odpoczywała właśnie, siadłszy na wystającym korzeniu dębu i jedząc kawa-

łek mięsa końskiego. Wszystko to razem dowodziło aż nadto jawnie, że była niewolnicą, z tych niewolników nieszczęsnych, których w Litwie „używano do najcięższych prac, do robót życie kosztujących, zamęczano nimi bez litości. Ztąd przyslowie litewskie: pracuje jak niewolnik: *Dirba kaip Wergas*". A jednak mimo te wszystkie oznaki służebności i niedoli, płachta lniana owijająca zwyczajem starszych Litwinek głowę kobiety i spięta umiejętnie na lewem ramieniu, była niezmiernie czystą, olśniewającéj nieledwie białości, podobnie jak reszta ubogiéj odzieży. Wysłuchawszy, co powiedział Butowd, kobieta roześmiała się serdecznie i rzekła:

— Nie, chociaż śpiewać umiem, nie jestem przecież *burte*, śpiewaczką, nie jestem wróżką! chociaż wiem przyczynę twojéj dzisiejszéj zgryzoty i szczerze ci powiadam, że prosięcy ogon nie wart jest twego zmartwienia!

— Co?... ty naprawdę wiesz to, czego nie widzisz nie słyszysz?... — zawołał z największem zdumieniem młody niewolnik. — A, jeżeli tak, to już nie może być, żebyś była pospolita *senè*...

— Mniejsza o to, czem ja jestem — odparła machając ręką kobieta — pomyśl raczéj, czem ty jesteś, żeby się też tak rozgniewać i zmartwić o prosięcy ogon!... No, wiesz co, potrzeba na to być dzieckiem albo Litwinem!

— E, nie wiem jak tam to uważacie — z nowym gniewem gwałtownie odparł niewolnik—ale mnie, gdym tę podsuniętą sobie pod nos „szupienię" zobaczył, tak

coś za głowę chwyciło i zakręciło ją, że omało co i ja nie chwyciłem Witginsa tak samo i nie cisnąłem nim o ziemię... A już żeby mi też choć *jusznik* ten czarny był podał, co to go podają litewscy rodzice przy obiedzie młodemu, którego nie chcą na zięcia, toby było po ludzku, toby znaczyło, że stary nie chce mi dać Baniuty, o którą ja przecież go nie proszę i nic więcéj; ale podawać w obec wszystkich „szupienie", gdy każdy wie, że on Baniuty niewolnikowi nie da, bo i ona przeto niewolnicąby została, to są okrutne drwiny ze mnie, to jest tak, jakby psu kawałek kostki do nosa przyłożyć, mówiąc przytem, a pójdziesz! a wara!... i tylko piesby się mógł o to nie obrazić, gdyżby znaczenia tych drwin nie rozumiał; ten przeklęty Litwin obszedł się ze mną, jak ze psem, bo człowiek każdy mógłby go za taki żart schwycić za słowo i powiedzieć: przyjąłeś mię za zięcia w obec ludzi? a no, to dobrze!... i potem skrycie, a naprawdę porwać po pogańsku Baniutę tak, jak to tutaj u Litwinów we zwyczaju jest weselnym, że narzeczoną zawsze narzeczony porywa niby gwałtem, choć rodzice i wszyscy się na zaślubiny zgadzają, bo taki jest pogański zwyczaj. I co by mu wtedy stary zrobił? hę?

— A czemuż ty tak nie uczynisz?... Cóżby ci wtedy stary Litwin zrobił? hę? — spytała kobieta. Butowd na te jéj słowa tak się zdziwił, że aż zaniemówił na chwilę, a ona daléj ciągnęła tymczasem:

— Oj ty, chłopaku niedoświadczony, nierozumiejący chytrości dworaka!... Czyliż nie widzisz, że dzisiaj już po części zapominają Litwini starych obyczajów dla

nowych, które od sąsiadów przyjmują? I prawa przecież mogą być obchodzone, gdy możni kunigasowie tego zechcą: otóż Witgins dawno już widząc, jak młodzi kunigasy ciebie lubią za twą dzielność i zręczność umyślił sobie wydać za ciebie Baniutę, bo wtedy kunigasówna Aldona dałaby mu za córką posag porządny, jakiego nikt inny daćby nie mógł, gdyż Baniuta jest znów kunigasówny ulubienicą, jak ty kunigasów, a jakbyście oboje prosić zaczęli, toby książęta wszystko to dla was zrobili. Ale że wstyd Witginsowi chciwości swéj, przez którą gotów poganin niewolnikowi dać córkę za żonę, przeto on chytrze na rozmaite sposoby poddaje tobie tę myśl, abyś ty na złość jemu, bez jego woli porwał Baniutę i bez jego wiedzy niby, nie tak, jak przed chwilą, gdyś wziął ją zemdloną na koń, aby zawieźć do rzeki, bo w prawach litewskich starych jest, że kto porwie dziewczynę, ten musi na zawsze ją wziąć za żonę. Tego to potrzeba Witginsowi: czy rozumiesz to teraz?

Młody Butowd zrozumiał, ale przez to właśnie tak się okrutnie zdziwił, że przez długą chwilę stał z ustami roztwartemi ze zdumienia, a potem nagłym przestrachem zabłysły mu oczy i cofając się z koniem, zawołał przerażony:

— *Rágana - Żynē*!... Czarownica! Nic innego, tylko jeżeli nie jesteś *burte*, wróżka, toś jest *rágana - żynē* czarownica... bo inaczéj z kądżebyś tak dobrze wiedziała wszystko, co się stało i co kto myśli!...

— No no — pobłażliwie wzruszając ramionami rzekła kobieta — przed Litwinami ja się wcale nie za-

pieram tego, bo czarownicy boją się oni przynajmniéj, a inaczéj jużby żadnego względu na mnie nie mieli; ale ty co innego przecież jesteś, wszak każdy wie, żeś brańcem wojennym i ty sam dumny jesteś z tego nieledwie a mnie źle nie życzysz.

— Dumny... tak — szepnął w zamyśleniu — a któż to, jeżeli nié ty, *senè*, przed kilku laty powiedziałaś mi, że powinienem z tłumem niewolników tutejszych w ich pogańskie zabawy się nie wdawać, tylko raczéj do konia i łowów, i do czółna i do robienia bronią się wprawiać, bo pewno jestem chrzczonym i z rodziców chrześcijaninem, i polskim szlachcicem... Czy nie tak? — ażeby wymówić te ostatnie słowa po cichu do ucha kobiecie, Butowd zsiadł z konia i przybliżywszy się, usiadł przy niéj na obalonym i na wpół spalonym od piorunu dębie.

— Tak! — przyznała po cichu ale stanowczo kobieta — tak myślałam wówczas, gdym cię przypadkiem spotkała tu w Kernowskim lesie, nie dużym jeszcze chłopaczkiem, i tak co raz bardziéj jestem przekonana, gdyż w miarę jak wyrastasz, widzę w tobie coraz większe podobieństwo do szlachcica, a nawet, Boże odpuść, czasem zdaje mi się, żeś wyraźnie podobny do mego paniska starego, któremu powinna byłam dzieci ocalić, a no, nie umiałam. — Kobieta zalała się łzami przy ostatnich wyrazach i ręce załamała rozpacznie.

— *Sené* — łagodnie i wzruszonym głosem rzekł młody chłopiec, patrząc ze współczuciem na płaczącą — bardzo nie często cię widuję, a ty zazwyczaj wspo-

mniawszy o przeszłości płaczesz, i ja nigdy nie śmiem spytać cię, jak się też nazywał ten twój pan, którego żona z tobą się wychowała i kazała ci swoich dzieci pilnować, a tyś ich uchronić od nieszczęścia nie mogła?

— Nazywali się państwo moi Stach i Zofia Horscy, mieszkali my wszyscy w Hordce — objaśniła łkając kobieta — a *mój* zwał się Chwast i synka my mieli wyrostka sporego, i jéjmość powiada raz do mnie tak:

— Słuchaj, Jagna, jechać nam trzeba na ów pogrzeb, co wiesz, i nie może inaczéj być, boć to krewieński obowiązek, i czeladź wszystka idzie, a no dzieci maleńkich nie mogę dla złéj drogi wziąć. Zmiłuj się, zostań ty przy Władku i Baśce, bobym inaczéj serca nie miała ich odjechać, w tobie jednéj, coś się ze mną wychowała, zaufanie mam! — Więc co było czynić? Oczywiście zostałam przy dzieciach, a mój Chwast przy dobytku i nikogo więcéj. Śpię!... aż tu łuna i straszny krzyk a Chwast na mnie woła:

— Jagna! na miłosierdzie Boskie chwyć dziecko, ja chwycę drugie i zbiegajmy do lasu, bo we dwoje nie mamy co czynić innego! toć Litwin!.. Chwyciłam Baśkę i oprzytomniałam dopiero w lesie, przyciskając ją płaczącą do siebie. Ale Litwin znalazł nas i w lesie i batogiem popędził w niewolę. Chwasta i małego Władka nie widziałam więcéj na oczy, i pewna byłam, że nie żyją, aż przed kilku laty spotkawszy tu ciebie w lesie przypadkiem, coś mię chwyciło za serce: Władko? czy nie Władko? Dla tego przymiliłam się do ciebie, a ty, dobry dzieciak, rozgadałeś się ze mną bar-

dziéj niż masz zwyczaj z poganami, a no cóż, kiedy nic nie wiesz, ani nawet własnego imienia nie pamiętasz?

— Nie! — smutno Butowd potwierdził — wiem tylko od Baniuty i od jéj matki, że mię ta jéj matka znalazła czy też odkupiła niegdyś umierającym kilkoletnim chłopaczkiem i wychowała cudem troskliwości, gdyż nie miała synka, choć go pragnęła. A ja sam ani z owych czasów ani z poprzednich nie pamiętam nic, może choroba pozbawiła mię pamięci; nic, prócz jednéj rzeczy...

— Czego? — spytała Jagna skwapliwie.

— Kiedy nie wiem, jak to nazwać — smutno potrząsł głową Butowd. — Coś niby widzę, niby mam ręką ująć, bom się tem bawił, a nie wiem co to jest i jak to zwać...

— Wola Boska!... — jęknęła kobieta — cudby też prawdziwie był, żebym jeszcze dziecko stracone odnaleźć miała! A no czy ty mój Władek, czyli nie, to zawsześ ty nie Litwin i nie żaden inny, tylko ziomek mój Polak i szlachcic, bo ci to z oczu i z miny a z postawy widać; jeno, chłopcze, słuchajno — tu kobieta przybliżyła usta do ucha Butowda i jeszcze ciszéj niż dotąd szepnęła — jeno dawnom cię nie widziała, więc czy ty umiesz jeszcze przeżegnać się znakiem krzyża i modlitwę Pańską odmówić?... bo bez tego u nas niema szlachcica!...

— Zdaje mi się, że umiem tak jak mię nauczyłaś *sené* co dzień mówię po cichu, aby niezapomnieć, a nuż mówię źle?... — szepnął niespokojnie Butowd i zaraz

z największą uwagą, uczyniwszy znak krzyża, zaczął odmawiać „Ojcze nasz”.

— Owszem, dobrze! — radośnie zaręczyła kobieta — dobrze mówisz, a i to dowodzi, żeś prawy szlachcic! Sprobuj nauczyć Litwina a zobaczysz, czy ci się powiedzie! Ja wiem, ja już nie z jednym probowałem! No, no, nie zapominaj ty tego nigdy i bądź dobréj myśli, a pamiętaj sam o sobie przy tem oddawaniu niewolników teraz w posagu kunigasówny Aldony; pamiętaj, bo inaczéj zapomną o tobie, zobaczysz. Gedymin, wcale się gniewać nie będzie gdy pozostanie mu pod bokiem taki dzielny jak ty wojownik. A teraz muszę ja wlec daléj moje brzemię... — i powstała kobieta, zabierając się w dalszą drogę z wózkiem swoim.

— Ależ *séné*, a ty? Czy oddana będziesz teraz ojczystéj ziemi? — zapytał Butowd.

— Czy ja wiem? Oczywiście, jak dusznego zbawienia pragnę, tak pragnę także, aby kości moje w poświęcanéj ziemi spoczęły; ale czy pani moja złota, dziecina moja, będzie oddana, tego nie mogę wiedzieć i okropnie się o to boję, a bez niéj nie pójdę ani nie zostanę; kraty przegryzę i węchem trafię, jak zwierzę, w jéj ślady, bez niéj nie pójdę!

— A któż jest twoja „Złota pani”, *sené?* nieraz wspominałaś o niéj ale nigdy nie powiedziałaś nic więcéj; kto ona jest? i gdzie jest? bo jeżeli i ona jest branką nieszczęsną, to możeby lepiéj ażebym się o niéj dowiedział, bo przez kunigasównę Aldonę teraz właśnie łatwiéj dałoby się i dla niéj uwolnienie i powrót do Polski wyjednać, a bez tego, albo ją zatają, albo isto-

tnie zapomną, że ona żyje. Więc powiedz mi, *sené*, kto i gdzie jest twoja Złota pani?

Tak mówił proszącym głosem młody Butowd, ale na to zerwała się Jagna ze swym wózkiem i popędziła w las tak chyżo, jakby ją nieprzyjaciel gonił, szepcąc sama do siebie:

— Oho! zaraz będziesz widział, powiem ja tobie, gdzie szukać mojéj złotéj pani, żebyś rozgadał kunigasom, a oniby ją porwali i królową gdzie jaką w wielkiem państwie zrobili, i jabym dostępu do niéj nie miała, i dziecko by mi wszystkiego zapomniało, czego je przez tyle lat skrycie uczyłam i zostałoby Litwinką. Oho! nie zrobię tego, bo i tobie nie wierzę, gdy nie wiem, coś ty jest na prawdę: może ty mój własny Władek jesteś?... a może choć chrześcijańskie dziecko?.. a może i to nie... A no, choćby i tak, to zawsze będę zasługę mieć, iżem poganina wyuczyła pacierza!...

X.

Tak sobie mrucząc, Jagna bieżała ze swoim wózkiem przez las, kręcąc się po nim rozmaicie, a zawsze takiemi ścieżynami, ażeby jeździec na rosłym koniu nie mógł niemi przejechać. Chciała zmylić i uniemożliwić pogoń w razie, gdyby Butowd ją gonił, ażeby się czegoś więcéj o Złotéj pani dowiedzieć; ale on, choć zdziwiony nagłą jéj ucieczką, gonić przecież nie myślał. Zamyślony o tem wszystkiem, co usłyszał, szedł zwolna gęstwiną, niebardzo wiedząc, dokąd idzie, a wierny konik postępował krok w krok za nim z własnéj woli, aż

Dodatek do N-ru. 31 Wieczorów Rodzinnych. 1888 r.

ciemna noc zapadająca przypominała im obu, że czas schronić się pod dach przed dzikim zwierzem i chłodem. Konik zarżał znacząco, a Butowd podniósł głowę, i spojrzał na okół, skoczył na koń i ruszył prosto przez las do Kiernowa.

W starej Litwie w ogóle dróg nie było, przeciwnie starano się najeżać przystęp do miast i zamków umyślnemi przeszkodami, aby utrudnić nieprzyjacielskie najścia; to też Butowd, wyjechawszy z lasu, ujrzał zamek na górze, a na stoku góry kilku ludzi rozsypanych, kierujących się w stronę lasu, i w jednym z nich poznał ze zdziwieniem przy jasnem świetle księżycowem kunigasa Kiejstuta.

— Ej! wracajmy do dom! znalazła się nasza zguba! — zawołał Kiejstut na towarzyszy, poznawszy go nawzajem. — Strzeż się, Butowd, nocnych po lesie wędrówek, nie słyszałeś to, jakie okrutne wilki tu zagościły? jak duszą owce naokoło!

Butowd, zdziwiony trochę tak wielką i niezwykłą o siebie troskliwością, nic nie odpowiedział na razie, aż gdy książę, ująwszy go pod ramię i skinieniem ręki oddaliwszy służbę, począł zwolna i umyślnie dłuższą ścieżyną kierować się ku zamkowi, chcąc widocznie użyć przechadzki, młody Butowd rzekł:

— Zkąd się tobie wzięła, książę ta obawa wilków dla mnie? Wszak wszyscy znamy się z niemi... Ejże, czy tylko poczciwe twoje serce, które samo jedno w całej Litwie widzi w brańcu-niewolniku człowieka, nie czego innego zlękło się dla mnie?

— Czego, naprzykład? Jak myślisz? — z uśmiechem, ale patrząc mu w oczy badawczo Kiejstut zapytał.

— Czy ja wiem... to pewna — mruknął Butowd spuszczając głowę — że nie raz już, gdy mi dokuczono, zamierzałem uciec, albo życie sobie odjąć.

— Co za szaleństwo! — zawołał młody kunigas z gniewem, ale bez najmniejszego zdziwienia — musiała ci ta niedorzeczność starego chciwca dziwnie dokuczyć, skoro aż po raz pierwszy wypowiadasz to, co nieraz już, jak wiem dobrze, nurtowało ci skrycie w duszy. Zastanów się, że gdybyś chciał uciekać, to schwytanoby cię natychmiast, bo Gedymin, rozgniewawszy się za taką wzgardę łask jego, rozesłałby w pogoń za tobą wszystkich tych dworaków, którzy ci zazdroszczą tego, o co ty nie dbasz, a oni jużby potrafili wspólnemi siłami ułowić cię. Choćbyś najsprytniéj uciekał, każdy pozna w tobie niewolnika po tych krótko ściętych włosach, a wszak wiesz, co zbiegłego niewolnika u nas czeka: nigdy, nigdy sam jeden nie potrafiłbyś się przedostać do granic. A zresztą, gdzież i po cobyś uciekał? Nikt wiedzieć nie może, zkąd jesteś, bo cię żona Witginsa kupiła czy znalazła chorem maleństwem, z szat odartem, a Gedymin odkupił, gdy pozdrowiałeś i podobałeś się nam dzieciom.

— Zkąd jestem? aby na to odpowiedzieć, dosyć jest spojrzeć na mnie — szepnął Butowd i prostując się, a spoglądając w oczy towarzyszowi, zapytał żywo: — Powiedz sam szczerze, książę, czy wyglądam na Litwina lub Niemca?

— No, to, nie... — musiał przynać z lekką niechęcią Kiejstut.

— A więc wiemy już, zkąd pochodzę i gdziebym uciekał — stanowczo rzekł młody niewolnik — że pogoń wypuszczona za mną przez Gedymina postarałaby się mię schwytać, o tem nie wątpię, ale że wtedy nie wzięłaby mię żywym, za to ręczę!... I dla tego nieraz myślę, że lepiéj mi już zacząć od tego, na czem musiałbym wtedy skończyć...

— Chrześcijanom ich wiara zabrania odbierać sobie życie — żywo zawołał Kiejstut — słyszałem o tem od samych zakonników, bywających czasem na dworze Gedyminowym, a ty przecież utrzymujesz, żeś Polak! i chrześcijanin!... Chociaż pojąć nie mogę, zkąd ci to wszystko mogło przyjść do głowy!... — dodał Kiejstut, natychmiast spostrzegłszy, że się wyraził niezręcznie, chcąc odwrócić młodego niewolnika od czynu rozpaczliwego, gdyż jedynym zamiarem kunigasa było właśnie wmówić w ulubionego od dzieciństwa towarzysza, że niewiadomo kim on jest, i że przeto najlepiéj dlań jest pozostać nazawsze u boku kochających go panów, władźców jego losu.

— Tak jest, i to jedynie sprawiło, że żyję dotąd — w zamyśleniu rzekł Butowd, a w myśli mu stanęła chwila, w któréj Jagna schwyciła go za ramię, gdy malcem jeszcze, nie umiejącym pływać, chciał już rzucić się w głębokie nurty Wilii, spłakany w skutek niesprawiedliwego z nim obejścia. Jagna wtedy po raz pierwszy przez niego ujrzana, ale sama krążąca dawno koło niego, zaręczyła mu, że jest on z pewnością jéj ro-

dakiem, a więc i chrześcijaninem być musi i zapoznała go zaraz z pierwszemi zasadami wiary, nastając mocno na to, że dla chrześcijanina śmiertelnym grzechem jest życie sobie samowolnie odbierać. Mówiła z tak głęboką wiarą, że wywarła pożądane na chłopcu wrażenie. Odtąd starała go się widywać jaknajczęściéj, pocieszając jak umiała a usiłując wywołać jakiekolwiek wspomnienia, któreby potwierdziły przypuszczenie, że Butowd był jéj zaginionem panięciem. Ale dziecko nie mogło nic sobie przypomnieć i Jagna nie przestawała szukać swej zguby, przypatrując się wszystkim młodym niewolnikom, jakich ujrzeć jéj się zdarzyło i wchodząc z nimi w gawędy, aby wspomnień się dopytać... przez długie lata, napróżno.

Przypomniawszy teraz Jagnę i jéj nauki, umilkł nagle Butowd, przerywając sam sobie, bo z woli i wedle prośby Jagny strzegł się wspominać o niéj komukolwiek, nawet najżyczliwszemu dlań Kiejstutowi, który patrząc mu w oczy ze współczuciem, rzekł półgłosem z lekkim wyrzutem:

— To tylko sprawiło, że dotąd żyjesz?... a więc szczera przyjaźń żadnego nie ma dla ciebie znaczenia? ani wpływu na ciebie?

— Nie! o, nie! — żywo zawołał Butowd — nie jestem niewdzięczny i jeżeli co, to przyjaźń twoja, książę, dla niewolnika, osładza byt mój, i umierając jeszcze wdzięczen ci za nią będę, czego obym mógł dowieść ci kiedyś...

— Dowiodłeś dawno — podchwycił Kiejstut —

czyliż po dwa razy nie ocaliłeś mi życia, raz gdy mię rozdrażniony niedźwiedź pochwycił w ramiona, drugi raz w téj bójce z Krzyżakami? Ale ja wtedy dopiero uwierzę, że cenisz przyjaźń moję, gdy przestaniesz się czuć tak bardzo nieszczęśliwym, jak jest teraz i pogodziwszy się z losem, żartować sobie będziesz z takich i t. p. dokuczań dworskich zazdrośników, jak dzisiejszy niezdarny dowcip Witginsa; bo gdyby ci był podał jusznik, niby dając odkosza od córki, toby przecież więcéj miało sensu...

— A... czy wiesz, książę, co... przyszło mi na myśl, gdy mię pierwszy gniew i żal ominął — rzekł Butowd, przypisując sobie daleko więcéj bystrości, niż jéj posiadał, a to ażeby nie wymienić imienia Jagny, i opowiedział jéj domysł, co do przyczyn postępowania Witginsa względem niego. Książę klasnął w ręce uderzony trafnością tego przypuszczenia:

— Gotówbym przysiądz, że zgadłeś! — zawołał — niechybnie tak to być musi, że ten chciwiec ułożył sobie ożenić cię z Baniutą, obrachowawszy słusznie, że wtedy tak Aldona, jak i my wszyscy, ja pierwszy, dalibyśmy mu za córkę, duży posag, chcąc ciebie przez to małżeństwo do Litwy i do nas ostatecznie przywiązać; a stary chytry chciwiec dopierożby się drożył, udając, że to zniewaga dla niego okrutna mieć zięcia niewolnika. Jakże to dobrze, żeś się tego domyślił, bo przynajmniéj jego dokuczania nie będą cię boleć tak bardzo, jak dotąd, gdy znasz ich tajemniczy powód. A... słuchaj no, możebyś ty i zgodził się na jego plany?.. Wiesz, zgódź się! to będzie wybornie!

— Nie, książę, nie mogę się zgodzić poślubić poganki — trochę porywczo odparł młody niewolnik.

— Ej... co tam, ożeń się z nią, a kto wie czy jeszcze żony nie nawrócisz! Otoby się załapał stary poganin! — śmiał się Kiejstut, a wiedząc, że Butowd nie ma wcale ochoty do żeniaczki, dodał wesoło:

— A może Baniuta nie podoba się tobie dla tego, że taka delikatna i omdlewać zwykła? Ależ ona mimo to bardzo jest piękna, a jeżeli chcesz, to wybierz sobie którą inną z towarzyszek Aldony; pójdźmy razem przypatrzysz się i wybierzesz, bo teraz właśnie wszystkie są zgromadzone przy wieczerzy!... Ale ty sam bez wieczerzy jeszcze jesteś? Chodź prędko do Witginsowéj, żeby ci jeść dała!

— Nie chce mi się jeść, dobry mój książę, i jeżeli masz chęć biedz na jaką swawolę, jak to lubisz, to gotów jestem ci towarzyszyć, jak zawsze. Tylko co do twoich poczciwych zamysłów kupienia mi drogiéj żony Litwinki, aby mię do was i do Litwy przywiązać, to wiedz, że chyba aż ty się ożenisz, dopiero ja może pomiędzy pannami ulubionemi twéj żony znajdę sobie towarzyszkę. Wtedy pozostaniemy już oboje twoimi dworskimi... rozumie się, jeżeli ta poganka zechce chrześcijanką przytem zostać...

— Mój kochany, mój złoty — rzekł młody książę — widzę ja dobrze, że mówisz to żartem tylko, aby mię zbyć, i że jeżeli Baniucie okazujesz przyjaźń, to tylko dla tego, że masz litość dla téj dobréj, ładnéj ale wątłéj dziewczyny, którą własna matka nie bardzo kocha, choć ją ma jedną, a ojciec o tem tylko myśli, aby za

nią jaknajwiększy wziąć posag. Otóż niech z tem wszystkiem będzie, jak sobie chcesz, lecz przyrzecz mi ty dwie rzeczy: że nigdy nie postanowisz nic ważnego o swym losie bez mojéj wiedzy, i że nikomu nie wspomnisz nigdy o tem swojem przekonaniu, że chrześcijaninem jesteś. Wierz mi, wyznanie takie mogłoby cię nieraz życie kosztować, gdybyś je wśród ciemnych tłumów tutejszego ludu objawił. Dajże mi rycerskie słowo na te dwie rzeczy, boć jeżeli w dobréj wierze sądzisz się szlachcicem Polakiem, to i rycerską krew musisz mieć w żyłach tak jak istotnie rycerskiego masz ducha! Daj słowo!

— Daję!... — po chwili wahania i namysłu rzekł Butowd niechętnie i z żalem dodał. — O, książę, dla czegóż ty jesteś inny od wszystkich? gdyby nie to, uciekłbym ztąd dawno i schwytany skończyłbym z nędznem życiem, chociaż sam bym się na nie nie targnął po pogańsku.

Zkąd ja taki inny jestem, od wszystkich? rozśmiał się Kiejstut — a to winien temu ten poczciwy braniec, czyliż go sobie nie przypominasz z pierwszych lat naszych dziecinnych? Witginsowa dobra, choć chciwa, jak jéj mąż, nasza szafarka, odkupiła go od wracających z wycieczki wojowników za psie pieniądze, gdyż cięty okrutnie toporem w głowę był już umierającym. Wszak wiesz, że to jest jéj zwyczaj, i z tobą podobnie było: kupuje ona chorych i umierających, a więc tanich, młodych i starszych brańców, i leczy ich potem umiejętnie; czasem wyleczy, a wtedy sprzedaje z wielkim zyskiem, jak to jéj się właśnie z tobą zdarzyło; a cza-

sem chory umrze i wtedy sprytna kobieta nie wiele traci. Otóż z owym, który był cięty toporem, nie zupełnie jéj się powiodło, gdyż wyleczyła go wprawdzie z rany na razie, ale mimo to pozostał mu na zawsze jakiś chorobliwy obłęd, który go niezdatnym czynił do pracy, a więc i do sprzedania...

— Ech mówisz o starym Koście, książę? tym, który to nam wiecznie bajki opowiadał? — zawołał Butowd.

— Tak! — potwierdził Kiejstut — tym to bajkom starego Kosty, jak się sam nazywał, przypisuję to, iż i ja i ty odmienni jesteśmy od moich braci i rówieśników naszych; przypomnij sobie tylko, wszakże to on stał się niby naszym, to jest moim i twoim wiernym piastunem i...

— Ba nie miał się stać, gdyś go książę płaczem i prośbami wyprosił od drzewa, przy którem już był przywiązany ku poświęceniu na ofiarę, aby się poszczęściła zamierzona wycieczka! — burknął Butowd.

— E, ja tylko uprosiłem ojca, żeby im wmówił, że z takiego schorzałego ciała krew nie może żywo wytrysnąć, a więc przepowiednia musiałaby być zła — zaśmiał się Kiejstut.

— Znaczy to, że malcem będąc, już byłeś tak jak dziś figlarzem, często podstępnym, ale zawsze z najlepszem, jakby chrześcijańskiem sercem, ze szczerem uwielbieniem rzekł niewolnik.

— A on w każdym razie odwdzięczył mi się bajkami, jeżeli tylko gawędy wpół obłąkanego poczciwego człowieka, obłąkanego w teraźniejszości, ale żyjącego

pełnem w przyszłości życiem, mogą nazywać się bajkami: toż on szczerą prawdę nam zawsze opowiadał o rycerskich zwyczajach i obrzędach chrześcijańskich, których my słuchaliśmy jak bajek o żelaznym wilku. Teraz, kiedy przecież rozmawiam z różnemi ludźmi, z rycerzami, Krzyżakami i zakonnikami, pojawiającymi się czasem na dworze ojca Gedymina, przekonywam się o tem coraz bardziéj, i pewien jestem, że to moje rycerskie usposobienie, z jakiego naśmiewają się moi bracia i siostry po trochu, winien jestem pierwszym wrażeniom w dzieciń以twie od Kosta doznanym, i ty sam z pewnością z tegoż samego źródła masz swoje chrześcijańskie pojęcia. Ale dajmy teraz pokój domysłom, a skoczmy zobaczyć, co robią moje siostry i ich towarzyszki, bo inaczéj pójdą spać, a potem jutro już może rozjadą się zamężne wraz ze swemi pannami i nie zobaczywszy ich razem, nie będziesz mógł wybrać najładniejszéj, abym ci ją kupił na żonę!

XI.

Tak rozmawiając, żwawo i swawolnie pobiegli dwaj przyjaciele po stromych urwiskach na górę zamkową w starym Kiernowie. Kroniki litewskie utrzymują, że jeszcze r. 1040 Kiernów był założony przez Kernusa, wnuka Palemona; ale to do niepewnych dziejów należy. Zdaje się wszakże, iż na dzielnicy Kiernowskiéj panowali książęta, mający zwierzchność nad innymi aż do r. 1230, to jest do Ringolta, który posunąwszy podboje swe do ziemi słowiańskiéj, przeniósł

stolicę do Nowogródka. Długo jednak tu wielcy książęta byli podnoszeni na tron litewski, jak Mendog r. 1242 i syn jego Wojsiełko r. 1265 i tu się główne narady państwa odbywały. Około r. 1282 znowu Kiernów stałem był mieszkaniem W. W. książąt aż do Gedymina, który przed 1321 r. stolicę do Trok przeniósł, synowi najstarszemu Montywidowi Kiernów z ziemią okoliczną oddawszy. *)

Zatem w chwili, gdy księżniczka Aldona, mając na zawsze opuścić ojczystą ziemię, gościła u najstarszego brata w starem gnieździe rodzinnem i na łące, gdzie się dzieciną bawiła z rodzeństwem, przyjmowała je, po raz ostatni może zebrane razem na jéj pożegnanie, natenczas Kiernów był jeszcze w całym blasku swéj świetności, jako starożytna stolica, ponieważ przed trzema laty zaledwie kunigas Gedymin przeniósł się do Trok, a Wilno jeszcze nie zdążyło wznieść się do przeznaczonéj mu okazałości. „Kiernowski zamek z warowniami i przyległościami swemi, gdzie była świątynia pogańska i więzienie, zajmował trzy najwyższe pagórki na wyniosłym brzegu Wilii, na których do dziś dnia są ślady okopów i kopców sypanych, a widok z nich rozległy i wspaniały. Ale ów zamek musiał być drewniany, bo żadnego znaku murów nie pozostało". **) Góra zamkowa naówczas zarosła była bujnym i bogatym sadem, przez którego gęstwinę, płoty i rowy, przeskakiwali cicho a zręcznie dwaj młodzi swawolni przyjaciele, po mło-

---

*) Starożytna Polska, Baliński.
**) Starożytna Polska, Baliński.

demu zapomniawszy w jednéj chwili dopiero co prowadzonéj poważnéj i smutnéj rozmowy. Biegli, skradając się tem ostrożniéj, im bliżéj byli zamkowych zabudowań, aż dopadłszy bocznych małych drzwi w lewem skrzydle zamku, po umiejętnem wyminięciu licznych straży, już mieli wsunąć się w drzwi te, gdy nagle duża kudłata postać, jakby z pod ziemi wyrosła, zatamowała wejście, mrucząc groźnie:

— Kto tu! precz!— natenczas, nie mogąc przejść niewidzianym, jak miał zamiar, Kiejstut usunął trochę wielkiéj futrzanéj czapki uszatéj, głęboko nasuniętéj i podniósł głowę, spoglądając przy jasnym blasku księżyca prosto w oczy strażnika:

— E, to Kunigas młody? a ty co tu robisz, książę? Nie tędy droga do waszych sypialni, to jest lewa połać zamkowa przecież, tu panie i dziewczęta teraz wieczerzę jedzą; czy one przeszkadzały wam, gdyście wy jedli, panowie?

Tak poufale dosyć, usiłował bronić wstępu stary wierny strażnik, ale zamiast odpowiedzi, Kiejstut odwrócił się z najwyższem na twarzy zdziwieniem i rękę wyciągając ku szczytowi sąsiedniego wzgórza, gdzie w blaskach księżycowych sterczały z pośród fos, wałów i ostrokołów baszty więzienne, szepnął z przerażeniem w głosie:

— Co to jest?... tam... ach, co to!?...

— Gdzie? — szepnął przelękniony strażnik, wpatrując się w stronę wskazaną! Patrzał z natężeniem przez chwilę, lecz nic nie dostrzegł, a gdy na powtórzone pytanie nie usłyszał odpowiedzi i zwrócił się do

tego, kto go przestraszył, nie ujrzał już nikogo: książę i jego towarzysz znikli, jakby ich tam nigdy nie było. Stary, wierny, ale zakutéj głowy Litwin stał chwilę osłupiały z podziwu, nie mogąc pojąć, co się stało, aż nagle skoczył po rozum do głowy i od razu wytłómaczył sobie wszystko; gdyby był młodszy, może przypuściłby, że mu się pojawiły widziadła osób żyjących i wywnioskował z tego złe prognostyki dla tych, których cienie widział, gdyż Litwini z natury byli i są bardzo zabobonni; ale że strażnik był przytem bardzo, doświadczonym, acz krzepkim starcem, przeto powiedział sobie:

— Ot... musiałem dzisiaj, choć się tego strzegę, wypić kubek piwa czy miodu za wiele... bo co kumysu, to już nie... chciałem ja tego przysmaku, radaby dusza do nieba, ale jéj grzechy nie dadzą; powiada szafarka, Witginsowa żona, że to dla kapłanów tylko i książąt, że to się poświęca przed użyciem, więc nie dała mi ani skosztować... i musiałem wypić kubek piwa zanadto, i zdrzemnąć się, choć o tem nie wiem, i przyśnił mi się młody kunigas Kiejstut z tym swoim nieodstępnym niewolnikiem Butowdem... a to być nie powinno, aby strażnik zasypiał: nigdy już tego nie zrobię!

Tak przyrzekał sobie stary Litwin, wierniejszy i bardziej sumienny, niż mu się samemu zdawało. A tymczasem dwaj młodzi towarzysze, wśliznąwszy się do sieni, podczas gdy on przypatrywał się sąsiedniemu wzgórzu, skoczyli zaraz do bocznéj izby, znanéj im dokładnie od lat niepamiętnych. Była to mała przyboczna i oddzielna kuchnia a raczéj gospodarska izba

szafarki, żony Witginsa, w któréj Kiejstut maleńki jeszcze, wiecznie zjadał wszelkiego rodzaju przysmaki, przyprawiane przez szafarkę, wiodąc zawsze za sobą i czyniąc wspólnikiem wszystkich przestępstw małego ulubionego niewolnika Butowda; ten znów ze swéj strony zawsze przy takich gratkach pamiętał o maleńkiéj Baniucie.

— Dziwna rzecz — mówił nieraz rozumny, choć mały jeszcze Kiejstut, siedząc pod stogiem i zajadając przysmak, gdy Butowd — wracał zziajany po odniesieniu części jego Baniucie — dziwna rzecz, że gdyby nie ty toby ta biedna Baniuta, rodzona córka Witginsowéj, nigdy nie skosztowała nic dobrego.

— Ani jabym nie kosztował gdyby nie ty, kunigasie, bo przecież sam bez pozwolenia bym nie wziął — odpowiadał z pewną jednocześnie dumą i pokorą mały Butowd, już wówczas rozumiejący po trosze z łaski Kosta, ale tylko po trosze, obowiązki, jakich chrześcijanie nauczają dziatwę. Potem dobry stary niewolnik umarł, a teraz dawne dziecinne lat ka, umilone jego gawędami, przypomniały się dwom młodzieńcom, wbiegającym do staréj kuchni, gdzie on w kącie przy kominie siadywał niegdyś, obracając rożen z pieczenią, lub przyrządzając owoce wedle rozkazów Witginsowéj. Z kuchni coprędzéj już mieli wysunąć się w drzwi boczne, wiodące do głównéj izby, gdy jak na złość wyszła z nich Witginsowa:

— A to co! Po co wy tu? Czyście znów po dawnemu zakradli się, żeby mi szkody narobić w śpiżarni? zawołała, — ale w tonie jej głosu śmiech dźwięczał,

choć łajała gniewnie niby; widocznie i jéj przypomniały się dawne czasy i umyślnie na ulubieńca swego malca, który stał się dorosłym księciem, powstawała tak, jak niegdyś, bo zjazd rodzeństwa dla pożegnania Aldony wzruszył wszystkich, a Kiejstut właśnie dawno już nie widziany był w starem Kiernowie. Zamiast odpowiedzi, chwycił on teraz tęgą i opasłą trochę szafarkę i wykręcił się z nią kilka razy po izbie tak, jakby „jaskółkę" z nią tańcował, szepcząc:

— Cicho! Cicho!... — a gdy zadyszana musiała umilknąć wreszcie i dać pokój łajaniu, młody kunigas zaśpiewał po cichu jéj do ucha, trzymając ją za ramiona i przytupując:

Póki chłopcy byli mali,
Do śmietany się skradali,
Jak koty;
Gdy wyrośli, nakształt dzika,
Skradają się do kurnika,
Jak lisy;
Ejże *tetka* (ciotka), pozwól z kątka
Patrzeć tu na kurczątka,
Pocichu,
Jak się uda kurka jaka,
Zaswatam ją dla wojaka,
Ot tego;
Tylko pokaż przy wieczerzy,
Która z nich tam je najszczerzéj,
Najżwawiej,
Bo takiéj i do roboty
Nie zabraknie też ochoty
Rozumiesz?

— Ale rozumiem, rozumiem, że z małych nicponiów wyrastają zazwyczaj duże nicponie — odparła

śmiejąc się — ale panny już są po wieczerzy, bo wszystkie są dzielne do roboty i przeto żwawo uwijają się z jedzeniem i teraz bajki zabierają się rozpowiadać sobie.

— O, cóż to za nudny obyczaj, żeby kobiety nie siadały do stołu razem z mężczyznami! tego nigdzie na świecie niema, tylko tu u nas na Litwie! — z gniewem zawołał młody kunigas — ale mniejsza o to; skrycie z małéj komory podsłuchamy bajek, a która z dziewcząt najlepiéj opowiadać będzie, tę zaswatam Butowdowi.

— Ee, po co te figle — odparła Witginsowa — czy to raz widzieliście dziewczęta przy jedzeniu, chociaż nie przy zastawionym stole, ot i dzisiaj na zabawie w lesie tak było: czy to tam nie widzieliście żadnéj dziewczyny?..

— Och!.. Butowd, słyszysz! tam była tylko jedna Baniuta, zgadłeś, że cię chcą z nią swatać — zawołał Kiejstut wesoło — pójdź, podsłuchamy bajek, a jeżeli Baniuta ładnie opowiadać będzie...

— Oj... najlepiej idźcie spać do siebie, kunigasie! — niechętnie odparła kobieta, a dwaj przyjaciele rozśmieli się z jéj kwaśnéj miny, wiedząc dobrze, o co jéj chodzi.

— Tak, śmiejcie się — mruknęła — lada która umie śpiewać pieśni i opowiadać powieści, choć jéj nie uczono, a ja moję uczę i uczę, a to zawsze takie jest biedactwo nieśmiałe, że się zalęknie i z żadnym talentem nie popisze nigdy: prawdziwe to nieszczęście!

— Słuchaj, dajmy pokój Baniucie i Witgins

niech sobie to z głowy wybije, żeby miał od nas na posagu za nią majątek zrobić, na ten raz przynajmniéj — rzekł Kiejstut, poważniejąc nagle — ale wpuść nas do małéj komory, bo chcę dziś jeszcze zobaczyć choć zdaleka siostrę Aldonę: wiesz, że jutro do dnia odjeżdżam... a ona potem pojedzie do Polski i... może nie ujrzę jéj więcéj.

Głęboki, tkliwy smutek drżał w tych prostych wyrazach brata, który o kilkadziesiąt mil przycwałował konno na ten jeden dzień, aby go z najmilszą dla niego tą siostrą z siedmiu miłych przepędzić, a jutro musiał koniecznie wracać na swoje stanowisko u granic odległych, gdzie strzegł Litwy od Krzyżaków. Witginsowa zrozumiała to doskonale i w milczeniu otworzyła drzwi boczne, Kiejstut wszedł cicho do ciemnéj komory, w któréj głębi połyskiwało żywe światło przez nawpół uchyloną zaponę w drzwiach innych. Zbliżywszy się do nich Kiejstut stanął i wsparty o ścianę, ukryty za oponą, spojrzał w oświetloną przestrzeń przed sobą, szukając oczyma Aldony z tem tkliwem uczuciem, które było cechą jego charakteru, co fakta historyczne stwierdziły następnie.

Duża izba, tak zwana *walgituwe*, co jest bardzo starożytnem jadalni nazwaniem, oświetlona była dostatecznie. Jasny ogień płonął na kominie, wyprowadzonym porządnie do góry, co pod owe czasy, prócz zamków książęcych, w niewielu tylko domach znanem było; w oknach także połyskiwały tu już szyby szklane, rzadkością jeszcze wielką będące, maleńkie okrągłe „batunka" zwane. Ciepło tu było, mimo chłodnego

nocnego na wysokiéj górze wiatru, dość łatwo przedzierającego się przez drewniane ściany; ale bo też oprócz owego komina znajdował się w drugim końcu jadalni nizki trzon, czyli palenisko bez komina, na którym leżała gromada kamieni rozpalonych kolejno na kominie i przenoszonych tutaj ku ogrzewaniu izby przez umyślnie ku temu użytą niewolnicę. Bliżéj téj ogrzanéj części jadalni stał stół długi, a na nim zastawione jeszcze obficie stały zakończające ucztę „słodycze, wety: *smagurei, smalstummai*". Nielitościwie kopcąca lampa, urządzona w glinianem naczyniu z łuczywa, owiniętego szmatką i zatkniętego w tłuszcz, oświecała ten stół, już opuszczony w téj chwili, gdy obecne osoby zgromadziły się w około jasno płonącego ogniska.

Były to już tylko same dziewczęta domowe, siostry i towarzyszki Aldony nieodstępne, gdy zamężne już do sypialni się porozchodziły, po wieczerzy odbytéj oddzielnie od mężczyzn starym litewskim obyczajem, zachowywanym jeszcze pod Gedyminowym dachem. Po odejściu starszych, odeszłyby może i dziewczęta, gdyby nie Aldona, która przez dzień cały i w czasie wieczerzy wrzawliwie wesoła, teraz zamilkła nagle i zwolna przystąpiwszy do licznych krosien, *stakles*, ustawionych przy ścianie bliżéj komina, popatrzyła na jedne z nich długo w zadumie, a potem usiadła i w milczeniu tkać zaczęła jak śnieg biały i cienki rozpoczęty tak zwany: ręcznik. Na ten widok ta i owa westchnęła i także wziąwszy to wrzeciono, to również u krosien zasiadłszy otoczyły komin, pracując cicho. Dziwny czar smutku rzewliwego powiał nad tą młodocianą gromadką niby

nad gromadą pracujących niewolnic, w chwili, gdy Kiejstut spojrzał na nie właśnie niewidziany:

— Gołąbka moja, kurczątko moje, jaka to smutna, oj, oj, nie radość dziewczęciu biedniątku z ojcowego domu w świat jechać do męża, oj — biadała pocichutku stojąca za Kiejstutem szafarka. Tymczasem wśród milczących przez chwilę dziewcząt ek ozwało się coś podobnego do westchnienia i do oderwanego dźwięku, jakim słowik zwykł rozpoczynać swe smutne pienia; po chwili dźwięk ten odbił się, jakby echem, tu i tam w różnych stronach gromadki, coraz wyraźniéj, coraz dźwięczniéj, ta i owa bezwiednie, mimowoli, zupełnie jak ptaszę probowała gardziołka, nuty i tonu, któryby najlepiéj przypadał do obecnéj chwili i do stanu młodych duszyczek, zgromadzonych koło ognia; probowały, aż któraś wymówiła wyrazy, przeciągnęła dźwięk, snadź znalazła to, czego mimowiedzy szukała, bo popłynęła pieśń, jedna ze starożytnych *dajnos*.

„Zamiłowanie w pieśniach i muzyce staréj Litwy powiada Kraszewski nietylko ilość pozostałych śpiewów, nietylko język, ale historyczne poświadczają dowody. Że pieśni były w wielkim powszechnym zwyczaju, potwierdza, że w końcu XVI wieku piszący Gwagnin jeszcze śpiewanie ciągłe za szczególność i właściwość narodową poczytuje”.

„Wspominając on o żarnach, dodaje, że mieląc w nich, pewną pieśń stosowną, nucą; a razem rozszerza się nad tem, że przy wszelkiéj pracy toż samo czynić zwykli, pewne pieśni z powtarzaniem słów śpiewając u każdéj roboty.” To też naturalnie bardzo i jedna

z dziewcząt, przędzących u komina, śpiewać zaczęła, a inne po chwili niechcący prawie przyłączyły głosy swe i brzmiała tęsknie a smutno starożytna pieśń następna:

U méj miłéj matki
Jedynaczką byłam,
Nie leniwa do roboty,
I do ciężkiéj brać się pracy,
Jak inne dziewczęta.

Kazała mi matka miła
Wcześnie wstawać z rana;
I słuchałam, i wstawałam,
By ognia rozpalić,
Śniadanie zgotować.

Kazała mi matka miła
Cienkie uprząść nici,
I słuchałam; prędko przędłam
Cienkie kręcąc nici
Na motków tysiące.

Kazała mi matka miła
Cienkie wytkać płótna;
A ja tkałam i zebrałam
Wiele płócien cienkich
W malowaną skrzynię.

Już też wiano moje wiozę
Daleko w obczyznę,
Na dwóch, na trzech wozach,
Pięcią, sześcią konikami,
I z przewodnikami.

Gdzie się koła rzną głęboko,
Wszystko rozcinają,
Rozerwą na dwoje,
I od żalu rozdarte
Jest serce dziewczyny.

Gdym przed progi wychodziła,
Padły z płotów dyle;
Padły dyle upadając,
I wytrysły z oczu moich
Łzy z oczu gorące.

Gdy brzmiała ta pieśń, oczy Kiejstuta zasłuchanego, bo szalenie kochał się w pieśniach, nie schodziła ze spuszczonéj ku tkaniu swemu twarzy Aldony: ona sama jedna nie śpiewała, bo nie mogła, po kilka razy usta jéj się składały do śpiewu mimowoli, ale natychmiast bolesny kurcz jakiś tamował głos i usta wpół rozwarte drżały bez dźwięku napróżno. A wtem, gdy zwolna niknąc i zamierając znikły nareszcie dźwięki pieśni, wnet po króciutkim przestanku, który ledwo na westchnienie starczył, z przeciwnego krańca dziewczęcéj gromadki ozwał się nowy dźwięk, nowe ptaszęce próby, aż i nowa pieśń, najprzód pojedynczym głosem nucona, rozbrzmiała chórem tęskliwym i stłumionym:

Rosną w ogródku klony,
Skarży się ruta w ogródku.
Skarży się, skarży, smuci,
Za dziewiczemi dniami.
— Czy ci żal ojca twego?
Czy ci żal matki twojéj?
Czy ci żal, o dziewczyno,
Dziewiczych dni twoich?
— Nie żal mi ojca mego,
Nie żal mi matki mojéj,
Żal mi tylko, żal,
Dziewiczych dni moich...

Grube łzy spadały z oczu księżniczki Aldony, bo ona utraciła już matkę, a wkrótce i z ojcem miała się

rozstać; grube łzy spadały na jéj robotę, na biały ręcznik weselny. Brat Kiejstut dojrzał tych łez i serce wezbrało mu żałością ciężką, mniéj może za rodzicami, boć jako chłopak mniéj był do ich pieszczot przywykły, ale za to więcéj za owemi „dziewiczemi dniami" siostry Aldony, o których pieśń wspomina. Bo „nieustanny żal tych pierwszych dni", pierwszéj młodości, za któremi płacz się ciągle w pieśniach kobiecych rozlega, dowodzi, że kobiety, do nieustannéj a ciężkiéj zaprzężone pracy, najwięcéj swobody, najwięcéj szczęścia i pokoju kosztowały w tych krótkich właśnie przed zamąż pójściem chwilach. A gdy wtem jakby naumyślnie dziewczęta zanuciły znowu pieśń młodéj mężatki:

Wszyscy łają mię
Nikt nie ujmie się,
Teścia łaje, łaje młody,
Biją bez litości...

Tedy młody kunigas, nie mogąc dłużéj wytrzymać:

— A niechże ich Pekolo *) poźre! — zawołał tak głośno, że gdyby nie brzmiąca wciąż pieśń byłby się zdradził. — Niech one tak smutno nie śpiewają, bo ona znów płakać zacznie.

— Zaraz, zaraz, ja na to poradzę; ba! no cóż robić, kiedy to już tak we zwyczaju jest opłakiwać wesołe młodości dni — mruknęła Witginsowa wzdychając, pewno za własnemi młodości dniami i żywo odbiegła z komory do gospodarskiéj izby, a w maleńką chwilę późniéj weszła do jadalnéj izby, niosąc w ręce

*) Bóstwo piekielne.

mały kubek i dzbanek spory buchającego oparem napoju. Kunigas tymczasem wymknął się cicho i znów niepostrzeżony przez straż drzemiącą dostał się do swojéj sypialni.

XIII.

— Cóż to znowu, panny moje! — rzekła półgłosem, ale z gromiącą powagą ochmistrzyni, gdyż w istocie i tę funkcyą sprawowała na niezbyt licznym ani zbyt troskliwie urządzonym dworze Gedymina — czy serca nie macie, żeby smutnemi takiemi pieśniami serce rozdzierać téj biedaczce, toż nie dziś przecież jeszcze odjeżdża, dość będzie czasu na płaczliwe pieśni; zaraz mi albo śpiewajcie wesoło, albo bajki zabawne rozpowiadajcie. A przedewszystkiem napijcie się na zdrowie i na sen, tego co sami bogowie piliby, gdyby nie mieli czegoś jeszcze lepszego, a co tylko dla kapłanów przedniejszych, smutnych księżniczek, i dla osób chorych się przyprawia: wywar z krup, miodem, i korzeniami zaprawny!.. ja sama robiłam!

— *Mieciones!* doprawdy *miecione*s? — zawołały dziewczątka, od razu po młodemu ze smutku do wesołości przechodzą. — „Biały napój bogów", ten o którym pieśni mówią? Jestże to ten sam? Ach! jakżem go ciekawa. Nigdy w życiu go jeszcze nie kosztowałam.

Ale Witginsowa, nie zważając na te okrzyki, przystąpiła tymczasem do Aldony nieruchoméj i załzawionéj nad tkaniem i nalawszy kubeczek wrzącego napoju, podała go jéj mówiąc serdecznie:

— Złotko złociste, rybko szczero złota ty moja wypij no to!.. stara niańka ciebie prosi, wypij!.. to lekarstwo na sercowe bóle!

Aldona podniosła na nią błędne, prawie w téj chwili, zapłakane oczy, widocznie nie rozumiejąc, o co chodzi, aż usłyszawszy o lekarstwie od bólu serca... wypiła posłusznie.

— Albo i to — gderała tymczasem ochmistrzyni, odsuwając od Aldony jéj tkacką robotę — do czego ci ta praca, przy któréj najsmutniejsze każdéj dziewczynie przychodzą myśli; czy ci to potrzebne, kiedy do Polski Polakowi ojciec za żonę cię daje. Wszyscy, i kunigas Kiejstut, i Butowd, zaręczają, że tam wcale nie ma tego zwyczaju z ręcznikami, co u nas, że panna młoda wcale ręczników własnéj roboty nie jest obowiązana weselnikom rozdawać!

— I cóż ztąd — łkając odrzekła Aldona — cóż ztąd, że w Polsce tego zwyczaju niema, to ja też nie Polka, i Polakom rozdawać nie będę, tylko moim braciszkom a siostrzyczkom, którzy tu w Litwie daleko za mną sieroteńką pozostaną. Toż najuboższa u nas dziewczyna i najmniéj robotna wstydziłaby się przez resztę życia, gdyby godowników na swem weselu nie udarowała, a Marti kunigasówna, że bogata i weselników zaprosili jéj dużo rodzice, wszak przez rok cały tkała ręczniki, aby wstydu nie mieć. A ja córka Gedymina, miałabym jak nędzarka albo jak próżniaczka ręczników na wesele sobie nie utkać? Otóż utkam, choćbym zapłakać się miała nad nimi; i choć nie tu będzie wesele, przecież ojciec przyrzekł, że mi gości sprosi na

ostatni wieczór, gdy domowe progi żegnać będę i porozdaję wszystkie ręczniki, choćbym z niemi wszystkie łzy i wszystko serce rozdać miała, aby w domowych zostały kątach!.. i tak mówiąc, litewska księżniczka jeszcze rzewliwiéj płakać zaczęła, a siostry i towarzyszki patrząc na nią, zapłakały także przeciągłem łkaniem i znowu niechcący prawie wraz ze łzami pieśń stara płynąć zaczęła z dziewczęcych serduszek obyczajem narodowym:

Gdzie piękna nasza siostra stanęła,
Kwitnęła ruta i lilie kwitnęły,
A siostra nasza smutnie narzekała:
  — O, siostro, czemuż tak smutnie narzekasz?
  Czyliż dni twoje nie pierwszej młodości?
  Czemuż tak smutno narzekasz, o siostro?
— Muszę ztąd w obcą uchodzić stronę,
Kochaną opuścić matkę:
Nie piejcie koguty czarne.
  Niech się dzisiaj noc przedłuży,
  Bym jeszcze tutaj została,
  Słówko matce powiedziała...

— Cicho mi, panny!.. czy chcecie, żeby żal zabił wam siostrę? — zawołała nie żartem przestraszona ochmistrzyni, gdy Aldona przy ostatniéj strofie żałosnéj pieśni zaniosła się płaczem serdecznym. — Oto jest „biały napój" niech każda wypije po kubeczku, Baniuta, podaj księżniczkom! i proszę zaraz iść spać, a już ja sama uspokoję gołąbkę moją.

Siostry otoczyły płaczącą, przestraszone gwałtownem jéj łkaniem, ale Baniuta podawała im kolejno gorący napój, godzina spóźniona nawoływała do spoczynku, despotyczne skinienia ochmistrzyni miały także

swą władzę, ugruntowaną na niezawodnéj téj ochmistrzyni troskliwości. Przeto po chwilce zamieszania siostry uściskały płaczącą i wraz z towarzyszkami wyszły z jadalni, wzdychając szczerze i ciężko nad losem siostry, któremu podobny, oczekiwał każdą z nich: los pracy i zaparcia się wszelkiéj własnéj woli, nawet gdyby księżniczką była... w czem jedyną osłodą, odurzeniem się niejako, bywały wrzaskliwe muzyki i wrzawliwe tany, albo pieśń, pomagająca płynąć łzom. Przy dogasającym płomieniu ogniska, wkrótce Aldona spłakana pozostała sama jedna z głową wspartą na ramieniu wiernéj, tulącéj ją Witginsowéj.

— Co za niemądre dziewczęta — mruczała ta ostatnia — że też żadna nie zdobyła się na jaką taką piosnkę lub bajkę, którąby hm... hm...

— No, to zdobądźże ty się na nią, *sene!..* — powiedziała Aldona z ciężkiem westchnieniem, podnosząc głowę: sama czuła, że rozum straci, jeżeli gwałtem nie oderwie myśli od trujących ją smutków.

— I owszem — bez namysłu odparła szafarka — natychmiast powiem bajkę, która ci dowiedzie jasno jak na dłoni, że młoda narzeczona nie powinna zbyt czarno wyobrażać sobie przyszłego życia, bo różnie się zdarza na świecie. Wszak nigdy nie powiadałam ci bajki o jodle? Egle?

— O jodle?.. nie, nigdy.

— Spodziewam się, ponieważ mam zwyczaj tylko narzeczonym ją powiadać. Otóż Egle, zanim jodłą została, była śliczną młodą dziewoją i raz z siostrami, wieczorną porą poszła się kąpać do blizkiego jeziora.

Wieczór już był, gdy dziewczęta wróciły do koszulek porzuconych na brzegu. Wtem Egle krzycząc odskakuje od koszuli. Wąż w niéj siedzi w rękawie. Jak go wygnać? Jak odzyskać koszulę?

Wtem z rękawa głowa się ukazuje i głos słyszeć daje: „Wynijdę sam, jeżeli mi dasz słowo, że zostaniesz moją żoną."

Siostry dla pozbycia się węża zmusiły Eglę dać mu słowo. Jak tylko je otrzymał, natrętny wąż wyszedł z koszuli i zniknął. Egle z siostrami wróciła do domu. Zaledwie wróciły do chaty, zjawiają się we wsi swatowie od Węża; trzech Żaltisów wężów na niecce jadą, zajeżdżają w podwórko i powiadają ojcu i matce:

— Żaltis wąż prosi o swoję narzeczoną, Egle dała mu słowo.

Rodzice potrząsają głową, nie wiedzą co na to odpowiedzieć, radzą się, myślą, idą do staréj sąsiady. Stara sąsiadka powiada:

— Łatwo będzie węża oszukać, zamiast córki dajcie mu gęś i odprawcie. Tak się stało; swaty wsiedli i pojechali z gęsią; ale na drodze *gieguże* kukułka woła na nich:

— Kuku! kuku! kuku! oszukano was, zamiast narzeczonéj, dano wam gęś białą; wracajcie napowrót; kuku! kuku! kuku!

Wężowie powracają do chaty, z wielkim gniewem wyrzucają gęś, wymawiają rodzicom i znowu wołają o narzeczoną. Rodzice biegną do sąsiadki, ona myśli, przemyśliwa i radę im daje nową:

— Gęś ich nie oszukała, dajcie co większego, owcę białą.

Rodzice dają owcę, swaty znowu jadą. Ale nie dojechali na koniec wioski, gdy znowu kukułka spotyka ich i woła:

Kuku! kuku! oszukano was znowu zamiast narzeczonéj, dano wam owcę białą, wracajcie napowrót kuku!

Znów tedy swaty wracają, gniewają się, grożą, córki żądają; znowu rodzice radzą, myślą, a stara sąsiadka każe im dać krowę białą. Swatowie jadą, jadą, aż kukułka spotyka ich u sioła:

— Kuku! kuku! znowu was oszukano, zamiast narzeczonéj, wzięliście krowę białą; wracajcie napowrót, kuku! kuku!

Swatowie wracają znowu, ale już z groźbą straszną. Rodzice radzą jeszcze i dają starszą córkę. Ale kukułka przestrzega znowu, swaty odwożą ją jeszcze, z groźbą coraz straszniejszą i większą, posuchy, powodzi, głodu i wszelkich klęsk za obrazę wyrządzoną wężowi. Oddają więc nareszcie Egle z płaczem i żalem a kukułka woła:

— Jedźcie, śpiesznie, narzeczony czeka na młodą, kuku!

Z postrachem pogląda Egle na jezioro, wtem z głębi wód, nie wąż straszny wcale, ale młodzieniec urodziwy, bóg wód się ukazuje.

W pięć lat po tem, szczęśliwie żyją Egle i Żaltis, ale Egle tęskni za chatą, wioską, rodzicami. Jeszcze pięć i jeszcze pięć lat upływa, ona zawsze równie szczę-

śliwa, tylko coraz bardziéj pragnie odwiedzić rodziców. Mąż przecież nie rad temu, odkłada, odsyła te odwiedziny coraz na daléj. Aż wreszcie, znużony prośbami, pozwala z warunkiem, aby wprzód znosiła trzewiki kute z żelaza. Egle rzuca je w piec, przepala, i zdarła prędko.

— Otom gotowa do drogi — powiada — teraz czas piec pierogi, które zaniosę rodzicom.

— Dobrze — odpowiada Żaltis — Ale wprzód nanoś wody rzeszotem, bom cebry pochował. A nie upieczesz pierogów, to i w odwiedziny pójść nie można bez tego podarku.

Egle zamiesiła rozczynę, zalepiła nią rzeszoto, nanosiła wody i upiekła pierogi. Mąż pozwolił nareszcie, ale jéj, żegnając ją, powiedział:

— Gdy przyjdziesz z powrotem nad jezioro, trzy razy zawołaj słowami: Mężu mój, żona cię woła, jeżeliś żywy, wynijdź pianą mleczną, jeśli nie żyjesz już, pokaż się krwią na wodach.

Egle ruszyła do sioła, przyjęta gościnnie, radośnie, ciekawemi pytaniami bez końca wstrzymywana od dnia do dnia. Bracia tymczasem jechali na nocleg w las, i zabrali z sobą chłopca, syna Egli. Pojechał z nimi; a gdy zaszli w głęboką puszczę i ognie rozpalili, poczęli go wujowie karmić, głaskać a wypytywać:

— Powiedz, chłopcze, gdy matka powróci do domu, jak na ojca wołać będzie? A chłopiec im odpowiedział: Nie wiem. I napróżno pytali, prosili, grozili, aż nareszcie obili go winnikami, ale i to nie pomogło.

Gdy wrócili, chłopiec miał oczy czerwone, pytała go matka, od czego ma oczy zapłakane?

— Nic to — odpowiedział — siedzieliśmy u ognia, łuczywo było smolne, wiatr pędził mi dym w oczy.

Następnéj nocy wzięli bracia młodszego i obili go znów napróżno, bo i ten nic wyznać nie chciał. Trzeciego wieczora zabrali z sobą córkę, ale tę gdy nastraszyli rózgami, wszystko im powiedziała.

Bracia poszli, wziąwszy z sobą kosy, za wieś, nad jezioro i wywołali słowy podchwyconemi męża siostry. Z piany wodnéj wytoczył się wąż na brzeg, a oni, pochwyciwszy kosy, rozsiekli go w sztuki.

Minęły dni odwiedzin, Egle z dziećmi, pożegnawszy swoich, poszła nad jezioro, woła męża; ale miasto piany białéj krew się zjawiła na wodzie. Głos znajomy pożegnał ją i oznajmił, kto był zabójcą mężowskim. Usłyszawszy to, Egle zawołała:

— Gdzie się podziać? dokąd pójść? Jak żyć ze zbójcami męża?

Bogewie usłyszeli i zmienili Egle w jodłę, starszego syna w dąb, młodszego w jesion, a dziewczynę w osinę.

Chciałaś bajki, masz bajkę, gołąbko moja, bajkę, jaką się narzeczonym dziewczętom opowiada, gdy zbytecznie za rodziną rozpaczają: a powiedzże mi, rybko, czy rozumiesz, jaka to mądrość w téj bajce jest ukryta dla dziewic nauki?

— Rozumiem, to... to... — jąkała młoda księżniczka, smutno głową kiwając:

— Oto ta — stanowczo odpowiedziała kobieta — że bogowie nakazali dziewczynom słuchać rodziców, a potem męża, i nie płakać ani żalić się nigdy, a wtedy dobrze dziewczynom będzie. Widzisz, bajka ani wspomni, żeby Egle rozpaczała, gdy ją rodzice oddawali Żaltisowi; znaczy to że poddała się ich woli posłusznie, chociaż pewno miała przyczynę bardziéj trwożyć się Węża małżonka, niż ty polskiego królewicza; to też za to posłuszeństwo szczęśliwą Egle została na długo i byłaby szczęśliwą na zawsze, gdyby była tak posłuszną mężowi, jak dawniéj rodzicom. Ale ona dręczyła męża prośbami, oszukiwała podstępnie, niszcząc żelazne trzewiki i zalepiając rzeszoto, któremi to sposobami on ją chciał przy sobie zatrzymać: postawiła na swojem i... zginęła nieszczęśliwa.

— O — westchnęła ciężko księżniczka — i jabym chciała być uległą i póki tańczę przy hucznéj muzyce, która mi ból serca zagłusza albo po lesie za zwierzem gonię, to mi wszystko łatwem się zdaje, i domowe progi opuścić, i między nieznanych ludzi jechać. Ale gdy cisza w około mnie zalegnie, gdy na myśl przyjdzie, że tamten cały kraj, i ten królewicz i świątynie tamtejsze, wszystko błyszczy od złota i srebra, że i ten królewicz i wszyscy pewno tam umieją z ksiąg czytać, i drobnemi znakami na księdze pisać, tak jak ci zakonnicy, co to list ojcu Gedyminowi do tego najwyższego chrześcijańskiego kapłana niedawno w komnacie ojcowéj pisali, a ja stałam z boku i patrzałam; gdy pomyślę, że i mąż mój, i teść może pogardzać mną będą dla nieuctwa mego i dla tego, ze złota ani srebra nie mam, to mię taki

strach ogarnia, że... o!.. możebym mniéj się bała za Żaltisa węża za mąż iść, bo węże dobrze znam i niewiem, czemubym lękać się ich miała...

Domawiając słów ostatnich, księżniczka otoczyła jedną ręką szyję swéj pocieszycielki, tuląc się do niéj, a drugą spuszczając ku ziemi, zaczęła nucić półgłosem osobliwszą jakąś pieśń bez słów, pełną rzewnego i smutnego wdzięku, lecz najzupełniéj różną charakterem, rytmem i melodyą, od wszelkich innych, do jakich ucho przywykło. Dziwne jakieś nieopisane wrażenie na każdym pieśń ta wywrzeć musiała. To też zaledwie tajemnicze metaliczne dźwięki rozległy się po obszernéj izbie, wnet zwróciły uwagę jakiéjś niewidzialnéj dotąd istoty: lekki szelest dał się słyszeć w pustym kącie, zaczerniło się i poruszyło coś niewielkiego na pozór i duży wąż wysuwając pierścienie z jamy pomiędzy ścianą i podłogą, począł zwolna pełznąć ku śpiewającéj księżniczce. Zbliżywszy się, stanął i począł wsparty na ogonie podnosić głowę, szyję i resztę ciała, prosto w górę stając nieledwie, wyprostowany na parę łokci wysoko ku jéj wzniesionéj teraz cokolwiek ręce, a potem stosując się do poruszeń téj ręki i nieujętego rytmu piosenki, jął poruszać się zwolna i nie bez właściwego sobie wdzięku; jednem słowem wąż tańczył, tak jak w Indyach Wschodnich tańcują węże zazwyczaj od wieków do dzisiaj na skinienie i piosenkę kuglarzy, wedle zapewnień naocznych wiarogodnych świadków.

Aldona śpiewała może jedną z tychże samych melodyj nawet, tylko ani myślała o czarach, któremi właśnie kuglarze owi tłómaczą przed nieświadomymi

widzami swą władzę nad wężem, chociaż wyzyskują jedynie jego zamiłowanie w muzyce i czułość na pewne zwłaszcza melodye i dźwięki. Po chwili téj zabawki, stara niańka nie poruszając się z miejsca, sięgnęła ręką na poblizki komin, wzięła zeń stojący tam w pewnem od ognia oddaleniu kwartowéj miary garnczek i podała go wychowance. Garnczek pełen był mleka, grzejącego się w ten sposób bezustannie tu dla wężów, gdyż dobry wygląd czyli wypasienie tych domowników, uważanych za świętość w staréj Litwie, dawało miarę skrzętności gospodyni. Aldona wzięła garnczek i umoczyła usta w mleku, probując w ten sposób czy nie za gorące, tak właśnie, jak czyni matka, mając podać je dziecku. Mleko okazało się ogrzane w miarę, a tymczasem tłusty pieszczoch, gruby prawie jak ręka i dwułokciowéj długości, przestał tańczyć, ujrzawszy te przygotowania, wlazł na kolana księżniczki, zwinął się, aby się tam zmieścić, układając się i poprawiając na sposób niby ulubieńca psiaka, i począł z wielką powagą, przynależną świętemu swemu charakterowi, pić podane mu mleko. Powaga ta była mu bardzo właściwą, gdyż był taki wypasiony, że pewno w życiu swem głodu nie znał. To też bez cienia łakomstwa przestał pić na skinienie i rozkaz księżniczki, gdy ta uznała, że ma dosyć i patrzał spokojnie, gdy podawała następnie mleko trzem innym wężom, które przypełzły do jéj stóp i wspinały się na nią, jak tylko znany im garnczek z mlekiem pojawił się w jéj ręku.

— W Polsce podobno i wężów nie chowają ludzie po domach?... — z ciężkiem westchnieniem i na

wpół pytając powiedziała Aldona, wracająca bezustannie myślą do dręczącego ją przedmiotu.

— E... gdzieżby zaś? — zdumiona zaprzeczyła Witginsowa, ale po chwili namysłu dodała — a może i nie; powiadają ludzie, że u chrześcijan wszystko jest inaczéj. Ale nie wiem, jak się tam może gospodarstwo wieść bez wężów... choć i u nas w staréj Litwie dzisiaj nie tak to już niestety, jak dawniéj, ot choćby za moich jeszcze młodych dni bywało. Ja stara sługa kunigasów, tu w książęcym zamku chowam... aż wstyd prawdziwie powiedzieć, ledwo kilka par świętych wężów i to dla tego jedynie, że ty złotko moje, rybko złocista, kochasz stare świętości i pielęgnujesz je tu w téj dolnéj izbie... Ale zresztą, powiedzmy sobie prawdę na ucho, bo wszak nikt nas nie słyszy, czyliż to tak być powinno?.. Ho ho!.. za moich młodych lat gospodynie po kilkanaście nieraz wężów miały w chacie, a każdy tłusty jak baran!... Oj, upada stara Litwa, upada!... ciężkie czasy!

— Ciężkie... — powtórzyła w zamyśleniu księżniczka, głaszcząc węża ulubieńca, który odwdzięczał się otaczając zimnemi pierścieniami jéj szyję i ręce obnażone i przesuwając się po nich tam i napowrót, tak właśnie, jak rozpieszczone koty ocierają się o swych panów. — Ciężkie życie, i nawet niema się kogo w trudnościach jego poradzić... tak jak oto w bajce rodzice Egli radzili się sąsiadki, która może była jaką *burte* wróżką...

Nie ma się kogo poradzić? — powtórzyła Witginsowa zdziwiona i urażona trochę. No, prawda i to,

żem ja nie wróżka żadna, zatem moja rada nie wiele warta... Ale wiesz co? — dodała z nagłem ożywieniem i z błyskiem radosnym w oczach — przecież wieszczki i wieszczbiarze istnieją jeszcze! tylko, czegóż ty chciałabyś się dowiedzieć? o co się radzić?

— W istocie nie o radę mi chodzi — smutno potrząsając głową szepnęła dziewczyna. — Na cóż mi rada cudza, kiedy w każdym razie uczynię to, co każe ojciec Gedymin, choćbym nawet wiedziała, że nieszczęśliwą będę z tego powodu, i nawet ukryję łzy przed ojcem, aby go o mnie nie bolało serce ojcowskie. Ale chciałabym wiedzieć choć trochę, co mię czeka, w téj Polsce, o któréj tyle cudów słyszę; zdaje mi się, że odważniejszą będę, wiedząc, co mię czeka, choćby to najgorsze być miało, niż idąc na ślepo. Wszak jadąc w trudną drogę wśród jarów i przepaści, albo nad bystrą rzeką po chwiejnéj kładce przechodząc, albo uganiając za dzikim zwierzem po puszczy, zawsze otwieram jaknaszerzéj oczy, zamiast je zamykać na niebezpieczeństwo i żądam widzieć jak najlepiéj drogę przed sobą, jakkolwiek straszny jakiś wypadek może oczekiwać mię na niéj!

— To prawda — potwierdziła niańka — a więc, jeżeli tego pragniesz, to możemy poradzić się wieszczbiarzy.

— Tak, ale jeżeli każę zawołać ich do dworu, to wszyscy o tem wiedzieć będą, pierwszy ojciec Gedymin, i jeżeli wywróżą mi co złego, to on gotów najmilsze swoje zamysły porzucić, aby mię na nieszczęście nie narażać. A ja wiem przecież, jak bardzo pragnie on

tych związków z Polakami dla siebie i dla Litwy całéj i jak starał się o nie. Nie, nie mogę wezwać mądrych burtynikasów ani wajdelotów do dworu.

A więc powiem ci, co zrobić, ażeby wilk był syty i koza cała — tajemniczo zaczęła szeptać niańka — wiem ja jednę wieszczkę sławną nie lada, tu niezbyt od Kiernowa daleko, zmyślijmy sobie jakibądź pozór i pojedźmy do niéj tak, aby nikt nie wiedział, po co właściwie jedziemy.

Twarzyczka księżniczki ożywiła się na te słowa, a kobieta uśmiechnęła się widząc to, bo tego właśnie pragnęła:

— I jakaż to jest kapłanka taka sławna, o któréj bym ja nie słyszała? — zapytała żywo dziewczyna, skinieniem pozbywając się węża, który posłusznie natychmiast zsunął się na ziemię i popełzł do swéj nory.

— Nie słyszałaś?.. o kapłance w Pullen? tajemniczo spytała Witginsowa.

— W Pullen!... o, wiem, któżby o niej nie słyszał; ale to nie tak blizko, jak mówiłaś — zauważyła Aldona.

— To i cóż z tąd?... nie tak daleko przecież; kilka mil, cóż to znaczy, gdy idzie o rzecz ważną?

— Prawda; ale jakiegoby tu użyć pozoru, żeby się ojciec nie domyślił, po co tam jadę?... a bez wiedzy i pozwolenia ojca nie można jechać... — kłopotała się dziewczyna.

— Otóż to — potwierdziła powiernica — ale czekaj no, złoto moje, niechno Gedymin sam nakaże tobie

jechać do świątyni, zobaczysz! Pójdź teraz spać i zdaj to na mnie!

— Ale powiedz mi jak to zrobisz? — pytała ciekawie Aldona.

— Nie trzeba, abyś wiedziała, bo rozgadane zamysły nie udają się najczęściéj—zapewniła z tajemniczą miną kobieta, która mając zamiar troszkę Gedymina zwodzić, nie chciała wydać się z tem przed Aldoną, a ta, zabobonna jak wszyscy Litwini, nie nalegała więcéj w obawie, że zamysł mógłby się nie udać. Ożywiona i zajęta mocno obiecaną podróżą, ponieważ celem jéj było uchylenie zasłony przyszłości, dała się zaprowadzić do sypialni, gdzie spały już jéj siostry, a na dobranoc ująwszy odchodzącą powiernicę za szyję, spytała pocichu, aby śpiących nie budzić:

— Ale Baniuta pojedzie z nami?

— O nie! nie chcę! — porywczo mruknęła zapytana.

— Wiesz co, mnie się czasem zdaje, że ty nie warta jesteś mieć takiej ślicznej dobréj córki, kiedy jéj cenić nie umiesz! — z niechęcią szepnęła księżniczka.

— Ale owszem, kocham ją, kocham — zapewniła kobieta — tylko na ten raz nie mogę wziąć jéj z sobą w podróż.

— Dla czego? kiedy ja chcę, aby i ona jechała — nalegała Aldona.

— A to dla tego — do ucha wychowance szeptała Witginsowa — że ja chcę koniecznie, korzystając z cza-

su, gdy się ztąd wszyscy goście porozjeżdżają, chcę namówić Witginsa, aby jechał z nami i przy sposobności wyznał swoje winy u stóp bogów w świątyni: *) kapłan niewątpliwie porządnie go wyłaje, albo może i cięższą karę naznaczy, gdyż zasługuje on na to, lecz nie powinna patrzeć na to Baniuta, mogłoby to uszanowanie jéj dla ojca osłabić.

Młoda księżniczka musiała uznać w duchu, że Witginsowa słusznie postępuje, i że, jeżeli Baniuty nie pieści zbytnio, to przecież za to starannie ją wychowuje. Westchnąwszy zatem za miłą towarzyszką, z którą podróż byłaby dwa razy przyjemniejszą, zgodziła się z losem jak zwykle i uściskawszy powiernicę, zasnęła wkrótce, pytając sama siebie, jakim sposobem potrafi wyprosić u ojca Gedymina pozwolenie na przejażdżkę do świątyni?... Wiedziała bowiem młoda księżniczka, że poważny zakonnik, przybyły tajemnie z Polski i bawiący cicho i skrycie prawie przy boku ojca Gedymina, dla ułożenia z nim stanowczo warunków jéj małżeństwa, zanimby uroczyste poselstwo jawnie po narzeczoną przybyło, nalegał mocno na ten punkt, iżby mu wolno było wraz z towarzyszem natychmiast zająć się nauką i przygotowywaniem przyszłéj królowéj polskiéj do chrztu świętego. Ojciec opierał się temu, nie chcąc drażnić religijnych uczuć swych poddanych; jakże więc w takich okolicznościach miałby pozwolić przyszłéj chrześcijance na pogańskie praktyki i odwiedzanie słyn-

*) Wyznanie grzechów przed kapłanem należało do obrzędów religijnych Litwinów.

néj pogańskiéj świątyni, co mogłoby i słusznie podrażnić znowu religijne Polaków uczucia?..

Było istotnie nad czem pomyśleć i pomyślawszy, Aldona pożałowała już nawet, że pozwoliła kłopotać ojca napróżno, a zmartwiona tem serdecznie, jeżeli zasnęła natychmiast mimo tych wszystkich swych kłopotów i zmartwień, to tylko dla tego, że cały długi dzień wiosenny, hucznéj zabawy i gwałtownych płaczów pełen, znużył ją okropnie. Zresztą młodość ma swoje prawa, które są nieraz silniejsze nawet od zmartwienia. Dla tego to Aldona wkrótce usnęła.

XIV.

Tymczasem ochmistrzyni, szafarka, gospodyni, czy tam pani marszałkowa dworu, bo wszystkie te tytuły nadawały się dla Witginsowéj ze względu na jéj zajęcia i stanowisko na Gedyminowym dworze, nie kłopotała się wcale, lecz nie tracąc czasu, zajęła się natychmiast spełnieniem obietnicy danéj księżniczce, mając w tem podobno istotnie i własny swój jakiś interes. Spóźniona pora wieczorna nie przeszkadzała wcale, gdyż wtajemniczonym wiadomo było, iż tajne narady i najważniejsze prace z obcymi gośćmi, z zagranicznemi stosunkami związek mające, Gedymin odbywał zazwyczaj w nocy, aby nie razić tem zakutych swoich Litwinów, przeciwnych w ogóle wszelkim przyjaźniom z obcymi, bez względu na to, że takie usuwanie się od przyjaźni jednych nie ocaliłoby ich z czasem od orężnéj przemocy innych, Krzyżaków mianowicie. Gedymin

bieglejszym był politykiem od swych poddanych i przeto dla ich własnego ocalenia musiał pracować skrycie przed nimi samymi.

Wyszedłszy ze wchodniego zamkowego skrzydła, w którem mieszkały kobiety, Witginsowa ze sporym koszykiem w ręku, bacznem okiem gospodyni obrzuciła zasypiające głęboko na pozór w cieniach nocy skrzydło zachodnie, zamieszkałe stale przez kunigasa Montywida, najstarszego z Gedyminowiczów, któremu ojciec oddał Kiernowo w udzielne władanie. Chwilowo tylko gościła tu obecnie cała rodzina, zgromadzona na pożegnanie kochanéj przez wszystkich Aldony, która może też i z tego względu większego nabyła teraz w rodzinie, niż inne siostry znaczenia, że ona jedna z pomiędzy nich miała zostać królową potężnego ościennego mocarstwa. Obejrzawszy bystrem spójrzeniem nie tylko skrzydło przeciwległe, ale całe obejście i dwie pobliskie góry, więzienną i świątynną, jakby to wszystko pod jéj jedynie pozostawało zarządem, poważna dygnitarka Kiernowska, oblana srebrnym blaskiem księżyca, skierowała się prosto ku głównemu korpusowi zamku i przepuszczona z uszanowaniem przez straże w mundurach wilczych, niedźwiedzich i baranich, włosem na wierzch odwróconych, weszła do izby, w któréj młody ale tęgi niepospolicie niedźwiedź sam jeden we własnym swoim mundurze siedział jak pies u drzwi pańskich, z bardzo melancholiczną miną ssąc sobie i liżąc własną przednią łapę, gdy tymczasem koszyk taki sam, jak niosła Witginsowa, stał przy nim próżny. Siedział tak, że tamował ogromną swą postacią wejście do przy-

ległej izby, której drzwi były zamknięte. Na widok wchodzącéj z drzwi przeciwległych gospodyni, najprzód podniósł się i chwycił za potężną dębową pałkę, ponabijaną krzemieniami, ale poznawszy kto wchodził położył pałkę zaraz, i łakomie spoglądając na koszyk, przez przybyłą panią niesiony, oblizał się od ucha do ucha zamaszyście.

— A widzisz, piesku — powiedziała po przyjacielsku gospodyni — przypomnij no sobie, ile to razy ostrzegałam cię, abyś nie pożerał od razu wszystkiego, co masz w koszyku, a ty zawsze swoje robisz: jak jest, to szelest, a potem, łapę liż!... Nie lepiéjby to było jeść sobie po troszeczku, a ciągle?... nie nudziłbyś się wtedy tak bardzo i nie potrzebowałbyś łapy sobie wysysać, bo przecież wiem ja dobrze, ile tobie potrzeba, abyś miał dosyć.

Na te słowa niedźwiedzisko, jakby je zrozumiało, podniosło łapę obrzydliwą bo kudłatą, a kudły mokre były od lizania, i podsunąwszy ten *corpus delicti*, dowód swego głodu, pod oczy gospodyni, kiwało głową żałośnie, patrząc jéj w oczy wyraziście małemi lecz roztropnemi oczami z głuchym pomrukiem. Było przytem tak ucieszne, że Witginsowa chcąc nie chcąc parsknęła śmiechem, a wtedy i rozpieszczony a mądry potwór umilił także swoje oblicze tym wyrazem rozweselenia, jakim umilić je umieją psy przedewszystkiem, i niedźwiedzie, a który możnaby także nazwać uśmiechem. Gospodyni tymczasem śmiejąc się wzięła koszyk pusty, który niedźwiedź sam jéj podawał, postawiła go w kącie, a z przyniesionego przez się zdjąwszy

nakrycie, postawiła przed grubym łakomcem kosz, zawierający potężny, na sześciu ludzi, bochen chleba doskonale wypieczonego, a z umiejętności téj Litwini słynęli wedle kronik już w najdawniejszych czasach; potem ze dwadzieścia wielkich, jak dwie pięście, jabłek, i całkowitego, prócz dwóch tylnych ćwierci i skóry, barana ze wszystkiemi wnętrznościami, bardzo pięknie upieczonego i tartym chlebem obsypanego, rumianego także, jak najrumieńsze jabłuszko. Na taki widok niedźwiedź, aczkolwiek przyzwyczajony do niego, gdyż takąż samą porcyę otrzymywał zawsze od czasu do czasu kilka razy na dobę, przecież po długiem nadaremnem ssaniu własnéj łapy uradował się tak niezmiernie, że zamiast rzucić się na koszyk, przeciwnie z roztropnością i uczuciem u tego zwierzęcia niezwykłem, dotknął go tylko, powąchał smakowitych łakoci i oblizawszy się po swojemu, jak wyżeł, postawił koszyk napowrót na podłodze, a obie łapy szerokie, ogromne, kudłate, ale bardzo z kształtu do ludzkich podobne, wyciągnął rozpostarte szeroko w kierunku gospodyni, tak właśnie, jakby ją zamierzał uściskać. Witginsowa, jakkolwiek kobieta istotnie poważna, zaniosła się ze śmiechu wobec tych oznak niedźwiedziéj czułości, które odnośnie do postawy i min niedźwiedzia były prawdziwie zabawne.

— Och... och!... — mówiła sama do siebie, płacząc ze śmiechu i usuwając się przed uściskiem Witginsowa — czegóż to ciebie, Misiu, nie wyuczą wkrótce ci nicponie chłopcy dworscy!... Ani chybi, tylko to ten urwis Butowd... a może i sam kunigas Kiejstut wyuczyli cię téj nowéj sztuki!...

— Mrr!... mrr!... — nizkim basem zamruczał w odpowiedzi niedźwiedź, i jakby obrażony, że usuwano się od jego uścisku, dał pokój czułościom, zawrócił, usiadł w poprzek drzwi pańskich, jak wprzódy, postawił koszyk przed sobą i chwilę rozpatrywał się w jego zawartości, jakby wybierając, od czego ma zacząć. Witginsowa patrzyła ciekawie, bo zmyślny zwierz, malcńkim przez Butowda schwytany i wyhodowany troskliwie, był ulubieńcem całego dworu i wszyscy znajdowali przyjemność w śledzeniu jego umysłowego rozwoju, odkąd wychowywał się pomiędzy ludźmi. I teraz mądry niedźwiedź rozpatrywał się przez chwilę w zawartości koszyka, aż po namyśle wyciągnął zeń ogromny bochen chleba. Gospodyni klasnęła w ręce zdumiona:

— Nie; on naprawdę ma rozum! Wie, że nic lepszego nad chleb! — zawołała z mimowolnym podziwem. Niedźwiedź tymczasem, siedząc na tylnych łapach, obracał bochen w przednich, probując tu i tam zębami, ale wszędzie pięknie przypieczona skórka zdawała mu się snadź zbyt twardą, bo po kilku próbach wyciągnął łapę z chlebem ku gospodyni, mrucząc wyraziście: ale ten nadmiar zwierzęcego rozumu rozgniewał ją nareszcie:

— Co!.. — zawołała z gniewnem zdziwieniem — tybyś chciał może, żebym ci jeszcze chleb nożem w plasterki cienkie pokrajała, abyś ty sobie przy jedzeniu nie nadwyrężył delikatnych ząbków?... No!... tego już zawiele, jedz spokojnie, bo cię obiję!... — i gospodyni w zapomnieniu pogroziła pięścią niedźwiedziowi, który

mógł ją podobnem uderzeniem pięści na miejscu trupem położyć. A wtem zwierz, zamiast uciec, uchylić się, albo rozgniewać, pochwycił swoją olbrzymią pałkę dębową za grubszy koniec i podając cieńszy do rąk gospodyni, nadstawił grzbiet do bicia z pokorną miną, która przy jego ogromie i rzeczywistéj sile, czyniła go, jak wszystkie podobne ruchy, śmiesznym prawdziwie. To też znowu Witginsowa rozśmiać się musiała mówiąc sama do siebie:

— Ha, ha! a to zabawny zwierz, i urwisy chłopcy którzy figłów go uczą... no, ale może ty masz słuszność, Misiu, że chcesz, aby ci bochen pokrajać, bo w lesie w dzikim stanie co prawda nikt ci takich bochnów chleba wypieczonego jadać nie każe!—to mówiąc, wzięła chleb, i nożem przytwierdzonym na rzemieniu do pasa pokrajawszy w grube kromki, podała napowrót niedźwiedziowi ten łakomie z rąk jéj chleb chwyciwszy, wrzucił go do koszyka, a potem po jednéj kromce, drugą łapą urwawszy kawał barana, gryzł rozkosznie i śmiesznie zarazem, oblizując się za każdym kąskiem, co mu nadawało postać olbrzymiego, ale młodziutkiego psiaczka.

Podczas tego zajęcia z niedźwiedziem, gospodyni słyszała ciągle przytłumiony szmer rozmowy w izbie, u któréj drzwi strażnik ów, czy też pokojowiec, wartował, aż po chwili drzwi te otworzyły się i stanął w nich kunigas Gedymin. Na jego skinienie niedźwiedź, który już znowu chwytał za pałkę, położył ją, a wziąwszy swój koszyk z jedzeniem, wyniósł się z nim z przede drzwi na drugi koniec izby. Wtedy dopiero wyszedł powoli i cicho z izby Gedyminowéj szczupły zakonnik

i przeszedłszy izbę, znikł w drzwiach przeciwległych a gospodyni zbliżyła się do księcia z tajemniczą miną, i po cichu zawiadamiając go, że ma coś ważnego do powiedzenia, weszła za nim do sypialni, *gułta* albo *gulima kamara* zwanéj. Oprócz mnóstwa broni, zawieszonéj na ścianach, kilku bardzo prostych kożuchów, ławy szerokiéj, zasłanéj worami wypchanemi pierzem z futrami do nakrycia, gdyż Litwin do dzisiaj zwłaszcza wieśniak, kocha się w miękkiéj i obfitéj pościeli, był tu jeszcze prosty stół i para stołków, i co najważniejsza i wielce rzadką pod owe czasy na Litwie, jako główny i najwspanialszy sprzęt tej komnaty stał tam, rozsiadłszy się szeroko, ogromny piec z kafli bez polewy z wyciskanemi na nich znakami tajemniczemi, zwany z niemiecka *kakalys*.

— A co tam? — zapytał nie tracąc czasu już przy wejściu do komnaty książę, tęgi o żywych, stanowczych ruchach Litwin w baranim kożuchu, napił się z dzbana stojącego na stole, piwa zwanego *ałus*, którego warzenia od Gotów jeszcze Litwini się nauczyli, podszedł w kąt i żwawo przerzucał wiszące tam na kołkach kaftany malowane dziwacznie, przyłbice, szłyki, czapki, zdarte łby zwierzęce lub zszywane poczwarnie, kosmate z wojłoku kapuzy, przerzucając to, ani spojrzał na powierzchowność i ozdoby, tylko probował tęgości i mocy starannie. Widocznie chodziło mu o odzienie, któreby nie łatwo przepuściło cięcie miecza, następnie otworzył sporą skrzynię i z taką miną, z tak błyszczącemi oczyma, jak skąpiec, gdy skarb swój ogląda, jął drobiazgowo oglądać, probować i odczyszczać kudłatym rękawem

swéj szaty zbroiczkę, leżącą tam na podkładce z wojłoku, tak jak klejnoty w szkatułkach na miękkich podkładkach leżą u pań bogatych. Zbroję tę nosił on podczas bitwy lub niebezpiecznéj podróży, kryjąc ją pod litewskie zwykłe odzienie, wstydząc się tego zabezpieczenia życia, jakby jakiéj zniewieściałości, a ceniąc wysoko ten skarb, trudny do zdobycia wówczas nawet dla potężnego kunigasa. To też nie oddawał go nigdy do rąk służby, ani nawet Witgins stary nie dostępował tego zaszczytu, tylko roztropna żona jego miała czasem przywilej pomagania samemu księciu w przeglądzie zbroi, gdy przewidujący kunigas węszył, niby zwierz dziki, że blizkie niebezpieczeństwo nakaże mu nią się posłużyć. To też i teraz bystra kobieta, próbując sprzączek i spięć żelaznych, potrząsnęła głową, domyślając się, co znaczy ta koło zbroi robota i jednocześnie odpowiadając na pierwsze kunigasa pytanie:

— Co tam?... nic nowego; a wszelako widocznie się na coś zanosi, jakto i tutaj czuję... — dźwięknęła w sprzączki zbroi — gospodarze okrutnie rozpaczają, gdy im ogłoszono, że mają polskich brańców wszystkich do Wilna dostawiać, aby za kunigasówną Aldoną do Polski wracali.

— Poszaleli, czy chcą mię rozgniewać? A toż za każdego niewolnika płacę ustanowioną cenę? Może chcą, żebym brał i nie płacił? — burknął Gedymin. Witginsowa tajemniczo potrząsła głową:

— Nie tacy oni głupi — mruknęła — złoszczą się w istocie o niewolnika, lecz głośno i z pozoru narzekają tylko ciężko, i okrutnie biadają na krzywdę,

jaka się nibyto starym bogom dzieje, gdy córka wielkiego kunigasa ich się zapiera i cudzym bogom służyć jedzie u chrześcijanina męża i jeszcze ojciec za nią moc wielką posagu posyła, zamiast sam go wziąć, jakby córka litews kiego kunigasa nic wcale wartą nie była, jakby była koszlawa lub chora. Toż wstyd dla całéj Litwy, tak córkę swego księcia za mąż dawać, boć najostatniejszy Litwin jeszcze przecież za prostą i pospolitą córkę swoją choć dwie krowy zwykł brać od zięcia. Otóż tak mówią ludzie i strachają się bardzo, żeby bogowie za taką ich zniewagę nie mścili się na całym narodzie; boją się głodu, posuchy, choroby, a wszystko przez to, że córka wielkiego kunigasa bogów się starych odrzeka: popłoch w narodzie straszny...

— Jak się odrzeka? przecież nie odrzeka się jeszcze — z gniewem burknął Gedymin, zamykając z trzaskiem skrzynię ze zbroją — toż ten chudy jak szczypa zakonnik dniem i nocą pokoju mi nie daje, tylko żąda, abym pozwolił zaraz uczyć dziewczynę chrześcijańskiéj wiary, a ja nie chcę, dopóki choć z granic nie wyjedzie...

— E, co tam ludzie o tem wiedzą — wzgardliwie szepnęła stara sługa, wycierając połą swéj białéj, trochę przybrukanéj *skara*, chusty, stół piwem zalany — żeby tam i dziesięciu zakonników kunigasównę pocichu uczyło, a ona w obecności ludu składała głośno bogom ofiary to lud widziałby ofiary, a o uczeniuby nie wiedział, i musiałby milczeć, bo by nie miał powodu się skarżyć na zaniedbanie i odrzekanie się bogów.

Domawiając tych słów, kobieta machnęła ręką, zabrała dzban pusty i wyszła. Kunigas pozostał jak

wryty w miejscu, na którem usłyszał dobitnie wymówione ostatnie wyrazy owe, które go uderzyły chytrem swem znaczeniem. Witginsowa była prawdziwą, przebiegłą dwórką i ztąd odgrywała na pełnym starożytnéj prostoty dworze litewskim, bardzo ważną rolę, zajmując niezmiernie podrzędne z pozoru stanowisko, jak to zazwyczaj z wytrawnymi dwórakami się dzieje po pańskich i najwykwintniejszych nawet dworach. Miała ona przedewszystkiem ten chytry rozum, będący w ogóle cechą zręcznych dworaków, aby nigdy ani prosić państwa swego o nic otwarcie, ani tem mniéj radzić im cośkolwiek szczerze, choćby to było z ich dobrem istotnie, lecz zawsze w podobnych razach podsuwała im tylko myśl swoją, udając, że to czyni niechcący. I teraz uczyniła tak samo: kunigas był tak zachwycony trafnością chytrego pomysłu, żeby Aldona skrycie uczyła się chrześcijańskiéj wiary, a jawnie bóstwom pogańskim ofiary składała, że aż zaniemiał z radości w pierwszéj chwili, gdyż taki pomysł ratował go z bardzo trudnego, w jakiem się obecnie znajdował, położenia. Ale zapomniał kunigas, że świetna ta myśl doradzoną mu została przez starą niańkę, wychowanicę jego żony i powiernicę córek młodszych, pewien był, że to on sam wpadł na myśl ową, a właśnie takie wzbudzić u panów przekonanie jest celem dworaków doradców, co Witginsowéj też udało się teraz w zupełności i nie po raz pierwszy. Gdy wyszła, książę chciał jéj zawołać na powrót ale przypomniawszy, że wzięła dzban po piwie a zatem, że go pełnym na powrót przynieść musi powstrzymał niecierpliwość, z jaką chciał zamysł

swój natychmiast wykonać. Gdy kobieta wróciła, rzekł:

— Niech tu przyjdzie zaraz ten zakonnik starszy z dwóch... a ty czekaj...

Jak na skrzydłach pobiegła dworka przez zakamarki i podwórka do wieżycy, gdzie w ubogiéj izbie jeden zakonnik pisał coś, a drugi klęczał, modląc się. Spojrzała z zabobonnym strachem na tego ostatniego, a pierwszemu powiedziała, że wielki kunigas dziś jeszcze pragnie z nim się widzieć. Zakonnik wstał, westchnął znużony trudami powierzonéj mu sprawy i poszedł do księcia, przeprowadzony przez posłankę, na któréj widok niedźwiedź opuścił pałkę, podniósłszy ją wprzód na zakonnika. Witginsowa, wedle rozkazu „czekając” w niedźwiedziéj izbie, jako rządna gospodyni, nie traciła czasu, i otworzywszy inne drzwi boczne, opatrzyła bacznie znajdującą się tam w pobliżu Gedyminowéj sypialni jeszcze jedną izbę, a była to łaźnia, *pirtis*, jak zwykle w domach zamożnych panów litewskich urządzona „z siedzeniami podniesionemi, *plautai*, których to łaźni użycie u Prus i Litwy pospolitem było od najdawniejszych czasów. Po długim śnie, szli zaraz do izby *pirtele*, łaziebną zwanéj, gdzie była wanna, *praustawe*, i tam brano łaźnię. W ognisku, polewano wodą kamienie rozpalone. Lud robił sobie łaźnie w sklepikach podziemnych, gdzie ogień rozpalano; w tenże sposób parą je napełniając”. W niewieściéj części zamku znajdowała się takaż sama łaźnia dla kobiet, a księżniczka Aldona i jéj siostry nie wyobrażały sobie aby w domu można inaczéj dzień rozpocząć, jak od porzą

dnego wyparzenia się w łaźni przy mocnem ochłostaniu winnikami, co niesłychanie przydawało zdrowia, sił, rzeźkości i piękności zarazem. Czystość i właściwy stopień gorąca w łaźniach, jako też przygotowanie dostatecznéj ilości winników, pozostawały, jak cały prawie gospodarski zarząd w zamku, pod nadzorem Witginsowéj i dla tego to ona i tego wieczora bacznie łaźnię Gedyminową opatrywała. Tymczasem kunigas Gedymin, wskazawszy stołek wchodzącemu do sypialni zakonnikowi, usiadł sam na drugim i milczał chwilę bez śladu niecierpliwości, która nim miotała, ale którą przez rozum dyplomatyczny potrafił ukryć głęboko. Po długim dopiero namyśle, rzekł wzdychając powoli:

— Tak długo i usilnie rozmyślałem, jakby uczynić zadość twemu żądaniu, ojcze wielebny, aż nareszcie zdaje mi się, iż znalazłem sposób...—i znowu zmilkł.

— Abym mógł odrazu teraz zacząć oświecać księżniczkę Aldonę w rzeczach wiary chrześcijańskiéj?.. —szepnął ksiądz ucieszony, bo przed chwilą odchodząc ztąd stracił już był wszelką nadzieję przezwyciężenia uporu kunigasa, a przytem i sam uznawał ważne pobudki tego uporu.

— Tak — zwolna potwierdził kunigas — co wieczór, gdy oczy ludzkie mniéj bystro patrzą, będziesz mógł ty i twój towarzysz nauczać moję córkę tu w téj izbie, ale... — i znowu zamilkł, rachujący się z wyrazami Litwin.

— Ale?... — powtórzył mimowoli drżący z niecierpliwości ksiądz, podejrzywając ciężki jakiś za to ustępstwo warunek.

— Wszak wiesz, ojcze, że Litwa moja oburzona jest rozkazem zwrotu niewolników polski, co położyliście jako warunek poślubienia księżniczki, córki mojéj waszemu królewiczowi Kazimierzowi? — zapytał nagle książę, przerwawszy poprzednie swe zdanie.

— Hm, wiem... — przyznał zakonnik wzdychając, bo zdało mu się, że trzeba pożegnać chwilowo obudzone nadzieje.

— I wiesz może także, że Wajdeloci nasi, cały stan kapłański, z Krewe Krewojtą wielkim —kapłanem naszym na czele, starają się rozżarzać to wrogie dla mnie usposobienie mego ludu, a to przez niechęć do religii chrześcijańskiéj, którą ma przyjąć litewska księżniczka, i przez gorące przywiązanie do starych naszych bogów litewskich, które ja w przekonaniu kapłanów znieważam, poświęcając ją chrześcijańskiemu Bogu?

— Hm... ależ kapłani wiedzieć nie będą, jeżeli mam nauczać księżniczkę w tajemnicy — zauważył ksiądz, powtarzając to, co już po kilka razy powiedział poprzednio tegoż wieczora.

— Zastanów się — odparł kunigas — że to nie dosyć, bo przecież ty jéj teraz nie uczysz i powiedziałem wam stanowczo, że dopiero za granicami Litwy będziecie w księżniczce litewskiéj królową swą nauczali jéj przyszłéj wiary, a mimo to kapłani moi oburzają się i burzą lud grożąc gniewem bogów, posuchą, głodem, chorobą, za ich zniewagę.

— Cóż tedy obmyśliłeś, wielki książę?—westchnął zakonnik.

— Obmyśliłem—szepnął Litwin, zniżając głos do szeptu — że zatkam usta i piaskiem zasypię oczy Wejdalotom, jeżeli księżniczka, ucząc się chrześcijańskiéj wiary pocichu wieczorem, będzie za to w dzień jawnie i głośno składała ofiary starym bogom!

— Nigdy! to być nie może! — zawołał zrywając się ksiądz oburzony.

— A to czemu? — szczerze zdziwiony spytał kunigas, który pewien był, że zakonnik zachwyci się mądrym pomysłem.

— Wiara święta nie ścierpi takiéj zniewagi, takiéj dwulicowości! — wołał prostoduszny, a gorący chrześcijanin.

— Ależ to tylko pozory... — ze wzgardliwym prawie półuśmiechem tłómaczył dyplomata pogański.

— Nie, nie, nie może to być! — stanowczo powtórzył szczerze pobożny, wzruszony wielce tą rozmową ksiądz i podnosząc w górę oczy błyszczące, dodał z uniesieniem — Bóg widzi, że upierając się przy tym warunku, miałem przedewszystkiem na uwadze przyszłe szczęście domowe mego monarchy i jego żony, gdyż przekonany jestem, że królowie przykładem być winni poddanym. Chciałem więc oświecić w wierze księżniczkę zawczasu, zanimby ujrzał ją królewicz, gdyż wiara nasza ma to do siebie, że przygotowuje, i uczy ludzi, nietylko dla przyszłego żywota, ale jednocześnie i dla teraźniejszéj, krótkiéj na tym świecie pielgrzymki, a córka twoja, książę, choć, jest piękną, dobrą, zacną i rozumną, przecież jako poganka, różni się

w wyobrażeniach i pojęciach od dziewic chrześcijańskich. Może też w pierwszych zaraz chwilach najniewinniéj i mimowoli zrazić do siebie małżonka. Tego to ja chciałem uniknąć, oświecając ją w prawdach wiary... niestety! napróżno chciałem. — Zakonnik zasmucony powstał.

— Czekaj, księże — rzekł kunigas, uważnie wpatrując się w zakonnika tak, jakby ojcowskie serce pomagało poganinowi do zrozumienia chrześcijańskich tych zamiarów. — Czekaj, i powiedz mi, czy takby zrobić nie można, aby księżniczka kilka dni jeszcze poświęciła na zwiedzanie świątyń i składanie w nich ofiar, jak zwykle robimy przed podróżą?.. poplącze to zupełnie w głowach moim Wejdalotom, gdyż będzie wyglądało właśnie jakby odjeżdżała tylko, ale nie wyrzekała się wiary... a późniéj ty już uczyć ją będziesz, jak mówiłem?

— Niechajże i tak będzie—z ciężkiem westchnieniem rzekł zakonnik — nie będzie powiedziano, że posłany tutaj przez króla mego, zaniedbałem czegobądź, co mogło przyczynić się do dobra królewicza i współziomków, acz... słabe i nieudolne są siły moje, a księżniczka nie jest już dzieciątkiem, płonką giętką, którąby łatwo było w pożądany sposób naginać. No, stało się, będziemy co wieczór tajemnie w obec Gedymina i w jego skrytéj izbie uczyć księżniczkę prawd wiary, aby z niéj chrześcijańską co prędzéj uczynić królową — oznajmił w chwilę późniéj zakonnik, wchodząc do komnatki, gdy jego towarzysz wstawał właśnie z klęczek. Ten był starszy wiekiem, choć nie stanowiskiem od

pierwszego i machnąwszy ręką, rzekł z westchnieniem a szorstko:

— Będziemy... a no trudno to zrobić z kozła baranka...

— Toż nie kozioł, a koźlątko jeszcze chyba — z uśmiechem odparł tamten.

— A ha!... czem skorupka z młodu... hm hm... szepnął drugi.

XV.

Jednocześnie natychmiast po odejściu księdza, kunigas Gedymin zawołał oczekującą Witginsową i rzekł:

— Jutro wybierzesz drób, wieprze, barany, kozły i konia i co przynależy na ofiarę...

— Konia! — zawołała zdumiona, bo bardzo starożytna ofiara konia nieczęsto bywała już wówczas składaną, ale natychmiast ukąsiła się kobieta w język, zrozumiawszy, że kunigas umyślnie chce uroczystością i starożytną cechą ofiary otumanić pospólstwo, aby podburzaniom kapłanów nie wierzyło, więc rzekła: — A prawda!... ja myślę, zkąd tu wziąć odpowiedniego konia, a zapominam, że już podrosło to źrebiątko takich odmian i szerści, że nasz kiernowski Wajdelota zapowiedział, aby go do zwyczajnéj roboty nie używano...

— Zebrawszy ofiary — mówił daléj książę — poślesz część jednę do... tu zastanowił się, którą wybrać najprzód świątynię...

— Pewno zaczniemy od naszéj Kiernowskiej?...— podszepnęła kobieta, ale kunigas machnął ręką.

— Kiernów już teraz jak wieś, ktoby tam tutaj o tem wiedział—mruknął— poślesz część do Wilna, do staréj świątyni Perkuna w dolinie Szwentoroha, drugą do samego Romowe!... i tam trzeba ofiarować konia; trzecią...

— W Pullen jest bardzo stara świątynia i słynna kapłanka — odpowiedziała.

— Niechaj będzie do Pullen — potwierdził kunigas — a gdy wozy pójdą, zawieziesz za niemi kunigasównę Aldonę, aby sama w Wilnie, w Romowe, i w Pullen ofiarę złożyła! Idź, i jutro, gdy tylko goście się porozjeżdżają, niech kunigasówna wyjeżdża także!

— Chciałam prosić cię jeszcze, wielki kunigasie — zaczęła kobieta.

— O co?

— Abyś Witginsowi, mężowi memu rozkazał samemu dostawić na miejsce do świątyń ofiary, by doszły pewno i bezpiecznie, w czem na czeladź ani niewolników spuszczać się nie można.

Potwierdzającem skinieniem przystał kunigas na tę prośbę, a sprawna stara niańka, dotrzymawszy w ten sposób przyrzeczenia wychowance, że pojadą do Pullen, i załatwiwszy jednocześnie własny interes co do męża, żwawo wróciła na spoczynek do swojéj izby obok księżniczek, zadowolona bardzo i mocno wzruszona, wzdychając przy myśli o podróży do Pullen, niemniéj jak sama Aldona. Nie mogła też spać długo i o świcie już wydawała rozkazy i krzątała się żwawo. Kiejstut

z Butowdem znikli z małym orszakiem, dążąc do miejsc na granicy powierzonych straży młodego kunigasa; inni goście rozjeżdżali się na wszystkie strony; najstarszy tylko z Gedyminowiczów, Montywid, pozostawał w Kiernowie, którego był władcą, a księżniczka Aldona z niemałem zdumieniem otrzymała rozkaz ojca Gedymina, aby wybrała się z nielicznym orszakiem do Wilna i Pullen, dla złożenia przed ślubem i przed dalszą podróżą do Polski, ofiar starym bogom należnych. Tegoż samego dnia zatem, stanęło u stóp góry zamkowej w Kiernowie kilka wozów i wózków, takich o jakich nieco późniéj, to jest gdy już były cokolwiek ulepszone, kronikarz owoczesny Gwagnin tak opowiada, jako świadek naoczny: „Kolasy mają proste, bez żadnego żelaza, wiciami i rozmaitemi powrozy pokręcone: koło jedno z jednego drzewa foremną robotą pobocznemi szpicami zwarte, by najdalszą drogę wytrwa, oś nigdy mazi nie uzna. A kiedy ich się wiele na one kolasy nasiędzie, to dziwnie wrzeszczą, że pod nimi osi skrzypieniem jakimś, foremne narzekania z siebie wydają".

Na kilka takich „foremne narzekania" wydających za każdym kół obrotem wózków, wpakowała gospodyni gromadę kur i kogutów w koszach, kilka kozłów, wieprzy, baranów, kilka beczułek *alusu*, koszów chleba, dużych worów mąki, a piękny, młody lecz dziwnéj maści i szczególniejszych odmian konik, nigdy do posług ludzkich nie użyty i dochowany tylko do przepisanego wieku, gdy dłużéj go hodować nie było wolno, szedł uwiązany z tyłu do wypakowanych wózków. Dwóch niewolników poprowadziło dość chude

szkapy, zaprzężone do wózków, Witgins siadł na małego ale silnego stępaka i ruszył, wiodąc pod osobistą strażą ofiary do świątyń. A gdy i cała kawalkata ruszyła za nim, gdy niesmarowane osi zaczęły „foremne narzekania dziwnem skrzypieniem” wydawać przeraźliwie głośno, a prowadzący wozy zaczęli „dziwnie wrzeszczeć” a przestraszony temi dziwami drób na wozach, kozły, wieprze, i konik za wózkiem, wszystko naraz zaczęło rżeć, kwiczyć, beczyć, krzyczeć, piać, a chude psy, biegnące z własnéj woli około zaprzęgów, zawyły z przelęknienia, powstał taki straszliwy, ogłuszający hałas, że aż echa leśne powtórzyły go z przestrachu, ludzie zaś mniéj przyzwyczajeni mogliby ogłuchnąć od razu.

Gdy wózki te i cała czereda znikły już w lasach, wyszła z zamku Aldona w gronie sióstr i towarzyszek, rozpłakała się rzewnie, zarówno jak i Baniuta, gdy rozstawać się musiały z woli nieugiętéj jéj matki i uściskawszy wszystkie, księżniczka wsiadła do kolasy, ubrana w dłuższą suknią w paski, w drugą krótszą zieloną, w kaftanik znowu w paski, futerkiem przystrojony, w pasek błyszczący obszyty dzwoneczkami, zarówno jak i mały fartuszek, w ciemny ruciany wianek na włosach, przybranych mnóstwem wstążek i dzwonków, w bursztynach, koralach, łańcuszkach na szyi, pierścieniach na rękach i w rozpuszczonych warkoczach, na co wszystko, jakkolwiek młoda zarzuciła przecież wielką zasłonę noszoną właśnie przez starsze tylko niewiasty; ale wzgląd na kurz i chłód wiosenny przeważał nad tą

drobną niestosownością, a zasłona mogła zastąpić lekką *skarę* czyli wielką chustę. Marti, jedna z towarzyszek, usiadła przy księżniczce, zamiast upragnionéj na próżno Baniuty, Witginsowa ujęła wodze, wstrząsnęła niemi i panie pojechały we trzy z trudnością mieszcząc się na małéj, skrzypiącéj kolasie. Dwóch dworzan jechało konno za kolaską, prowadząc luzem dwa ładne, drobnych kształtów żmudzkie koniki, okrągłe jak kluski, bo własnego chowu Aldony, przez nią pieszczone i karmione z ręki jak domowe węże; wiedziono je teraz, aby podróżniczki mogły cwałować konno, gdy sprzykrzy im się jazda na skrzypiącym wózku; jeden jeszcze wózek, napełniony nielicznemi zresztą zapasami i przyborami podróżnemi, szedł za jeźdźcami; liczono wszędzie i zawsze na gościnność powszechną i przeto nie tylko księżniczka litewska, ale każdy Litwin pospolity mógł puszczać się w drogę choćby bez żadnych zapasów, o ile tylko droga ta wiodła go przez okolice zamieszkałe.

Nad wieczorem ukazały się wieże poblizkiego i wspaniałego już Wilna i kunigasówna zajechała prosto do nowo wzniesionego Gedyminowego zamku: przed bramami oczekiwał na nią tłum ludu i powitał pełnemi uniesienia i radości okrzykami, bo już tu przed niejakim czasem zajechał był szafarz, czy marszałek dworu Witgins, wiodący wspaniałą ofiarę, a defilując przez całe miasto ze swym skrzypiącym, kwiczącym, beczącym i wrzeszczącym dobytkiem, zwrócił nań wszystkie oczy. Każdy nawet nie pytając widział, że to ofiara niezmiernie uroczysta jakaś:

— Koń! koń, ofiara z konia! — wołano w podziwie, bo takiéj dawno już nie widziano. Pytań ciekawych nie brakło, ani też dokładnych odpowiedzi, bo służba Gedyminowa miała rozkazy nie tajenia prawdy. Niezadługo całe Wilno widziało, że kunigasówna Aldona, mając iść za mąż daleko, będzie w trzech najstarszych świątyniach przedweselne składała ofiary, i wnet uwielbienie dla pobożności kunigasa Gedymina i jego rodziny napełniło wszystkie serca. Zaczęto nawet wątpić, czy to prawda, co Wejdyloci mówili, że księżniczka idąc za mąż, ma staréj wiary się odrzec?...

Aldona nadjeżdżająca właśnie w chwili takiego usposobienia ludu, musiała być oczywiście z zapałem przyjęta, poczem spoczęła w zamku na noc, posławszy tylko z zawiadomieniem o swem przybyciu w celu złożenia ofiary do świątyni na dolinie Szwentoroha, a to z powodu, że miejscowy Krewe musiał do ofiary przygotować się postem i czuwaniem lub snem na gołéj ziemi, jeżeli od snu wstrzymać się nie mógł. Cały dzień następny przepędziła księżniczka na tkaniu ręczników weselnych, a na trzeci dopiero przygotowała się do złożenia ofiary.

Ranek był ciepły i wonny. Na dolinie Szwentoroha rozciągał się las dębowy, święty, u ujścia Wilenki do Wilii. Godnem jest uwagi, że wszystkie znaczniejsze świątynie stawiano zawsze u zejścia dwóch rzek, w widłach. Tu stała świątynia Perkunasa, która powstać miała w r. 1265, zbudowana z kamieni. Długa na sto pięćdziesiąt łokci, szeroka na sto, wysoka w samych ścianach piętnaście. Dachu nad sobą nie miała,

od strony rzeki było jedno wnijście. Przy ścianie przeciwległéj w komórce trzymano węże, żaby, ropuchy. Część świątyni zajmowała wysoka budowa, szesnaście łokci nad ściany podniesiona. W téj budowie wyższéj był posąg Perkunasa, przywieziony z lasów od Połągi. Mur w części był kamienny, w części ceglany. Tu także u budowy wyższéj stał ołtarz na trzy łokcie wzniesiony na dwunastu stopniach zbudowany; a każdy stopień miał półtora łokcia wysokości, szerokości trzy, i balasami był otoczony. Ołtarz miał w kwadrat łokci dziewięć, na trzy łokcie był wysoki, w górze otoczony rogami żubra; w ogóle dziewięć łokci nad ziemię. Na ołtarzu wysokim palono ofiary w pewne dni świąteczne, na nim trwał ogień wieczny *Znicz*, strzeżony przez kapłanów. Ogień ten we wgłębieniu środkowem płonął, tak umieszczony, że go ani deszcz, ani wiatr zgasić nie mogli. We wnętrzu ołtarza chowano sprzęty i narzędzia ofiarne.

U wejścia było mieszkanie miejscowego Krewe, jednego z kilku jakoby namiestników jedynego wielkiego Krewe-Krewejty. Przy niem stała wieża okrągła, na której widziano naznaczone: nowie księżycowe, pełnie, ubywanie księżyca i ostatnią kwadrę. Zmiany te księżycowe mają właściwe nazwy litewskie; z nowiem podnosiły się ofiary na stopień wyższy. Cegły wmurowywane w ścianę wieży ze znakami pewnemi oznaczały lata.

Aldona, acz nie miała zamiaru badać tutaj własnej przyszłości, była przecież mocno wzruszona, zbliżając się w towarzystwie Marti do tej wieży; po dru-

giej jej stronie szła Witginsowa, a za niemi w pewnej odległości wieziono całą trzecią część całkowitej przywiezionej ofiary.

— Patrz!—rzekła Aldona do Marti, jakby nie widząc Witginsowej, idącej tuż obok,—teraz moja dawna niańka nic mi zajmującego opowiadać nie chce, ale dawniej lepszą była, opowiadała nieraz o dawnych dziejach, nim zasnąć miałam; opowiadała mi też i o tej wieży, że przed wiekiem, gdy zakładano tę świątynię, wyrocznia jakaś Nadniemnowa przepowiedziała jej trwanie tak długie, jak wiary w kraju, i sto dwadzieścia dwie cegły okrągłe przysposobić na doroczne wmurowywanie poleciła; miały one być wmurowywane porządkiem pewnym, a na ostatniej ma być uczyniony znak krzyża!.. Patrz! patrz .. oto one.

Marti wytrzeszczyła niebieskie oczy: istotnie okrągłe, dziwnego kształtu cegły, widocznie były wmurowane w bok wieży, młode Litwinki usiłowały je porachować, bo Aldona żądna była wiedzieć, na ile lat jeszcze cegieł wystarczy?.. ale usiłowały napróżno, podwojona ich umiejętność nie była dostateczną na tak skombinowane zadanie matematyczne; nie mogły dokładnie zrachować cegieł okrągłych, na które patrzyły i odgadnąć, ile ich brakło jeszcze do stu dwudziestu dwóch... Tymczasem wóz z ofiarą nadjechał, a Wejdyloci wyszli na przyjęcie księżniczki i trzeba było zająć się celem przybycia.

Witginsowa, doświadczona kobieta, mądrze rozdzieliła wiezioną ofiarą tak, aby obrządki czyniące dużo wrzawy i wrażenia, dopełnione być musiały w Wilnie,

gdzie najwięcej było przyglądającego się im ludu. Najpierwej zatem za jej podszeptem rozkazała Aldona złożyć na ofiarę ogromne wory najpiękniejszej mąki. Natychmiast rozpalono długie a wązkie ognisko u kamiennych ścian wieży, rozczyniono mąkę, zarobiono i placki piekły się przerzucaniem z rąk do rąk przez ognisko, bo tłum ludu szedł zaraz za ofiarą i wedle zwyczaju brał w niej czynny udział. Tymczasem Wejdylota w długiej sukni z białym pasem, oszytej taśmą białą, zapiętej na piersiach trzema guzami z trzema parami pętli białych i kutasami, w dole zakończonéj sierścią bydlęcą i w wieńcu zielonym na głowie, otoczony orszakiem podobnie ubranych towarzyszów, położył na płaskiem naczyniu kawałek chleba, którego kosz również kazała podać Aldona, postawił czaszę *ałusu* czyli piwa, tak samo podanego na ofiarę, obniósł to trzykrotnie naokoło ołtarza, obrócił się ku ofiarnicy Aldonie, stojącej przy progu, zjadł chleb, ujął zębami czaszę za brzeg, nie dotykając rękami, wypił piwo, spuścił głowę i potem silnie zębami rzucił czarę tak, że mu górą przez głowę przeleciała; lud rzucił się jak zwykle za każdym razem, gdy składano ofiary, i uchwyciło czarę kilka rąk w powietrzu, wedle koniecznego przepisu. Wtedy kury zapłonęły ogniem na ołtarzu na cześć bóstwa a wtem ukazał się sam Krewe, namiestnik wielkiego Krewe-Krewejtos, obwinięty na znak swej władzy siedm razy pasem białym, z wieńcem na głowie i z laską o dwóch zgięciach w ręce, zwaną *Kriwule*. Wnet przywiedziono szarpiącego się kozła i część upieczonych już placków gorących. Krewe położył ręce na głowie kozła

i zawezwał uroczyście lud tłumny do wyznania swych przewinień. Ozwały się głośne wyznania mężczyzn, a tymczasem tłumione łkanie rozległo się w świątyni; Krewe bystrem okiem natychmiast dostrzegł, że to płacze ochmistrzyni ofiarnicy kunigasówny Aldony i zaraz skinieniem rozkazał jednemu z otaczających Wejdylotów dowiedzieć się o przyczynie płaczu tak zacnej i poważnej osoby.

— O, nic to, nic—odrzekła pocichu na pytanie, zanosząc się od płaczu Witginsowa,—to ja tylko płaczę nad zatraceniem ducha mojego ukochanego męża na przyszłym świecie, gdyż widzę, iż niechce on przewinień swych wyznać.

— Czy to zły człowiek?—spytał Wejdylota pocichu.

— O, nie, najlepszy w świecie,—łkając, odparła ciszej jeszcze, — tylko często rozgniewawszy się na kogoś tam za domem spędza gniew na mnie i bije mnie okrutnie, a biłby także i córkę naszę Baniutę, dziecko bez winy, gdyby się nie bał, że ona zbrzydnie od łez, a wówczas nikt nic za nią, biorąc ją za żonę, dać nie zechce. Ale obu nam dokucza niemało.

Wejdylota nie pytał więcej łkającej kobiety, tylko podszedł nieznacznie do Krewego i poszepnął mu coś do ucha, a Krewe tymczasem, wprawny w wykonywanie swego urzędu, trzymając wciąż ręce złożone na głowie kozła silnie więżonego przez kapłanów, słuchał przewinień ludzi, kolejno stawających przed nim i udzielał napomnienie, radę, lub naznaczał stosowną ka-

rę, którą natychmiast Wejdyloci na winnym dokonywali, aż nagle Krewe rzekł do Witginsa:

— A ty, milczący człowiecze z orszaku pobożnej ofiarnicy, kunigasa Gedymina córy, ktokolwiek jesteś, czyliż sądzisz się bez winy, że milczysz w tej uroczystej chwili?

— Niezbyt bystry mój umysł, drobiazgami licznych obowiązków zajęty, istotnie nie zdolny jest zdać sobie sprawy z win własnych w tej chwili, zostawmy to na przyszły raz, o, świątobliwy kapłanie!—odpowiedział z wielką powagą Witgins, który musiał się tu znajdować chcąc nie chcąc, gdyż pilnował porządku ofiar, i właściwego ich podawania Wejdylotom.

— A więc ja, jak to jest obowiązkiem moim, pomogę ci do rozwikłania krętych ścieżek win człowieczych, odpowiadaj mi tylko na pytania,—rzekł uprzejmie ojcowskim tonem Krewe i zaraz pytać zaczął:

— Ile masz żon i dzieci? *)

— Jednę żonę, jednę córkę.

— Bijesz żonę? Dokuczasz niesłusznie córce?

Zagadnięty tak niespodzianie Litwin, zamiast wytłómaczyć się, zaczął się jąkać mocno zakłopotany, a nawet przelękniony, gdyż zdało mu się, że Krewe wieszczym chyba duchem musiał zajrzeć w jego sprawy domowe; po chwili jąkania jednakże, opamiętawszy się, odmruknął hardo:

— Alboż ja nie mąż i ojciec, który mam nad rodziną prawo życia i śmierci?..

---

*) Litwinom religja pozwalała mieć trzy żony.

— Tak, nad winnymi! A w czem zawiniła ci żona i córka?—spytał Krewe, a Witgins, zająknąwszy się znowu, odparł hardo po swojemu, nie mogąc na prędce innej znaleźć odpowiedzi:

— Alboż ojciec i mąż nie może niewinnych nawet poświęcić, choćby na stos ofiarny?

— Tak, wolno mu nawet poświęcić ich, równie jak i siebie samego na ofiarę bogom, ale nie na ofiarę własnego, niesłusznego gniewu, bo inaczej pamiętajcie, o ludzie,—tu Krewe obrócił się do otaczającego tłumu,—że kto krzywdzi niewinnych i bezbronnych niesłusznie, ten słusznie ukaranym zostanie: wyliczyć mu dwadzieścia pięć kijów!..

Ostatnie wyrazy powiedział Krewe, zwracając się do otaczających Wejdylotów, a ci natychmiast, z całą powagą przynależną religijnym obrządkom, zwolna i sumiennie wyliczyli zadaną pokutę winowajcy, przytrzymawszy go między sobą w odpowiedniej postawie. I, o dziwo, oburkliwy przed chwilą pokutnik zmiękł teraz nagle pod tajemniczym wpływem obrządku i zupełnie skruszony przystąpił na rozkaz zajmujących się w tej chwili jego poprawą Wejdylotów do żony i położywszy prawą rękę na jej głowie, a lewą dotykając dębu świętego, mówił, wedle formy starożytnej w takich razach przysięgi:

— Przysięgam na Perkuna i niechaj mnie piorun ubije, jeżeli się nie poprawię i będę ci jeszcze dokuczał niesłusznie, droga, złota żono moja!—co wyrzekłszy, naprawdę serdecznie skruszony, gdy tylko

wypuścili go z rąk Wejdyloci, poszedł na miasto, kupił czarnego koguta i wróciwszy z nim ofiarował go na ołtarzu na dowód żalu i na intencyą poprawy swojej; przyczem wszystkiem z wdzięcznością spoglądał na żonę płaczącą ze współczucia dla niego, bardzo serdecznie, choć rada była zapewne, że obiecywał poprawę.

Tymczasem inni wyznawali rozmaite swoje przewinienia w tenże sam mniej więcej sposób, otrzymując stosowne do win pokuty, czasem kończyło się tylko na uderzeniu w policzek lub porządnem wytarganiu za włosy, a czasem gorzej jeszcze niż z Witginsem bywało.

Gdy mężczyzn obecnych nie stało, Krewe miał przemowę do kobiet, napominając je, aby nie schodziły z drogi cnoty; kobiety albowiem nie wyznawały grzechów swoich, może dla tego, że jako niewolnice u mężczyzn mężów czy ojców przed nimi tylko mogły być odpowiedzialne. Nakoniec Krewe sam wyznał wzajemnie a pokornie w obec ludu winy swoje i ulegle przyjął pokutę, jaką mu naznaczono i poddał się jej natychmiast, a było nią lekkie wytuzanie za włosy, gdyż sprawiedliwie nie zasługiwał na większą karę. Natenczas dopiero zdjął Krewe ręce z kozła, który został zaraz zabity, część mięsiwa spalono na ołtarzu, część poszła dla kapłanów, a część na ucztę dla obecnego ludu wraz z upieczonemi już plackami. Dalej, nie tracąc czasu, ofiarował Krewe, tak samo dzieląc mięsiwa, tylko już bez pokładania rąk na ofiarę, wieprze, barany i resztę kur, poczem Aldona na jego wezwanie zdjęła z głowy ruciany wianek i sama, wstąpiwszy wysoko na stopnie złożyła go na ołtarzu. Krewe natychmiast posypał go bur-

sztynem, zbliżył do jaśniejącego w zagłębieniu Znicza i wnet wianek wybuchnął wonnym obfitym płomieniem.

Lud dobrze usposobiony wydał okrzyk na cześć kunigasa Gedymina córy, i gdy wśród okrzyków Aldona przeszła wraz ze swym orszakiem, zajął się wesoło ucztą obfitą przed murami świątyni.

Aldona po skończonej ofierze wróciła znużona trochę do zamku, a posiliwszy się i spocząwszy, kawalkata cała, w tymże co poprzednio porządku, udała się w dalszą drogę do następnej, wyznaczonej przez Gedymina świątyni. Aldona miała już na głowie świeży wianek ruciany, bo w każdej świątyni poświęcić go na ofiarę ojczystym bogom należało, a mimo to nosić aż do zamężcia i po zaślubinach nawet jeszcze przez czas wyznaczony, przynajmniej tak w Litwie bywało. Aldona, żądna co najprędzej przyszłości się dowiedzieć, chciała teraz dążyć prosto do Pullen, gdzie mieszkała wieszczka, lecz Witginsowa prosiła ją pocichu, jak to ona zwykła była zawsze przeprowadzać swe plany, aby koniecznie jechać wprzód do Romowe.

— Widzisz, rybko złocista moja — idzie mi o Witginsa, który musi ofiary na miejsce dostawiać: jeżeli pojedziemy najprzód do Pullen, to on będzie tam z nami znajdował się w świątyni, ponieważ będzie musiał jeszcze dalej z nami i z ofiarą jechać, więc wszystko usłyszy co powie wieszczka i jeżeli zechce, rozpowie to przed kunigasem Gedyminem...

Aldona zadrżała.

— A zaś jeżeli najprzód pojedziemy do Romo-

we, a potem Witgins trzecią, ostatnią część ofiary dostawi do Pullen, — mówiła ochmistrzyni dalej, — bądź spokojna, już on tam z wielkiego nabożeństwa nie będzie długo się modlił, ani dbał o to, aby przy ofierze być przytomnym, tylko dopełniwszy obowiązku czmychnie co prędzej do Kiernowa napowrót, popijać *ałus* w towarzystwie swych przyjaciół po załatwieniu nietrudnych spraw domowych; a więc w Pullen w takim razie będziemy same i nikt nie doniesie kunigasowi, choćby wieszczka nie wiedzieć co mówiła... Ale przecież ona nic złego o twej przyszłości nie powie, rybko moja?..— dodała niańka.

Aldona milczała, i tak milcząc pozwoliła jej kierować podróżą. Pojechano więc prosto do Romowe.

XVI.

Przed wielu laty tajemnicza i pierwotna świątynia Litwy, tak zwane święte miejsce Romowe, po zburzeniu go w Prusiech przez Krzyżaków, zostało przeniesione i oddawna znajdowało się wraz z iskrą tajemniczego, pierwotnego ognia, który nieustannie gorzał w tej świątyni, w twierdzy drewnianej, jak w ogóle owoczesne, zbudowanej przy ujściu rzeki Dubissy do Niemna. Zwano to miejsce Dubissą, co Niemcy w swoich kronikach przekręcili na Bissen, czyli Bissena. Była to właściwie wyspa u zbiegu dwóch rzek,—gdzie pod osłoną pobliskiej warowni Bisseny płonął znowu Znicz wieczysty, przypominający cześć ognia z Indyj niegdyś przed wiekami przez pierwotnych Litwinów

przyniesioną. Jednakże przed trzydziestu laty, to jest w r. 1294, Krzyżacy i tu się wdarli. Pogłoska, że się w tamtejszem Romowe wielkie skarby znajdowały, kusiła jeszcze więcej chciwych na łupy Krzyżaków. Napaść była zręczna i niespodziana, miejsce święte zdobyto i spalono ze szczętem; kapłanów wymordowano przez zemstę za zabicie rycerza zakonnego Konrada Tuschenfeld'a, innych zaś mieszkańców życiem obdarzono. Strata Romowe bolesną była dla Litwinów, lecz nie odważali się go tu nanowo osadzać, zwłaszcza że Bissena co rok niemal na nieustanne najazdy od Niemców wystawioną była. Otóż gdzie w następnych latach ukryli Litwini tajemnicze swe Romowe, tego napewno już i kronikarze nie wiedzą, choć podają rozmaite nazwy miejscowości, jakoby dogodnych do tego. Pozostało to tajemnicą.

Ale tajemnica istniała tylko dla obcych, swoi i zaufani wiedzieli o niéj dobrze. Spokojnie też, choć z pewnym trudem przedzierając się przez leśne, umyślnie nietorowane gęstwiny, jechała księżniczka z małym swym orszakiem do tajemniczéj świątyni, przy któréj mieszkał arcykapłan Krewe-Krewejto, jedyny na całą Litwę, utrzymujący ciągle odwieczny płomień Znicza, przyniesiony przed wielu wiekami z Indyj jeszcze, jak mówiły podania, do Romowe w Prusiech, a ztamtąd w chwili zagłady tamtejszéj świątyni, uniesiony do Romowe pod Bisseną i znowu gdy Krzyżacy, wymordowawszy kapłanów, rozrzucili i zgasili ten ogień w Bissenie, uniesiony w iskierce do nowego tajemniczego schronienia w głębi lasów litewskich.

Jechano dość długo, przedzierając się przez naturalne lub też naśladujące naturalne przeszkody, spiętrzone umyślnie ku zmyleniu drogi nieproszonym przybyszom; lecz zając ani razu drogi nie przebieżał, drzewa w lesie nie skrzypiały, i wszystko zapowiadało szczęśliwą drogę. Ale bo też przyznać trzeba, że Witginsowa uważną była na wszystko, coby mogło być szkodliwem wedle ówczesnych pojęć, do dzisiaj nawet trwających poczęści wśród pospólstwa: i tak, gdy Aldona krając chleb zadrasnęła sobie cokolwiek paznogieć i trzeba było go obciąć, ochmistrzyni natychmiast sama go jéj obciąwszy, zawinęła starannie w piękną szmatkę, nie rzucając na ziemię ani odrobiny, aby zły jaki duch nie zrobił sobie zeń kapelusza, lecz chowając za nadrzę, aby znalazłszy się na drugim świecie oddać własność wychowance, gdyż łatwo tam będzie wyjąć depozyt z zanadrza, a gdyby zły duch go porwał, niktby mu już go nie odebrał. Aldona miała przy sobie łuk i strzały i nieraz ich używała, przebywając mało uczęszczaną ciemną puszczę, pełną dzikiego zwierza, który po większéj części wcale jeszcze ludzi nie znając, nie bał ich się i zbliżał na strzał spokojnie. Spieszyć po takich bezdrożach było niepodobieństwem prawie, to też zapóźniono się cokolwiek i z radością spostrzegłszy błyszczące zdaleka światło, trzeba było zanocować w pierwszéj lepszéj chacie, gdy noc zapadała.

Chata była to tak zwana *numa*, z bierwion okrągłych, mchem utykanych stawiana, dach dla bezpieczeństwa od ognia korą jodłową pokryty, okien nie było wcale, tylko dwoje drzwi z obu końców numy, je-

dne mniejsze dla ludzi, drugie większe i szersze dla bydła i wywożenia nawozu, nade drzwiami malutkie okienko dla wyjścia dymu, z wewnątrz zamykane okienniczką. W pośrodku numy wykopany okrąg obszerny na ognisko, w którego środku palił się duży jasny ogień z olszyny w chwili gdy weszli podróżni. Obwód cały tego okręgu obłożony kamieniami, niby murkiem, na którym siedzieli domownicy, jak na ławie, śpiewając i naprawiając zaprzęgi, skrobiąc drewna ku wyrobieniu z nich sprzętów domowych, lub przędąc, co i mężczyzni, nietylko kobiety zwykli byli czynić w niższéj klasie ludu. Na trzy kroki zdala od obwodu ogniska okalał je w kwadrat mocny płot, czyli nizka do ramienia człowieczego ściana, ponad którą spojrzawszy widać było dookoła rzeczywistych ścian numy poprzywięzywane przy żłobach i półdrabkach bydło, wieprze, owce i wszelki gospodarski dobytek. Ale przestrzeń pomiędzy ogniskiem i ową nizką ścianą, otaczającą je zdaleka, była ubita, wytokowana, i czysto umieciona. Już wchodząc przy zapadającym zmroku widziano, że na zewnątrz pod wydatnemi okapami dachu nie było wozu, choć stał jak zwykle wszelki sprzęt gospodarski większych rozmiarów, postawiono więc tam wózki podróżne, słudzy zajęli się końmi, a trzy kobiety weszły do numy, z któréj drzwi roztwartych błyszczące ognisko podróżnych do niéj zwabiło.

— Nie trzeba mówić, kto jesteśmy!... — szepnęła wchodząc ochmistrzyni pannom. Przyjęto ich gościnnie, zaczęto usuwać się coprędzéj, pozostawiając gościom najwygodniejsze miejsce przy ognisku, nie prze-

rywano jednak w pierwszéj chwili pieśni. Wtem Marti, młoda dziewczyna, towarzysząca Aldonie, trąciła ją zlekka w ramię, wskazując w bok ku owéj nizkiéj ściance, okrążającéj ognisko i tłumiąc śmiech. Aldona spojrzała: ponad ścianką, wspiąwszy się snadź na nią, wyglądało cielę, przypatrując się gościom wytrzeszczonemi oczyma, a zwierzęca ta głowa, nacechowana wyrazem dobrodusznéj ciekawości i zjawiająca się niespodzianie ponad głowami ludzkiemi, wyglądała tak jakoś zabawnie, że pannom wysokiego rodu, znającym zaledwo zdaleka zwykłą wieśniaczą numę i jéj właściwości, trudno się było z tego jéj zaciekawionego mieszkańca nie rozśmiać:

— Jak się masz, Wersziukas! (ciołku!) — powiedziała Aldona, żartując rozśmieszona. Okrzyk radosny ze wszystkich piersi odpowiedział jéj na te słowa, cielę przestraszone nim, znikło i tupocąc, uciekło do matki, a gospodarz stał przed Aldoną, mówiąc uprzejmie a wesoło:

— Serdeczne dzięki, miły gościu, niech Lajma nie odstępuje cię nigdy, kiedy szczęście z tobą przychodzi do chaty mojéj i dobrą przynosi mi wróżbę.

Pomimo że pod wielu względami nie bardzo różnili się jeszcze podówczas sposobem życia książęta litewscy od swoich poddanych, jednakże księżniczka nie rozumiała w pierwszéj chwili tych słów gospodarza, dopiero zręczne szeptanie Witginsowéj i wyrazy gospodyni, niosącéj w wielkiéj drewnianéj misie wodę do umycia nóg: „Wersziukas, usuń się!” oświeciły Aldonę. Zrozumiała, że gospodarz zwał się „Wersziukas”

i przypomniała, że gość, wchodzący po raz pierwszy do chaty i umiejący nazwać gospodarza po imieniu, uważany był przez lud za przynoszącego szczęście i dobrą wróżbę; i otóż właśnie przypadek zdarzył, że ona, mówiąc żartem do cielęcia, wymówiła imię gospodarza, i ten owo powitanie wziął do siebie. Słysząc, że Marti dusi się ze śmiechu za jéj ramieniem, księżniczka strzegła się już spojrzeć na nią, aby się także głośno nie roześmiać. Tymczasem gospodyni posadziła ją przy ognisku, a sama, ukląkłszy z boku u jéj stóp, starożytnym zwyczajem umyła jéj nogi, a chociaż potem toż samo uczyniła dla jéj towarzyszek, przecież Aldona zdziwiła się oddanem jéj pierwszeństwem.

Wkrótce też wszystkie spostrzegły, że oczy dość licznych domowników utkwione były w księżniczkę, a gospodarstwo oboje, goszcząc ją, karmiąc i pojąc do zbytku wszystkiem, czem chata bogata, oddawali jéj ciągle pierwszeństwo, zmuszając przytem nieledwie do jedzenia i picia, co u litewskiego wieśniaka i nietylko u wieśniaka było najwykwintniejszym rodzajem grzeczności. Zatem księżniczka, chcąc dać również dowód wykwintnego wychowania, nie chciała ani dotknąć napoju i jadła, aż dopiero po długiem drożeniu się i ostatecznéj „przynuce", jak tego wymagał obyczaj. A gdy uległa nareszcie, tedy nie tylko już gospodarz i gospodyni, lecz wszyscy ludzie, ilu ich było w numie, obstąpili młodą gościę, wymagając, aby od każdego przyjmowała posiłek, któremu, aby podołać, Aldona dzieliła go z mnóstwem domowych węży otaczających ją w około. Goszczono podobnie i dwie towarzyszki księżniczki,

lecz z wyraźnem dla niéj pierwszeństwem i szczególniejszem uszanowaniem.

— Nic innego, tylko ci ludzie poznali córkę swego kunigasa, złocistą rybkę moję — powiedziała Wit-ginsowa do Marti, i sama Aldona tak myślała; a wtem gospodyni widząc, że taż w żaden sposób już więcéj jeść ani pić nie może, zaczęła żwawo znosić z różnych kątów miękkie niedźwiedzie i inne futra w jeden kąt numy, zagrodzony oddzielnie, gdzie zaprowadziła następnie gości i wskazała Aldonie wygodne posłanie z futer na szerokiéj ławie, gdy dla jéj towarzyszek przygotowane było inne, nizko na ziemi. Potem, gdy księżniczka już się położyła, gospodyni, czatująca na tę chwilę, weszła raz jeszcze do téj komórki sypialnéj, trzymając w ręku trzy rogi z napojem, aby podróżne wedle zwyczaju wypiły je na łożach: w rogach, które podała dwom niżéj leżącym paniom, był zwykły ałus, ale Aldonie podała „biały napój bogów" tradycyjny *miециones* i nawet wcale nieźle przyprawiony, co bardzo dziwnem było u prostych wieśniaków. To też księżniczka, ujęta i zdziwiona, rzekła nieśmiało:

— Gdybym się nie lękała cię obrazić, *séné*, radabym ci zostawić cokolwiek, coby przypominało, jak miłą u ciebie miałam gościnę — mówiąc tak, trzymała w ręku bardzo piękne bursztyny, zdjąwszy je z szyi i nie śmiąc istotnie dać ich dlatego, aby nie wzięto tego za prostą zapłatę gościnności... co byłoby wielką dla gospodarzy zniewagą. I dobrze zrobiła, że się wahała, bo gospodyni, wzdychając ciężko, odparła:

— O, pamiątka gościny gościowi się należy, ale

jeżeli istotnie ty „złota pani" widzisz, jak serce moje rozradowane jest tem, iżeś w progi nasze wstąpiła i łaskawą dla nas chcesz być za tę szczerą radość, to możesz ty łatwo łaską twą nas obdarzyć!

— A więc powiedz proszę, gosposiu, co uczynić mogę? — skwapliwie spytała Aldona w przekonaniu, że jest poznaną, i wspaniałe bursztyny położyła przed sobą na niedźwiedziem futrze, umyślnie tak widocznie zwracając na nie uwagę, aby wieśniaczka choć spojrzeniem dała znak, że chce je przyjąć; ale ta, zrozumiawszy wszystko dokładnie, odwróciła stanowczo głowę i spojrzenie i rzekła nieśmiało i z wielkiem wzruszeniem, a błagalnie patrząc jéj w oczy:

— Oto jutro, zanim nas opuścisz, spojrzyj ulubionem od bogów okiem na moje chore od dawna dziecko i wróć mu zdrowie, lub udaruj mię szczyptą prawdziwego świętego popiołu Znicza, abym mu go dała wypić... ale to jutro o tem, jeżeli zechcesz, a teraz nie powinnam dłuższą gawędą odpędzać snu od ciebie, złota pani.

— Czekaj, gosposiu! — zawoła Witginsowa, zrywając się z posłania i powstrzymując gospodynią, gdy Aldona zamilkła ze zdziwienia — powiedz nam, czy nie znasz ty niemłodéj kobiety niewolnicy imieniem Jagna, którą wielu czarownicą sądzi?

— Jakżebym znać nie miała wiernéj sługi téj „złotéj pani" — odparła wieśniaczka — często ona tędy przechodzi, ciągnąc wózek swój z zakupionemi różnemi rzeczami na domowy użytek dla kapłanki, bo Pullen niedaleko jest ztąd równie, jak i Romowe,

o czem mówić się nie godzi, aby wróg nie dosłyszał — szybko dodała uderzając się po ustach — a wszak od Jagny to wiemy, że „złota pani” w tych czasach do Wielkiego Krewe-Krewejty ma jechać tędy, aby ofiary pierwsze kapłańskie złożyć i od niego godność kapłanki otrzymać, bo on chory ze starości nie może na jéj obrzęd sam do Pullen jechać, a dla niéj nadchodzi wiek, w którym dziewice, sposobiące się na sługi bogów pod przewodnictwem wielkiéj wieszczki w Pullen, po latach próby otrzymują pierwszy stopień kapłanek, lub usuwane na zawsze od ołtarzy Znicza bywają. Ale nie powinnam wam przeszkadzać!... — i z ostatniemi słowy znikła gospodyni w nizkich i małych drzwiczkach komórki.

— Czy wy rozumiecie co z tego wszystkiego? bo ja nic a nic! — powiedziała Aldona do swych towarzyrzek po jéj odejściu. Marti niemniéj była zdziwioną jak księżniczka, ale Witginsowa odrzekła z głuchem jakiemś westchnieniem:

— Rozumiem wszystko: gospodyni tutejsza bierze cię za pewną dziewicę, zwaną dla jéj złotych włosów „złotą panią” która tajemniczego będąc pochodzenia, czy to w lesie w gnieździe świętych wężów dzieckiem znaleziona, czy też w kołysce na falach rzeki, wychowuje się w Pullen pod opieką słynnéj wieszczki tamtejszéj i dziś już acz nie zupełna kapłanka, przecież potęgą świętego natchnienia samę mistrzynią swą przewyższa: wielka z niéj kiedyś na całą Litwę będzie sława i potęga!... Tymczasem ma oto jak słyszałaś tędy przejeżdżać, a że i ty, złota rybko, złote masz

włosy, i że takie wielkie, piękne i młode panie nie często zjawiają się w tej puszczy, nic tedy dziwnego, że wszyscy wzięli cię za „złotą panią”, słynniejszą w téj okolicy, niż jedna z siedmiu córek kunigasa Gedymina.

— A, teraz rozumiem — szepnęła Aldona — ależ gospodyni prosiła mię o popioły Znicza świętego na lekarstwo, a te przecież sami Wejdyloci tylko przynoszą chorym...

— Złota pani ma już taką między kapłankami powagę, że i ona je nosi przy sobie — odparła Witginsowa z dziwną dumą, jakby obca „złota pani” obchodzić ją mogła bliżéj.

— Ależ cóż będzie, gdy jutro ta kobieta każe mi leczyć swe dziecko? — spytała zakłopotana pomyłką gospodarzy księżniczka.

— Nic — odparła niańka — powiesz szczerą prawdę, ale na dziecko spojrzysz i poradzisz mu prędko, co ci na myśl w téj chwili przyjdzie, bo wszak znasz różnych ziół własności i różne sposoby na choroby, jakich uczyłam was, wyuczana sama od waszéj matki, gdyż to kobiecie zawsze się przyda; jesteś przecież niewinnem dziewczątkiem, możesz zatem i ty chwilowo dostąpić natchnienia... to się zdarza. Zresztą przyrzecz, że przyślesz tu Wejdylotę z popiołami Znicza, co za tak bogatą twą ofiarę, jaką Witgins do Romowe wiezie, i na twą prośbę, nakaże z pewnością Krewe-Krewejto któremukolwiek z otaczających go kapłanów.

Uspokojona taką radą doświadczonej towarzyszki i trochę znużona podróżą uciążliwą a powolną, zasnęła wkrótce córka kunigasa Gedymina, oświadczając gło-

śno, że niezmiernie pragnie poznać tak młodą, a tak sławną już przyszłą kapłankę i wieszczkę, zwaną Złotą panią.

— O, jakżebym pragnęła, żeby to ona właśnie mi powróżyła!... — szeptała zasypiając.

Nazajutrz, po długim śnie, zaprowadzono Aldonę wedle zwyczaju natychmiast do łaźni dość czystéj, choć ubogiéj, urządzonéj wieśniaczym zwyczajem w małym podziemnym sklepiku pod numą, potem ofiarowano księżniczce znów „biały napój bogów” i obfity posiłek, jakiego dostarczała puszcza. Aldona pierwsza zaczęła wyjaśniać pomyłkę, któréj wczoraj nie miała czasu sprostować. Gospodarze bardzo się zdziwili i ucieszyli, dowiedziawszy się, kogo istotnie goszczą, ale niemniéj żal im było, że słynna wieszczka nie poradzi choremu, które strapiona matka przyniosła przed gościa:

— Długo już cherla biedactwo — mówiła, użalając się — już Wirszajtos *) przychodził doń z zaklęciami, przez całe dwa nowie; późniéj, gdy nie pomogło, powiedział, że to musi być na nas kara bogów i śluby nam różne naznaczył na ich przebłaganie, potem przyniósł nam popiół z ołtarzy i zadał go do wypicia choremu, aż gdy nic nie pomogło powiedział, że nie ma rady i należy takie chore stworzenie bogom poświęcić, aby ich jękami nie obrażało **)... ale... ale ja myślę, że może

*) Wirszajtosy byli to starcy, znający skuteczne modlitwy.

**) W pogańskiéj Litwie dobijano niekiedy chorych, dla skrócenia ich cierpień.

jeszcze znajdzie się jaka rada — ze łzami dodała biedna matka—i takbym pragnęła, żeby jaki Wejdylota jeszcze sprobował leczenia, bo przecież co prawdziwy Wejdylota to Wejdylota, jego zaklęcia są pewno mocniejsze; ale tu w głąb téj puszczy ani zajrzy żaden; a może popiół od Wejdylotyby pomógł, bo Wirszajtos... ot kto tam wie, czy nie lada jakiego przyniósł popiołu. .

— Nie probowaliście też cieniu od ognia? — spytała Aldona.

— Nie — szepnęła gospodyni — nie śmiem, bo możeby zła wróżba wypadła.

— To niedobrze; bo jeżeliby właśnie zła wróżba wypadła, jeżeliby cień padł ukośnie, to przynajmniéj wiedzielibyście raz napewno, że wolą bogów jest, aby dziecko nie wyzdrowiało, i zgodzilibyście się z koniecznością i nie posądzali Wirszajtosa, może niesłusznie. Jabym wam radziła przekonać się.

— Bo i lepiéj może raz się przekonać — poparł zdanie Aldony ten i ów z rodziny.

— Ha, to i sprobować nareszcie — szepnęła matka — wszak od gościa, który umiał gospodarza po imieniu nazwać, wchodząc do obcéj chaty, nie może chyba przyjść nic niedobrego dla niéj...

I natychmiast, złożywszy chore dziecko w pościeli, sama rozpaliła ogień uważnie i umiejętnie układając w ognisku polana tak, jak do podobnéj wróżby dla chorych czyniono w staréj Litwie, potem zamknęła szczelnie drzwi i maleńkie nad niemi okienko; wszyscy stanęli nieruchomie w najodleglejszych kątach numy, aby żaden powiew ani przeciąg powietrza nie zachwiał

płomieniem, dym zakłębił się w górze poczerniałéj od sadzy numy, a ojciec z matką, stojący przy pościeli dziecka w kącie, ujęli je wraz z posłaniem i bardzo wolno, żeby wiatru nie sprawiać powiewaniem sukien, poczęli nieść je do ogniska, przy którem wysmukła i piękna stała Aldona, do kapłanki wróżącéj z płomienia podobna w téj chwili. Nieśli, aż postawili ławę, stanowiącą łóżko, wraz z pościelą i chorem dzieckiem na miejscu naprzód obranem przed samem ogniskiem. Okrzyk radosny wyrwał się ze wszystkich piersi, bo na mocno oświeconą ścianę cień chorego widoczny padł zupełnie prostopadle, a wyraźnie w kierunku przeciwnym do położenia ogniska, co było niezaprzeczonym znakiem ozdrowienia. Ojciec z matką, coprędzéj chwyciwszy łóżko z chorym, odnieśli je na swoje miejsce w głąb numy, aby nie przedłużać doświadczenia, otworzono drzwi, dając ujście kłębom dymu, a matka, ożywiona nadzieją ozdrowienia dzieciny, obsypała wszelkiemi błogosławieństwy Aldonę, która ją odwagą do czynienia wróżby natchnęła.

Księżniczka przyrzekłszy, że poprosi Krewe-Krewejtę, aby umyślnie wysłał Wejdylotę z popiołem świętego Znicza w tę oddaloną stronę, otrzymawszy wedle zwyczaju zarówno jak jéj towarzyszki na pamiątkę gościny po pięknym choć nieoprawnym rogu leśnego potworu, jakich używano do picia jako czasze, puściła się nakoniec w dalszą drogę, i po południu ujrzała nareszcie w sercu najgłębszéj puszczy tajemnicze Romowe, główną świątynię bóstwa i mieszkanie najwyższego na całą Litwę arcykapłana Krewe-Krewejty.

XVI.

Na obszernéj płaszczyźnie, oblanej dwiema rzekami, stał w pośrodku dąb święty, cudowny, zimą i latem zielony, niezmiernéj grubości i wysokości. Dokoła otaczał go mur sześciościenny. Tylna ściana najbliższą była drzewa, przednia miała obszerne wnijście na ten podwórzec. W dębie, to jest w trzech tego dębu wyżłobieniach, stały trzy posągi, w pośrodku Perkunasa, boga piorunów i ognia, ktorego twarz w płomieniach i grot w ręku ognisty gniewem i karą groziły. Posąg Autriposa, pięknéj urody młodzieńca, boga pierwszych potrzeb ludzkich, stał po lewéj stronie. W trzeciem wydrążeniu po prawéj stał straszliwy Poklus, bóg zmarłych, piekła i nędzy; twarz jego posępna, blada i złośliwa, broda czarna, kudłata, głowa białą płachtą obwiązana, a oczy w górę wzniesione, strachem przenikały patrzących. U nóg jego leżała czaszka człowiecza i bydlęca: na cześć jego trzymano w garnkach, snopami pokrytych, hodowane węże, które codzień mlekiem skrapiano. Dąb osłoniony był drogiemi zaponami, które na sześć łokci wznosiły się dokoła. Za te zasłony niewolno było wchodzić nikomu, prócz Krewe-Krewejcie i ofiarnikom. Czasem tylko dla pobożnych podnoszono je zdaleka. U wnijścia stał ołtarz dla palenia ognia wiecznego i ofiar. Na placu, mur otaczającym, wzniesione były dwa stosy drew na utrzymanie ognia świętego; daléj stały domy kapłanów i sług. Ziemia ta i otaczający obszerny obrąb, w pe-

wnych oznaczonych granicach zawarty, były święte; nikt z ludzi obcéj wiary pod karą śmierci wejść tam nie mógł. Po prawéj ręce wrót był dom Krewe-Krewejty, po lewéj „Numejone”, czyli gospoda dla pielgrzymów i gości, prawie zawsze pobożnymi przepełniona, jednakże Witgins, poprzedzający księżniczkę i wiozący bogatą, a raczej obfitą jéj ofiarę, już tam przygotował dla niéj mieszkanie, bo na wieść o przybyciu córki Gedymina i na widok konia dziwnych odmian i sierści, wiedzionego na ofiarę, składaną tylko w najuroczystszych wypadkach, wszyscy ustępowali miejsca, otaczając tylko zdaleka z ciekawością piękną i dostojną ofiarnicę.

— O, patrzcie—wołał i pytał lud—jaka pobożna jest kunigasa Gedymina córka, ta, która ma króla polskiego poślubić! Snać to nieprawda, aby miała się starych bogów odrzekać, kiedy im takie uroczyste składa ofiary: niech żyje plemię Gedymina i niech je bogowie obsypują wszelkiem szczęściem ,a nadmiar jego obfitości i na nas spadać będzie.

Po całym dniu spoczynku ze strony podróżnych a postu i modlitwy ze strony kapłana Wejdyloty, mającego sprawować ofiarę, na trzeci dzień po przybyciu Aldony, rozpoczął się obrzęd zupełnie w taki sam sposób, jak w poprzedniéj świątyni, bo tak zwana, „ofiarna czasza” piwa musiała poprzedzać zawsze wszelką ofiarę. Tak samo też dopełniono ofiary kozła, tylko konia uroczysta ofiara odbyła się w zupełnéj tajemnicy. Ślicznego konika uwieńczywszy kwiatami, wprowadzono w obec wszystkich za tajemnicze, bogate opony, osłaniające trójcę bóstw, i... po chwili wśród uroczystego

milczenia dało się słyszeć krótkie, urwane rżenie... i znowu wszystko umilkło: kapłani wyszli z za opon, konik nie wyszedł więcéj. Lud, zwyczajnie jak gawiedź, wiecznie chciwa wrażeń, miał nadzieję, że w czasie tak uroczystéj ofiary i na cześć tak dostojnéj i pobożnéj ofiarnicy, jak księżniczka, tajemnicze opony odsłonią się, i każdemu choć na chwilę dano będzie rzucić okiem na bóstwa tem bardziéj szanowane, że otoczone grozą postrachu. Jakoż sami Wejdyloci uważali za stosowne uczcić tem ujawnieniem bóstw dostojną ofiarnicę i zapowiedzieli jéj tę łaskę bogów, przybraną w formę pytania: czy księżniczka pragnie widomym bogom podziękować za łaskawe przyjęcie jéj ofiary? Młoda Aldona zadrżała na to cześć jéj wyrządzające pytanie, bo kiedyś, dzieckiem jeszcze będąc z ojcem Gedyminem w Romowe, widziała już raz objawionych w ów *widomy* sposób bogów i straszna postać Poklusa pozostała jéj na zawsze przerażającem we snach odnawianem widziadłem: odrzekła zatem pośpiesznie, zarówno z własnéj ochoty, jak i z ojca rozkazu:

— O, nie!... dreszcz mię wstrząsa na tę myśl; ja biedna, słaba dziewczyna, muszę zapewne być pełna winy i złego, kiedy nie śmiem spojrzeć na bogów; zamiast tego zaszczytu, pozwólcie mi, o kapłani, upaść na twarz przed Wielkim Krewe-Krewejtą, ojcem całéj Litwy, ażebym od niego otrzymała dobre życzenia na daleką i trudną drogę, w jaką niezadługo iść muszę.

Ten, do którego mówiła, był to zastępca Krewe-Krewejty, chorego ze starości, jak mówiono, a może i z wyrachowania ukazującego się bardzo nie często

ludowi, aby tem większe wywierać na nim wrażenie. Takie odezwanie się młodéj dziewczyny książęcego rodu wyglądało na skromność i tak też zostało przyjęte. W chwili, gdy wszystek lud i służba obecni na około Romowe, boć mało kto mógł znajdować się w jego obrębie, używałi ochoczo uczty ofiarnéj, zastawionéj w świętym dębowym gaju, tuż za bramą Romowe, na długich stołach lub głazach i urwiskach, nadających się do tego... Gedyminówna została zaprowadzoną uroczyście w orszaku najstarszych kapłanów w głąb mieszkania bogów po za dąb święty. Serca obecnych mocno bić zaczęły z ciekawości zarówno jak z niepokoju na myśl, co też tam spotka księżniczkę... Tymczasem ona sama, drżąca także z obawy, nie ujrzała nic strasznego. Po za wielkim dębem, na wiązce suchych drew poszczypanych drobno do palenia, siedział blady, wychudły starzec z ogromną białą brodą i wąsami z nią się jednoczącemi, wsparty na lasce z trzema zgięciami, znamieniu jego władzy, przy niéj wisiały trzy tajemnicze nieodłączne woreczki; ubrany był w długą suknią z białego jak śnieg płótna, opasany po wierzchu wązkim a długim pasem lnianym, otaczającym go siedm razy siedm do koła; na głowie miał czapkę wysoką śpiczastą, stożkowatego kształtu, podobnych czapek do dziś używają istniejący jeszcze w Azyi kapłani ognia; przez ramię przepasany był przepaską, tajemniczemi pokrytą znakami.

Tak ubrany Krewe-Krewejta bywał zwykle, lecz ukazywał się on ludowi czasem tylko, ledwo w doroczne święta uroczyste. Miano sobie za niezmierne szczęście

widzieć go choć raz w życiu, rozkazy wysyłał przez posłów i podrzędnych kapłanów. Wola jego była wolą bogów, sprzeciwić się jéj nikt nie ważył. Krewe-Krewejto karał, wywołując piorun i straszył nim, jakby mając go na zawołanie i na rozkazy. Osobę jego uważano za świętą. Wejdyloci wybierali na tę najwyższą w Litwie godność najstarszych z pomiędzy siebie mężów i w rzeczywistości Krewe-Krewejto był zwłaszcza w dawniejszych wiekach nietylko naczelnikiem wszystkich kapłanów, ale i jedynym władcą najwyższym kraju; kunigasy z czasem dopiero zaczęli po trochu wyłamywać się z pod jego władzy, jak to właśnie i Gedymin czynić próbował.

Młoda Aldona, jakkolwiek nie kształcona ani nauczana na sposób chrześcijańskich księżniczek, nie była przecież nieoświeconą ani nieświadomą, tem bardziéj, że ulubiona od ojca dla męzkiéj swéj prawie dzielności na łowach, w strzelaniu z łuku, robieniu toporkiem, w tańcu i w toczeniu koniem, bywała przy jego boku częściéj niż inne córki, i obecna w jego komnacie przy ważnych nieraz naradach, dużo słyszała i rozumiała niemało. Rozumiała też i teraz dobrze, iż ojciec, rozkazując jéj składać ofiary pogańskim bóstwom jednocześnie prawie, gdy chrześcijanką z jego woli zostać miała, czynił to ze względów polityki, zmuszającéj go szukać związku z chrześcijanami, unikając przytem drażnienia religijnych wyobrażeń własnego ludu, podburzanego przez Wejdylotów przeciw wszelkim z chrześcijanami związkom. Ale wiedział książę i jego córka wiedziała, że choć ludowi oczy ofiarami zamydli, to

Wejdyloci jasno tę politykę jego rozumieć będą i odurzyć się pozorami pobożności nie dadzą. A więc wiedząc to wszystko i mimo to prosząc o wielką łaskę upadnięcia na twarz przed Krewe-Krewejtą, drżała Aldona, lecz spełniała rozkaz ojca, ażeby w ten sposób ująć sobie kapłanów, upokarzając się przed ich naczelnikiem.

Zalęknięcie młodéj księżniczki musiało jednak za zbliżeniem do Krewe-Krwejty ustąpić po części, gdyż trzeba było natychmiast skupić uwagę wszelką i iść bardzo ostrożnie, aby nie nadeptać płazów i gadzin, pełzających niezmiernie licznie u stóp jego na całéj przestrzeni. Mianowicie żaby ropuchy przechadzały się tam w tak wielkiéj obfitości, że każdy krok nieostrożny mógł narazić przybysza na stąpienie na którą z tych wychowanek wejdylockich. Aldona tedy, chcąc uchronić się od téj niezręczności, szła powoli i niezmiernie ostrożnie, a to nie tyle z pobożności, lękając się stąpić na płazy tutejsze, lecz także i ze wstrętu, ukrywając go jednak starannie, bo chociaż przywykłszy od lat najmłodszych do towarzystwa mądrych domowych wężów, pieściła je tak właśnie, jak chrześcijańskie księżniczki pieściły pieski pokojowe, to przecież do obrzydliwych żab ropuch miała zawsze głębokie obrzydzenie. I teraz, idąc ku siedzącemu pod cieniem dębu Krewe-Krewejty, najtrudniéj jéj było przejść pomiędzy żabami, których pełno było wszędzie, gdy tymczasem węże pełzały uważnie i jaky porządkiem po białych płótnach, rozesłanych wśród obszernéj łąki, kierując się do przygotowanych dla nich w naczyniach potraw, obok któ-

rych stojący kapłani wywoływali właśnie w téj chwili węże, zapraszając je do jadła z głębi ich mieszkań, a potem, nakarmiwszy je, odnosili resztę potraw ucztującemu na zewnątrz świątyni ludowi.

Trafiwszy właśnie na tę chwilę wywoływania i karmienia płazów, księżniczka musiała poskromić wzruszenie, aby ostrożnie przejść między niemi, aż dokazawszy tego i stanąwszy przed duchownym władcą Litwy we właściwem oddaleniu, chciała upaść mu do nóg, czego wyuczoną była zarówno starannie, jak księżniczki chrześcijańskie uczono dworskich ukłonów; gdy wtem starzec wyciągnął długą swą laskę, postawił ją ukośnie przed księżniczką w taki sposób, aby uklęknąć nie mogła, i rzekł spokojnym, niezmiernie dźwięcznym i czystym głosem:

— Marne są i nic nie znaczące zewnętrznéj uległości oznaki, jeżeli duch ludzki przeciwko nim się buntuje!

Aldona zadrżała, ale żywo podniosła głowę i oczy, bo jeżeli wyrazy te zdawały się wypowiadać niezbyt przychylne uczucia, to głos, jakim były wymówione, budził otuchę i ufność. Podniosła oczy i patrzała w oczy starca, dziwiąc się własnéj swéj odwadze, a on pytał łagodnie:

— Po co przychodzisz tutaj, nieodrodna córko Gedymina, który daleki jest od gorącości wiary staréj i duchem ku chrześcijanom się skłania?

— Przychodzę po błogosławieństwo starca — odparła poważnie — którego kunigas Gedymin zawsze

szanował i szanować będzie i którego błogosławieństwo zawsze i każdemu pożądanem jest!

On popatrzał na nią długo i smutno:

— Tak — rzekł nareszcie — a tobie bardziéj niż komu innemu, ponieważ opuścić masz wkrótce na zawsze progi rodzinne dla cudzych; biednaś ty!

Księżniczka, dotąd mimo strachu poskramiająca wzruszenie, teraz na dźwięk tych słów niespodzianych, dotknięta niemi, rozpłakała się rzewnie:

— Płacz, ażeby we łzach spłynęła żałość twoja — łagodnie rzekł starzec — ale nie smuć się nad miarę, wyroki nieba niecofnione są, a wszak wiesz, że przy budowaniu świątyni na dolinie Szwentoroha wyrocznia nadniemnowa przepowiedziała jéj trwanie tak długie, jak wiary, i sto dwadzieścia dwie cegły okrągłe przysposobić na doroczne wmurowywanie poleciła, a ostatnia ma znak krzyża wyryty, a już tylko sześćdziesiąt i dwie czeka na wmurowanie... zanim runie świątynia Znicza pod takiemi ciosy, jaki jéj gotuje obecnie wielki kunigas, wzywając krzyża na pomoc przeciw wrogom. Nie przez cię jednak zadanym będzie cios ostatni... oto widzę... po tobie przyjdzie inna... przez nią to ognie Znicza zagaszone będą, ty niewiele zawinisz ojczyźnie i wierze ojców, odejdź w pokoju...

Ostatnie wyrazy starzec wymówił jakby bezwiednie, wpatrzony kędyś ponad szczyty dębów poblizkich szeroko otwartemi oczyma, ręce wzniósł ku Aldonie, ale wyglądał jak nieprzytomny. To też przerażona i zdziwiona księżniczka cofnęła się odeń, a wtem starzy kapłani, pochwyciwszy ją pod ramiona z oznakami

czci lecz z wielkim przytem pośpiechem uprowadzili z przed oblicza swego zwierzchnika, jakby lękając się, aby nieprzywykłe jéj ucho nie zasłyszało co więcéj z tajemnic przyszłości, wydzierających się z piersi starca.

— Co tobie, złocista rybko moja?.. czyby Krewe-Krewejto powiedział tobie co strasznego? Czy pytałaś go może o losy swoje? — dopytywała ciekawie Witginsowa, oczekująca wraz z Marti po przeciwnéj stronie świętego dębu, gdy kapłani odprowadzili do nich księżniczkę; one bowiem nie dostąpiły wraz z nią zaszczytu oglądania oblicza Krewe-Krewejty.

— Nie, nie, jedźmy ztąd coprędzéj, jedźmy daléj — prosiła dziewczyna zapłakana, czując, że nie powinna rozgadywać tego, co usłyszała. Dopiero siedząc w kolasie, gdy wypoczęte koniki żwawo bieżały po nierównem bezdrożu, a dębowy gaj Romowe znikł już w oddali, Aldona oparła głowę na ramieniu towarzyszki i zapłakała ciężko: te sześćdziesiąt i dwie cegły, a raczéj sześćdziesiąt dwa lata, po których Znicz miał być zgaszony, ciężkiem brzemieniem przygniotły piersi dziewczyny. Ona z rozpaczą lecz posłusznie porzucić była gotowa ukochane rodzinne progi, aby tą ofiarą zapewnić szczęście ojcu i Litwie, a tymczasem dowiadywała się, że przez to przyczyni się, jakkolwiek *niewiele*, do ich zguby... bo Aldona nie była przecież, mimo swéj oświaty, dyplomatą takim, jak jéj ojciec i z konieczności więcéj przestając z towarzyszkami, niż z nim, święcie wierzyła, że póty stanie Litwy, póki Znicza stanie; więc zgaszenie Znicza przez tę „drugą", mają-

cą przyjść po niéj, zdało jéj się wyrokiem śmierci na Litwę i na ojca, bo gdyby Gedymin żył, to nie pozwoliłby zginąć Litwie! Łza łzę goniła na zbladłéj twarzy dziewczęcia, które pogrążone w takich myślach jechało znowu środkiem puszczy o świeżym letnim poranku, pełnym rozkosznych woni i leśnego swobodnego życia.

— O, kiedy tak, kiedy tak okropnie płaczesz, to już z pewnością musiał ci stary kapłan czemś niedobrem w przyszłości zagrozić, aby cię od ślubowin z chrześcijaninem odstręczyć — westchnęła, domyślnie głową kiwając, Witginsowa — chociaż wiem, żeś go prosić o wróżby nie śmiała; a cóż to dopiero nie powie wróżka w Pullen, gdy przyszłość przepowiadać zacznie. Bo oczywiście oni już wszyscy będą tak mówili, jak sam Krewe-Krewejto, pewno już taki rozkaz dostali od niego: wiesz co, najlepiéj zrobimy, gdy złożysz ofiarę w Pullen, ale wróżki zaczepiać nie będziesz...

— Przeciwnie, mylisz się — żywo odparła Aldona, ocierając oczy fartuszkiem, przyczem dzwoneczki, któremi był oszyty, zadźwięczały gwałtownie. — Teraz bardziéj jeszcze niż wprzódy pragnę pytać wróżki, aby wyjaśniło się dla mnie to, co ciemnem jest w słowach Krewe-Krewejty.

Pojechano zatem daléj, jakkolwiek Witginsowa była teraz mocno niezadowoloną z własnego udziału w przyprowadzeniu do skutku téj podróży.

— Ot — mruczała sama do siebie, spoglądając z pod oka na Aldonę — podmówiłam kunigasa, aby nam jechać nakazał dla uciechy mojéj złotéj rybki, a tu ona łzami się zalewa... toż robiła to samo, tkając

swoje weselne ręczniki, nie było po co do świątyń tak daleko jeździć. A jak jeszcze i wróżka potwierdzi złą wróżbę, ot to dopiero będę miała łzy dniem i nocą. — I znowu mówiła głośno:

— I świeżo nawet dowiedziałam się, że ci Krzyżacy, oby ich Perkun pokarał, ukazują się koło Pullen, bodaj nas co złego nie spotkało; wróćmy się, kwiateczku mój, póki czas!

— Nie — stanowczo odparła księżniczka.—Ojciec Gedymin nie pozwoliłby mi tu jechać, gdyby naprawdę istniało niebezpieczeństwo. Jedźmy!

Tymczasem okolica lesista przybierała pozór coraz bardziéj bagnisty i zapadły, ale mimo to mieszkańców nie brakło, co właśnie najlepszym było dowodem, że chociaż Krzyżacy już i mogli tu zaglądać, przecież nie zdążyli jeszcze wyludnić téj wśród lasów ukrytéj krainy. Nareszcie ukazała się rozległa dolina, na jéj krańcu przy zbiegu dwóch rzek, jak zwykle, wznosiła się ciężka i przysiadła, do niezgrabnego, gruboskórego potworu leśnego podobna i prawie przerażająca ogromem twierdza:

— Oto Pullen!... — z głuchem westchnieniem powiedziała ochmistrzyni. Panny spojrzały ciekawie; Aldona, patrząc na ten czarny potwór, niewyraźnie rysujący się na tle ciemniejącego pod wieczór nieba, myślała:

— Jeżeli tu powiedzą mi, że za moje posłuszeństwo i za wszystkie ojca Gedymina wysiłki i starania nie zyskamy nic, albo raczéj podobno przyłożymy się tylko do ostatecznéj Znicza, a więc i Litwy zaguby, to...

czyliż nie powinnabym ostrzedz ojca, powiadając mu to wszystko? Nie lepiejże nam byłoby porzucić nawet i tron książęcy i razem, nie rozstając się, dożyć gdzie w rodzinnych puszczach kresu życia spokojnie, zamiast borykać się z losem po to jedynie, żeby choć i *niewiele* tylko przyłożyć się do tego zgaszenia Znicza, jakiego ma dokonać ta jakaś druga, która ma przyjść po mnie?... Wygląda to, jakbyśmy mieli torować jéj drogę... pocóż to czynić?

Wtem kolasa stanęła przed twierdzą, gdzie już Witgins poprzedził z ofiarą swą panią i zaraz też ze strasznym skrzypem i łoskotem, na dane z trąbki rogowéj przez jednego z dworzan Aldony hasło, zaczęły spuszczać się straszliwe, ledwo ociosane bale, stanowiące most zwodzony ponad olbrzymim rowem. Pullen była to stara warownia, drewniana oczywiście, jak wszystkie stare twierdze podówczas w Litwie, ale mimo to tak potężna niesłychaną siłą, grubością i ogromem kłód, olbrzymów leśnych, z jakich ją zbudowano, że niejedna murowana nie dotrzymałaby jéj w sile, a kronikarze w podziwie swym zapisali niektóre jéj rozmiary. I tak: ściany wzniesione z balów odwiecznych puszcz wysokie były na 83 piędzi, grube 52 piędzi; głębokość rowów 26, szerokość 50 stóp.

XVII.

Do takiéj to twierdzy wprowadzono córkę potężnego kunigasa, most podniósł się, a furty i bramy zapadły za nią i ponure, ciemne, bo wiekiem poczerniałe

ściany otoczyły ją dokoła, lecz niebo zawsze widniało u góry, gdy sam dowódca twierdzy, a raczéj tak zwany *ciwun* lub *tywun*, niby rządca i naczelnik miejscowy, prosił, aby weszła do jednego z budynków pobocznych, gdzie, jak zwykle przy świątyniach, urządzony był zawsze gotowy spoczynek i posiłek, gospoda, jednem słowem, dla przybywających pobożnych. Ale Aldonie pilno było rozstrzygnąć palące pytanie: powiedzieć ojcu?.. czy też milczeć, ból zamknąwszy we własnéj piersi, ponieważ ostrzeżenie niby nie pomogło przeciw losowi, a zmartwiłoby ojca?... Zatem odrzekła:

— Nie jestem wcale zmęczona ni głodna, a ołtarze Znicza płoną przecież zarówno jasnym płomieniem dniem i nocą, i wieczorem, czyliżbym więc nie mogła zaraz pokłonić się Zniczowi świętemu i wieszczki tutejszej o jedno mądre a dobre słowo na daleką podróż prosić?

Dowódca potrząsł głową:

— Zniczowi owszem pokłonić się można, o córko kunigasa Gedymina — rzekł — ale jeżeli wieszczki naszéj chcesz pytać, to muszę się najprzód dowiedzieć, bo choć ona więcéj niż przez pół żyje już duchem nie ciałem, to przecież i ta reszta jéj istoty, która do świata jeszcze należy, domaga się praw swoich, snu i spoczynku: dla tego wejdź do gospody, a ja pójdę dowiedzieć się, czy i kiedy będziesz mogła widzieć wieszczkę u stóp Znicza.

Musiała tedy Aldona wejść do izby, podobnéj raczéj do jéj własnéj w Kiernowie jadalni, niż do innych spotykanych po drodze. Wesoły ogień płonął na ko-

minie, dla światła więcéj niż dla ciepła, bo ciepło było na dworze, a okien brakło w izbie. Ogromne, tłuste węże, wypełzając z nor pod ścianami, otoczyły natychmiast przybyłych, przyzwyczajone do bezustannych pieszczot i przysmaków od bawiących tu prawie ciągle przyjezdnych; nawet i ropuch kilka wyskoczyło, pląsając ciężko pośrodku, ale wszystko to nie śmiało przecież napastować zbyt natarczywie smutnéj podróżnéj, która siadłszy u komina wsparła głowę na ręce i milczała. Witginsowa pobiegła zająć się rozporządzeniem ofiar, a w rzeczywistości podobno uprzejmie zdjąć te trudy z bark męża Witginsa, za co on szczerze był jéj wdzięczen, nie domyślając się celu téj serdecznéj uprzejmości, a tym było pozbyć się go coprędzéj z Pullen.

— Nakłopotałeś się i natrudziłeś już niemało w téj podróży, biedaku — mówiła, ośmielając się pogłaskać po siwéj brodzie siedzącego nad dzbanem ałusu małżonka — pozwól, niech ja już te ostatnie kłopoty wezmę na siebie, a ty odpocznij.

— O, i owszem — odpowiedział ochoczo — jeżeli tylko weźmiesz na siebie kłopot z oddawaniem ofiary i przypilnujesz jéj porządku, boć tutejsi kapłani nie o téj jednéj mają do myślenia, to ja chętnie spocznę; lecz nie tu, w obcéj gospodzie, tylko pod własnym dachem w Kiernowie, nad kubkiem ałusu twojéj roboty, który mi najlepiéj ze wszelkich innych smakuje; tymczasem wypij choć ten na pożegnanie.

Z takiem uprzejmem pożegnaniem, tem milszem dla żony, że nic podobnego dawno nie słyszała, wychylił Witgins swój ałus i czemprędzéj, aby żona nie

zmieniła zamiarów, siadł na koń z towarzyszem i póki jeszcze furty na noc nie zawarto, ostatecznie wysunął się z zamczyska po odpowiednich przytem opowiadaniach się i otrzymaniu pozwolenia, zwyczajnie jak w twierdzy.

— Ubranie twoje podróżne zakurzone i zmięte, czyliż nie każesz mi go odświeżyć trochę lub innego dostać i świeży wianek uwić na jutro, lub kiedy tam masz stanąć przed Zniczem i kapłanką? — pytała tymczasem towarzyszka Aldony, młoda Marti.

— Nie zdaje mi się, aby wieszczka świętego Znicza zważała bardzo na ubranie, wszakże ponieważ jest zwyczaj przystrajać się na uroczystości, zatem uczyń, jak ci się spodoba, Marti moja — powiedziała księżniczka, w ogień wpatrzona i niewiele wiedząc co mówi a nie nawykła spierać się z otaczającymi. Wyszła zatem Marti wielce dbająca o piękny strój swéj przyjaciółki i pani, aby poszukać Witginsowéj, mającéj cały pakunek podróżny, skromny zresztą niezmiernie, pod swą opieką i aby od niéj otrzymać rzeczy potrzebne; księżniczka pod ten czas pozostała samą zupełnie. Siedziała tak, zadumana, zajęta myślą o ojcu, nie wiedząc sama jak długo, aż kilkakrotne skrzypnięcie drzwiami zwróciło jéj uwagę; spojrzała wtedy ku drzwiom: stała za niemi, nie śmiąc wejść, obca kobieta w bieli, z głową zawitą, jak zwykłe mężatki litewskie w dawnych czasach i poruszała piszczącemi drzwiami umyślnie przez uszanowanie, aby zwrócić uwagę zadumanéj pani.

— Co to? wiadomość ze świątyni? — żywo spytała księżniczka, zrywając się z ławy.

— Nie, nie, pani prześliczna, ja... ja tylko z moją własną prośbą przychodzę do sprawiedliwości i łaski córy Gedymina, która chrześcijanką ma zostać... — odpowiedziała. To odwołanie się do chrześcijaństwa i do sprawiedliwości i łaski dziwnie tknęło Aldonę:

— Wejdź i mów, czego chcesz — rzekła bez namysłu — sama ja przybywam tu do świątyni prosić o sprawiedliwość i łaskę, i pewno nie odmówię ci wstawić się do ojca Gedymina o toż samo dla ciebie. Ach... tyś niewolnicą!...—dodała, spojrzawszy baczniéj na zbliżającą się niemłodą kobietę. Aldona usiadła znowu, nieznajoma przykucnęła u jéj nóg i nie tracąc czasu, a co chwila oglądając się na drzwi, w widocznéj obawie, aby kto obcy nie przeszkodził, zaczęła mówić szeptem i śpiesznie:

— Śliczna księżniczko!... odkąd tylko usłyszałam, że brańcy polscy mają wracać do Polski za tobą, gdy na gody twe z królewiczem Kazimierzem jechać będziesz, szukam sposobności, jakby prosić ciebie o zmiłowanie, aż teraz ją znalazłam. Wiedz, że i ja jestem branka polska, porwana z dzieciątkiem, które pani moja strzedz mi nakazała, odjeżdżając na jednę tylko dobę z domu, na pogrzeb krewniaka. Przez tę jednę dobę Litwini napadli nas w naszéj zagrodzie, a gdy zdołałam uciec do poblizkiego lasu z maleńką niemowlęcą Baśką w ramionach, znaleźli mię i tam, i pognali na Litwę. Przybywszy tutaj, nie wiem z jakiéj przyczyny odrazu przywieziono mię do Pullen i oddano na własność wraz z dzieckiem wieszczce tutejszéj, która tak serdecznie zajęła się moją dzieciną, że choć nie ufałam

jéj zrazu, przecież z czasem zaufać musiałam; już to pewna, że ona pragnie życia i zdrowia mojéj Złotéj pani. Przekonawszy się o tem, powierzyłam tutejszéj wieszczce moje złote paniątko, a sama oddalałam się czasami z Pullen, szukając po świecie mojego męża, który zowie się Chwast, i pod którego opieką pozostał paniczyk nasz ukochany, Władko. Co się z nimi stało, odkąd z Baśką uciekłam do lasu, nic nie wiem, i mimo poszukiwań, nie mogę się dowiedzieć. Zatem, nie mówmy o nich więcéj, ale pomyśl, piękna księżniczko, że moja biedna, droga, ukochana złota Baśka jest tu obecnie o kilka kroków od nas, i że stara wieszczka tutejsza, odkrywszy w niéj nadzwyczajne do wieszczbiarstwa zdolności, chce ją koniecznie przy sobie zatrzymać, i kapłanką uczynić. Przeto usiłuje wmówić w nią, że ona jest Litwinką, i że tu koniecznie pozostać powinna, a jednocześnie wmawia i wpiera we mnie, że ja jestem obłąkana, i dawno już ubiłaby mię czeladź tutejsza, rozgniewana mojem natręctwem i ośmielona jéj dla mnie niełaską, gdyby Złota moja pani nie miała mię w swéj opiece i gdybym ja nie udawała czarownicy, po to, aby bano się mnie choć trochę. Zlituj się, piękna księżniczko, nad nami sierotami na obcéj ziemi, nie pozwól wieszczce i kapłanom utaić tutaj mojéj Złotéj pani, zabierz nas obie z sobą, gdy będziesz do Polski jechała, Bóg chrześcijan wynagrodzi ciebie za dobry uczynek! Zobaczysz!

Tak błagając na klęczkach, Jagna, łzami zalana, całowała ręce i nogi księżniczki, któréj serce zabiło

gwałtownie, gdy usłyszała o sieroctwie na obcéj ziemi, a wtem:

— Co to jest? kto tu? co to za kobieta? O, księżniczko, rybko moja, strzeż się, to jest czarownica!... ona urzec ciebie może, dziecino! — krzyknęła Witginsowa, wpadając do izby i w najwyższem przerażeniu odepchnąwszy od księżniczki Jagnę wylękłą, popychała ją następnie ku drzwiom, zlekka wprawdzie, ale natarczywie, aż wypchnąwszy za drzwi, zamknęła je i jęknęła z głębokiem westchnieniem:

— Uf!... gdzież się podziała Marti niegodziwa?... że też na nikogo w niczem spuścić się nie można, a przecież trudno mi się rozedrzeć, aby w dwóch miejscach na raz być i wszystkiemu sama dać radę. Czego tu chciała ta czarownica, rybko moja złota? powiedz!... powiedz, czy nie ujęła cię ona za serdeczny u lewéj ręki paluszek?... powiedz mi wszystko, co ona tu mówiła i robiła, abym mogła coprędzéj odczynić urok, jeżeli go rzuciła na ciebie?...

— Marti poszła po świeże dla mnie stroje, a ta obca kobieta dopiero co tu przyszła i błagała mię, abym ją z sobą do Polski zabrała — ociągając się tłómaczyła Aldona, sama dobrze nie wiedząc dla czego nie miała ochoty opowiadać dokładnie, o co nieznajoma błagała. Nazwa „Złotéj pani” przypomniała zaraz księżniczce wszystko, co niedawno zasłyszała o potężnéj młodéj wieszczce, za którą ją samę, Aldonę, wzięto na noclegu w gościnnéj, choć ubogiéj numie wśród bezdennéj puszczy. Ciekawość i współczucie ozwały się jednocześnie w piersi młodéj dziewczyny, a także i nie-

wyraźne przekonanie, że nie trzeba rozpowiadać tego, co jéj saméj powierzone zostało:

— Jeżeli ojciec Gedymin przyrzekł polskiemu królowi wrócić wszystkich brańców, to wszystkich wrócić należy — myślała — a jeżeli kapłani i dawna kapłanka usiłują utaić tutaj tę Złotą sierotę nieszczęsną, dla jéj wielkiéj w wieszczem natchnieniu potęgi, to ja rozgadywaniem nic na to nie poradzę; poradzi tylko jeden ojciec Gedymin... przyrzeknę Złotéj sierocie, gdy tylko ją zobaczę, że wstawię się za nią do ojca i zrobię tak... razem pojedziemy do Polski, Baniuta, Złota i ja... chciałabym ją zobaczyć...

W skutek takiego postanowienia księżniczki, ochmistrzyni napróżno usiłowała na różne sposoby wybadać z niéj treść rozmowy z Jagną, aż w końcu uwierzyła, że nic więcéj nad to, co jéj odrazu oznajmiła księżniczka, w tem wszystkiem nie było, a młoda Litwinka, pomimo całego szczerego przywiązania do swéj staréj i wiernéj niańki, zadziwiająco roztropna, jakby téj ostrożności roztropnéj od swych wężów ulubionych się nauczyła, zamknęła w głębi serca myśli swoje, dopóki nie mogła podzielić się niemi z ojcem Gedyminem.

Tymczasem wróciła Marti, dokończając splatania wianka ze świeżo zerwanéj ciemnéj ruty i z zimną krwią zniosła gwałtowny gniew ochmistrzyni za to, że księżniczkę w obcem miejscu samę jednę pozostawiła, a wreszcie dość hardo rzekła:

— Zobaczywszy tu rutę w ogródku w jednym zakątku zamczyska, domyśliłam się ja, że i w téj czarnéj jaskini muszą znajdować się młode dziewczęta, poszłam

ich szukać, znalazłam i dostałam oto ruty na wianki świeże dla kunigasówny i dla siebie; ale ty, *séné* Witginsowa, która zrzędzisz na mnie, żem odeszła, mogłaś też i sama prędzéj tu powracać, zamiast się tam z mężem Witginsem tak długo nad pożegnalną czaszą ałusu roztkliwiać.

Na innym książęcym dworze chrześcijańskim, gdyby dworska panna ośmieliła się w ten zadziwiający sposób odpowiadać wielkiéj ochmistrzyni, zrobiłby się z zajścia takowego skandal niemały na zgorszenie całego dworu i dla przykładu panna ukaranąby została; lecz na kunigasa Gedymina dworze wiele uchodziło, pod względem wymagań dworskiéj etykiety zwłaszcza, to też i teraz sprawa załatwiła się bez skandalu, chociaż rozgniewana ochmistrzyni rzekła, groźnie patrząc na Marti:

— Ej ty, sroko złośliwa, powstrzymaj język, jeżeli nie chcesz, żebym winnikiem w łaźni wygnała to zuchwalstwo z twéj skóry!

Witginsowa groziła nie darmo, gdyż codziennie kąpiąc się wraz z pannami i pilnując porządku przytem, nie rzadko robiła pewien nacisk przy użyciu zdrowiodawczych winników, gdy okoliczności tego wymagały; nawet samym młódszym księżniczkom, dopóki były niesfornemi dziećmi, trafiła się czasami w nadzwyczajnych wypadkach taka przygoda, i było to zupełnie w porządku. Mimo to, zuchwała Marti wiedząc, że załatwianie spraw domowych w domu tylko nie zaś w gospodzie odbywać się może i przeto rachując na przedawnienie, nie zlękła się wcale, owszem, dostrzegłszy

z boku, że żwawą księżniczkę mimo smutku bawić zaczyna sprzeczka jéj pań dworskich, odparła po swojemu z zimną krwią na groźbę zwierzchniczki:

— O, o... do winników daleko, bo zostały w Kiernowie, zatem nie mam się czego tak bardzo obawiać.

Wielka ochmistrzyni panieńska dworu Gedymina tak się na te drwiące słowa panny honorowéj rozgniewała, że aż pięść ściśniętą na nią podniosła. Ale wtem księżniczka, dusząca się od śmiechu, nie wytrzymała dłużéj i rozśmiała się głośno, Marti zawtórowała jéj serdecznie, i Witginsowa, rozbrojona po części istotnie tem, że jéj zapłakana „rybka” się śmieje, zaczęła śmiać się z niemi, obracając całe zajście w żart niewinny.

Wszedł w téj chwili ciwuń i rzekł, zwracając się do Aldony:

— Pragnęłaś, o córko Gedymina, ani jedząc ani spoczywając, pokłonić się Zniczowi i wieszczkę tutejszą o dobre słowo na podróż prosić; a oto dowiedziałem się, że kapłanka pełni służbę swą u ołtarza i ty możesz doń się zbliżyć, i pytać, zaś czy ona tobie odpowie, tego już nikt śmiertelny wiedzieć nie może. Idź i probuj, jeżeli chcesz, wejdylota, starszy kapłan, który ofiarę twą przyjął i pojutrze ma przed nią ofiarną wypić czaszę, klęczy już w świątyni, rozpocząwszy zwykły przedofiarny post i modlitwę, więcéj niema tam nikogo.

Aldona powstała i poszła za ciwunem wraz z towarzyszkami; skierowano się w głąb drewnianych, czarnych od starości gmachów, na kamiennéj zbudowanych podstawie, bo świątynia odmienną tu była od innych, święty dąb nie wznosił nigdzie czoła ku niebu,

tylko czarna czeluść, stanowiąca wejście do lochów pod zamkiem, ukazała się wkrótce pielgrzymkom:

— Tutaj wejdźcie! — rzekł ciwun. Weszli do ciemnicy, gdzie blizko wejścia klęczał wejdylota nieporuszony, jakby z głazu wykuty; to był ten, który sprawować miał ofiarę Aldony pojutrze i przeto do chwili ofiary przygotowywał się nieruchomością i postem, na wzór może pokutników indyjskich, dziś jeszcze istniejących w Indyach, zkąd zdaniem badaczy pochodzi pierwotnie naród litewski.

— Tu poczekamy, tylko ofiarującéj saméj, która ofiarę złożyła, wolno iść daléj... ołtarz ot tam jest, tam daleko, gdzie ogień błyszczy, zresztą tu już równo jest wszędzie i niema się czego obawiać — powiedział ciwun, zatrzymując towarzyszki Aldony, wskazał im ławę pod ścianą i sam usiadł na niéj, a księżniczka, po chwili wahania, zebrawszy odwagę, usunęła się od Witginsowéj, która chciała ją zatrzymać i poszła zwolna sama jedna we wskazanym kierunku, kędy, jak mówi poeta:

„czary czy ofiary!
W głębi zamkowych sklepisk loch się ciągnie stary;
Tam się nigdy przez okno słońce nie promieni,
Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę,
Poczerniały od dymu sklepienia ceglane:
Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomię,
To Znicz, co się z przed wieków uroczyście chowa,
Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
I co z małéj iskierki, zapalonéj w Wilnie,
Pielęgnują ognisko troskliwie a pilnie.

Nie jeden żubr zabity w łowieckiej zdobyczy
Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy,
Nieraz tutaj niemieckie Hanzeatów posły
Pełne stągwie oliwy dla Znicza przyniosły.
I nieraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
Na pożarcie Zniczowi — ale u ołtarza
Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
Ręka sucha, wychudła, jakby szkielet z kości,
Opalona od ognia, drżąca ze starości!
Oto kapłanka Znicza, jakby mech zgrzybiała,
Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
Było to młode dziewczę, jak róża w rozkwicie,
Tu zakwitło, kraśniało, tu zeschło jéj życie,
Tu dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony.
Tutaj wszystkie uczucia, czem dusza bogata,
Wszystkie dumki, i wszystkie namiętności świata,
Wszystko, czem żyje głowa, czem się serce żarzy,
Wieszczka oddała bogom, i do ich ołtarzy
Przyrosła, jak kolumna.
I cóż więc za dziwa,
Że dziś natchnienie bogów jéj piersi rozrywa?
Że widzi na wskroś niebo ciemnemi oczyma?
Że Znicz w zgrzybiałem łonie swój ogień rozdyma?
Że słynęła wróżbiarką ofiarnica ciemna
Od wybrzeży Połągi, aż do źródeł Niemna? *)

XVIII.

Taką to postać w takiem otoczeniu ujrzawszy zdaleka u ogniska Znicza, córka kunigasa Gedymina zbliżała się ku niéj powoli, miotana podwójnym dreszczem

---

*) Wład. Syrokomla. Margier. Poemat z dziejów Litwy.

wzruszenia i wilgoci, jaką ziały czarne, okopcone mury. Im bliżéj dochodziła, tem wolniéj szła, aż stanęła nieruchoma, oblana czerwonemi blaski, dźwięk dzwoneczków, przystrajających jéj ubranie, odzywał się zrazu miarowym, nieśmiałym odgłosem, aż ucichł, tylko od czasu do czasu drżenie, przebiegające ciało kunigasówny, zdradzało się lekkim, urywanym dźwiękiem. Ciemna, wychudła postać u ogniska, w zielonym stroju i ciemnym rucianym wianku na siwych włosach, zwróciła się wtedy ku niéj, jedną ręką wsparta o zrąb ołtarza, w drugiéj trzymając pręt do poprawiania ognia, berło swoje; oczy zaczerwienione od płomieni wlepiając w świeżą, choć drżącą dziewczynę, ubraną podobnie jak ona sama i wyglądającą, jak wspomnienie jéj własnéj młodości.

— Po dobre słowo na drogę przychodzisz, córko Gedymina? — spytała głosem, podobnym do szelestu zwiędłych liści. — Jak śmiesz stawać u stóp Znicza w chwili, gdy zamierzasz go zdradzić? Nie lękaszże się piorunów Perkuna, że je tutaj przychodzisz wyzywać? Dobrego słowa żądasz... piorun jest słowem Perkuna!

Szelest zwiędłych liści, w miarę jak mówiła, przybierał odgłos dalekiego gromu, aż ostatnie wyrazy wstrzęsły sklepieniem, jak grom. Pod wrażeniem tego huku, jak pod ciosem, księżniczka zachwiała się, upadła na kolana, ale mimo to nie straciła przytomności.

— Ja, ja... — jąkała — nie zdradzam; przeciwnie, ja ofiarę z siebie czynię dla Litwy i Znicza, opuszczam rodzinne progi, odrzekam się młodych dni, aby zapewnić

ojcu i Litwie wierną pomoc przeciw Krzyżakom i innym wrogom.

— Wiem, że tak myślisz, jak mówisz — odparła ponuro kapłanka — lecz mimo to zdradzasz i przeto gniew bogów pogoni za tobą: zwiędniesz ty na obcéj ziemi, jak ruta w niewłaściwy grunt przesadzona, gałązki, ani listka jednego nie pozostanie po tobie, przeminiesz, jak mara bez śladu, i dla tego właśnie piorun nie niweczy cię w téj chwili, że marą ty jesteś marną i marną twoja ofiara: nie ocalisz nią tego, czemu zgubę sądzono; płomień ten zgaśnie we krwi, a potem przyjdzie tamta... i wszystkie Znicza płomienie pogasną!... tamta... oto ona! precz! precz!... oto oni!...

I przy ostatnich wyrazach, jakby przytomność straciwszy nagle, kapłanka z dzikim okrzykiem, chwytając ułożone pod ręką polana do palenia, jęła miotać je gwałtownie przed się, niby w niewidzialnych uderzając nieprzyjaciół; i niechybnie ciosy te byłyby dosięgły księżniczki, acz nie na nią były miotane, gdyby niewidzialna dotąd inna postać dziewczęca, wyszedłszy nagle z poza ołtarza, nie podniosła szybko silnem ramieniem wylęknionéj Aldony i nie uprowadziła jéj w bok, w głąb podziemia. W chwilę późniéj znalazły się obie w izdebce podziemnéj niedużéj, oświetlonéj łuczywem, płonącem na kominie i podobnéj wielce do celi więźnia albo pokutnika: parę twardych skór wilczych porzuconych w kącie stanowiło posłanie, kilka grzybów leśnych z rodzaju tych, które jeść dają się na surowo i garnek z wodą stały przygotowane do posiłku na sporym głazie, zastępującym stół; nic więcéj nie

potrzebowała kapłanka, która życie przepędzając u ołtarza, przychodziła tu spać i pożywić ciało. Siedząc na mniejszym głazie, tuż obok stołu, księżniczka, odurzona ostatniemi zdarzeniami, przyszła wkrótce do siebie i wpatrując się w schyloną nad sobą postać, która jéj skronie wodą zwilżała, spytała żywo i z uwielbieniem dźwięczącem w głosie:

— Nie jestżeś tą, którą w okolicy zowią „Złotą panią„?

— Tak mię nazywają ludzie — cicho potwierdziła młoda, jasnowłosa, trzeźwiąca ją dziewczyna.

— Jeżeli tak — zawołała gwałtownie Aldona — to więc i ty wieszczką jesteś i tak wielką posiadasz ducha wieszczego potęgę, że aż kapłanka tutejsza i kapłani pragną, byś kapłanką także została i przeto wmawiają ci, żeś jest Litwinką, choć ty na prawdę polską branką jesteś, zabraną w niemowlęctwie na ręku piastunki, i usiłują cię teraz zataić, gdy brańcy do Polski wracać będą? Otóż posłuchaj, ja to wszystko opowiem ojcu Gedyminowi, kapłani będą musieli oddać ciebie i pozostaniesz przy mnie, i wrócisz do Polski, albo ze mną, albo sama, wszystko, co zechcesz, wyproszę u ojca Gedymina, ale... wprzódy spojrzyj w przyszłość, jeżeli dar wieszczego ducha posiadasz, spojrzyj i powiedz mi, ach! powiedz, zaklinam cię na rodzinną ziemię twoję, na domowe progi, do których serce rwać ci się musi, powiedz, czy tamta wróżka prawdę mówi? Czy istotnie ofiara moja, jaką czynię, wyrzekając się bogów, i ziemi własnéj, i ojca, po to właśnie aby ich ocalić, próżną jest i tylko gniew kapłanki i pomstę bogów obudza?

Czyliż w istocie ja zdradzam mimo méj wiedzy i zdradą tą rozpoczynam szereg zdrad i nieszczęść, których dopełnić ma ta jakaś druga; a wtedy Znicz i Litwa zgasną i zginą w krwi?... Mów!... bo jeżeli tak ma być, to wszystko to ojcu Gedyminowi opowiem i nie opuszczę go i nie pojadę do Polski! Nie przyłożę ręki do zguby Litwy! Mów, mów!... dwoje mi już toż samo mówiło, gdy powiesz ty trzecia, uwierzę!

Gedyminówna, zarówno gwałtowna w ochoczéj zabawie, jak w serdecznéj rozpaczy, teraz popadła w zapalczywe uniesienie, oczy jéj pałały, lica płonęły, pierś dyszała, a potok gwałtownych wyrazów wypadał z ust niepohamowaną potęgą. Młoda kapłanka patrzyła na nią z podziwem i uszanowaniem zarazem, aż rzekła zwolna do umilkłéj, bo wyczerpanéj własnem przemożnem wzruszeniem:

— Zaprawdę, jeżeli miłość dla bogów swych, dla rodzinnéj ziemi i dla swego ludu jest wieszczów piętnem i losem, toś i ty wieszczką znaczona, córo Gedymina, i potężniejszą byłabyś odemnie, gdyby tylko posty i modlitwa i tajne kapłańskie nauki zdjęły ci z oczu zwykłą śmiertelnych zasłonę: dzisiaj mylisz się i źle rozumiesz kapłanki mowę. Gniew jéj i bogów nie przeciw tobie powstaje; zdawna już krąży pomiędzy wieszczbiarzami ustna przepowiednia o młodocianéj królewskiéj córze, która od południa-zachodu przyjdzie i płomienie Znicza zagasi, ale nie mieszaj z nią zguby Litwy, bo o tem wieszczby nie mówią!... a kapłani o Znicza rozpaczają jedynie.

— Jakto? Alboż nie póty trwa Litwa, póki Znicze płoną? — zdumiona spytała księżniczka.

— Tak kapłani mówią ciemnemu ludowi, aby go w wierności dla Znicza utrzymać, ale w rzeczywistości, czyliż duch oświecony nie czuje, że Znicz jest tylko symbolem czegoś, czy kogoś, kogo my jeszcze nie znamy?... a i cóż ma na poznaniu prawdy ucierpieć Litwy istnienie?... — odparła pocichu kapłanka zamyślona, z oczyma w ziemię wbitemi.

Aldonę tak zdziwiły te słowa, że zaniemówiła na chwilę, jakkolwiek zdawały jéj się nie zupełnie nieznanemi; czy myśl zawartą w nich przeczuwała, czy zgadywała z rozmów ojca, Butowda, lub zakonników, nie mogła tego przypomnieć, lecz uczuła nagle jakby ciężar spadający z piersi, i zawołała po chwili:

— Ach... ależ w takim razie, co ma się stać, mimo mnie się stanie, a choćbym uwiędła jak przesadzona ruta w obcéj ziemi, niech więdnę, gdy taka wola ojca Gedymina, a Litwie przeto nie będzie zguba, lecz światło prawdy w miejsce płomieni Znicza ma zajaśnieć!

— Ciszéj!... — z przestrachem szepnęła oglądając się młoda kapłanka. Księżniczka umilkła, strwożona własną nieostrożnością; w jednéj chwili zdało jéj się, że zrozumiała potęgę wieszczego ducha młodéj dziewczyny, która wykarmiona mlekiem kapłańskiéj mądrości potrafiła wznieść się ponad bałwochwalczą cześć dla Znicza, jaką dlań sami nawet kapłani pałali:

— Już wiem — rzekła, ujmując jéj ręce — w tobie odzywa się wiara ojców, tyś branką, jedź ze mną,

bądź mi siostrą, już kocham cię, bo zdjęłaś mi ciężar z piersi...

— Mylisz się — odparła wieszczka ciszéj jeszcze niż wprzódy, ze smutnym uśmiechem oglądając się na wszystkie strony i z wyraźnym mówiąc pośpiechem: — ale kto mówił ci to wszystko o mnie?

— Co?... — zdziwiona rzekła księżniczka — miałażbym się mylić? — Mówiła mi to piastunka twoja! Mówiła, że kapłani chcą ciebie utaić i błagała, abym cię wzięła w opiekę.

— I ty, serdeczna kunigasa córko, gotowa to jesteś uczynić? — ze szczerą wdzięcznością, ale zawsze z niepokojem powiedziała kapłanka — otóż ja nie chcę, abyś mię niewdzięczną sądziła i powiem ci całą prawdę o sobie, lecz w téj chwili do ołtarza wracać muszę, gdzie...

— A, i mnie Witginsowa szuka tam może!.. — zawołała księżniczka, zrywając się z miejsca, ale musisz mi powiedzieć!...

— Jutro zapowiedz twym ludziom, że chcesz się w samotności przygotować do ofiary, przyjdź tu o wschodzie słońca; wtedy odpowiem na wszystkie twoje pytania—przerwała młoda wieszczka tonem pewnéj powagi, który był jéj właściwym — a teraz pójdź i idąc uważaj, abyś jutro nie błądziła w podziemiu...

Ujęła Gedyminównę za rękę i powiodła ją z celi swéj przez podziemną świątynię bokiem, okrążając zdaleka płonący w jéj krańcu na ołtarzu Znicz, ze schyloną nad nim wychudłą postacią swéj zwierzchniczki, aż ujrzawszy wejście do podziemia, młoda wieszczka za-

trzymała się i wskazując w tę stronę, puściła towarzyszkę, szepnąwszy z ciężkiem wstchnieniem:

— Jutro, o wschodzie... — i znikła w cieniach podziemia.

— Gołąbko, turkaweczko najmilsza, najukochańsza, najzłocistsza! a gdzieżeś mi się podziała na tak długo? — szeptała Witginsowa dość cicho przez uszanowanie dla świątyni, ale wywiódłszy zeń wychowankę, zarzuciła ją pytaniami bez liku, dla czego tak długo bawiła u wieszczki, że aż ona, Witginsowa, chciała już iść na poszukiwanie drogiéj swéj zguby, ale Marti odradzała, utrzymując, że w świątyni Znicza nic złego stać się księżniczce nie może, i że nie należy przerywać jéj rozmowy ze sławną wieszczką.

— No i cóż? cóżeś się dowiedziała?... — badała natarczywie ochmistrzyni już w gospodzie, wysławszy Marti po wodę.

— Dowiedziałam się — stanowczo rzekła księżniczka — że powinnam ślepo słuchać ojca Gedymina, ale jutro dopiero o wschodzie słońca muszę raz jeszcze udać się do stóp ołtarza Znicza, jeżeli co więcéj i dokładniéj o losach mych dowiedzieć się pragnę. A zatem połóżmy się spać coprędzéj, abym nie zaspała jutrzejszego wschodu słońca.

Księżniczka chciała uniknąć pytań ciekawéj kobiety i to jéj się udało, bo ochmistrzyni, chociaż zdziwiona trochę, że jéj wychowanka dowiedziała się tak mało przez czas stosunkowo dość długi, przyśpieszyła jednak natychmiast wieczerzę i chwilę spoczynku, aby nazajutrz dowiedzieć się więcéj. Nocleg, jak każdy

inny, dosyć był wygodnym dla pań wcale nie wymagających pod względem wygód; tembardziéj, że księżniczka kazała, pocichu, aby nie zgorszyć miejscowych ludzi, pozatykać i pozasłaniać nory, stanowiące mieszkanie ropuch, chcąc uchronić się od nocnych możliwych odwiedzin, pożądanych owszem przez pospolitych podróżnych, jako oznaka łaski bóstwa, ale wstrętnych księżniczce, oświeconéj już dostatecznie, aby bóstwo od ropuchy odróżniać. Pomimo téj częściowéj oświaty jednakże, bardzo ucieszyła się dostojna poganka, gdy wśród ciemnéj nocy zbudziło ją ze snu głębokiego zimne a delikatne dotknięcie węża, przesuwającego zwolna, lekko, pieszczotliwie, giętkie swe, a miękkie, bo tłuste kręgi, po jéj szyjce... Ucieszona kunigasówna pogłaskała czule wężysko ogromne, a spasłe niby baran tuczony, i zasnęła, pewna przychylności bogów, którą zwiastowało jéj zbliżenie poświęconego im płazu.

Ze świtem podróżne zerwały się z posłania, i wkrótce, dziewczęta w świeżych wianuszkach z ciemnéj ruty, a ochmistrzyni w świeżem *abgloime* na głowie, upiętem bardzo kunsztownie na lewem ramieniu, znalazły się u drzwi podziemnéj świątyni. W przysionku klęczał nieporuszony i prawie stężały od wczoraj kapłan wejdylota, mający jutro sprawować ofiarę Aldony. Towarzyszki usiadły na kamiennéj ławie, a młoda ofiarniczka podążyła jak wczoraj w głąb ciemnéj świątyni, o jednym tylko płomieniu, lśniącym w najdalszym jéj krańcu... płomieniu Znicza. Wszystko zatem odbywało się jak wczoraj, z tą tylko różnicą, że zagłębiwszy się w cienie, księżniczka zboczyła z drogi

wiodącéj do Znicza i schylonéj nad nim wychudłéj postaci, i obszedłszy najdaléj, jak było można, wbiegła bez tchu prawie do znanéj sobie od wczoraj celki, na krańcach podziemia ukrytéj. Złotowłosa wychowanica kapłańska, siedząca w zadumie przy ogniu, powstała na widok wchodzącego gościa: obie oglądały się niespokojnie, obie czuły, że nie miały czasu do stracenia:

— Oto jestem... mów! — rzekła Aldona.

— Czekałam cię... pytaj! — odpowiedziała Złota.

— Uspokoiłaś ducha mego, który szalał z żalu i niepewności losów swoich — żywo zaczęła księżniczka — za to pragnę ci się wywdzięczyć, wracając cię rodzinnym progom i rodzicom stęsknionym, a przytem zyskać sama serdeczną drużkę-przyjaciółkę, która mię na obcéj ziemi przez całe moje nie odstąpi życie. Aleś ty wczoraj powiedziała, że ja się mylę... mów zatem, w czemże to ja się mylę co do ciebie?

— Źle powiedziałam — z głuchem westchnieniem odrzekła Złota, siadłszy u nóg księżniczki, którą posadziła na jedynem, najwygodniejszem tu siedzeniu, to jest na głazie, zastępującym stołek czy też ławę. — Źle, bo może się i nie mylisz, córko Gedymina, a ja nieszczęsna błądzę w rozpaczy, nie wiedząc sama, w którą stronę skłonić mam rozdarte na poły serce moje.

— W którą stronę masz skłonić serce?... — powtórzyła zdziwiona kunigasówna.

— Tak jest, o córko Gedymina — płacząc rzewnie perlistemi łzami odrzekła Złota. — Nieszczęsna ja, nie wiem sama, czym jest branką Polką, chrześcijanką, czy też Litwinką i Perkuna sługą. Odkąd oczy

na świat otworzyłam, dwie kobiety szarpią serce moje, każda w swoję stronę: niańka Jagna opowiada mi potajemnie, gdy nikt nie słyszy, o chrześcijańskim Bogu, o Polsce, ojczyźnie mojéj, o moich rodzicach szlachcie, o matce, ślicznéj młodéj Zośce i ojcu Stachu i o dziadu starym, dzielnym rycerzu, co sobie wieś Hordkę i klejnot szlachecki, czyli znak rycerstwa, krwią własną na polu bitwy z Tatarami zdobył, i o braciszku Władku maleńkim... I opowiada, jak nas Litwini, pod nieobecność rodziców spaliwszy wieś i dwór, porwali, a ona, tuląc mię do piersi, zagnaną została na Litwę, gdzie przy podziale łupów przypadła w udziale na własność tutejszemu ciwunowi i odtąd wraz ze mną pozostawała w zamku Pullen. A mnie, w miarę jak rosłam, coraz bardziéj przygarniała do siebie wieszczka tutejsza, aż postanowiła mądrość swą przelać we mnie i ducha swego wieszczego uczynić mię spadkobierczynią, ku czemu oddawna napróżno szukała zdatnéj młodéj dziewicy.

— Jakto? a więc ona chyba, chociaż wieszczka, nie domyśla się wcale nauk, jakie daje ci niańka Jagna, bo nie pozwoliłaby na nie zapewne? — żywo pytała księżniczka.

— Ani jéj się marzy nawet o tem — westchnęła, Złota — ani marzy jéj się, że ja prawdziwie chrześcijanką jestem, bo Jagna zaręcza, że ochrzczoną byłam i wyuczyła mię zasad chrześcijańskiéj wiary, o ile tylko zna je sama; a ja kryję się, jak mogę, z tą nauką, bo gdyby poganie prawdę odkryli, wtedy niechybne więzienie i śmierć w ogniu i męczarniach, gdybym wiary

chrześcijańskiéj odstąpić nie chciała, czeka nie tylko mnie, co mniejsza, bo o życie nie dbam, ale także i niańkę moję Jagnę, ukochaną opiekunkę, która niemowlęciem z ognia mię wyratowała i pielęgnuje w każdéj chorobie, i uczy, i kocha, jak własną córkę!

— To prawda! — ze drżeniem przyznała księżniczka — ale dla czegóż ty tak nie dbasz o życie? Jeżeli chodzi ci o wyrwanie się z pomiędzy pogan, to niańka twoja poradziła już na to: nie bój się, już ja potrafię sprawę tę u ojca Gedymina załatwić, pojedziesz ze mną do Polski, tylko tymczasem siedź tu cicho i bądź ostrożna, żeby kapłanka i kapłani nie domyślili się niczego, a zaufaj mi!

— Ufam — westchnęła Złota — i wierzę, iż potrafisz uczynić wszystko, co obiecujesz; ale nie wiesz jeszcze wszystkiego, nie w tem jest nieszczęście moje — tu rzęsiste łzy polały się strumieniem z błękitnych ócz młodéj chrześcijanki, po licu różanem choć wyszczuplałem w postach na cześć Perkuna; pogańska księżniczka patrzyła na nią z przerażeniem:

— Jest jakaś kobieta — mówiła łkając Złota — jakaś kobieta o serdecznych, modrych oczach i okrągłéj, miłéj twarzy, o uśmiechu, który za serce chwyta, a ta kobieta zowie się sama moją matką...

— Co?... gdzie?... — zawoła księżniczka zdziwiona. Złota ścisnęła ramionami:

— Nic nie wiem — odrzekła płacząc — ta kobieta, do któréj lgnie serce moje, zjawia mi się bardzo nie często, ale zawsze nie zatarte pozostawia w sercu mem wrażenie...

— A!... we śnie?.. — spytała ciekawie Litwinka zabobonna.

— Ale gdzieżtam, — zaręczyła Złota — najzupełniéj na jawie, tylko zawsze tak tajemniczo i skrycie, że nikt prócz mnie widzieć jéj nie może. Widuję ja tę kobietę od najmłodszych moich lat. Dawniéj pieściła mię tylko, ściskała, i płakała nademną, oblewając mię łzami i przykazując tajemnicę i milczenie co do jéj odwiedzin; ale gdy podrosłam i do rozsądku przyszłam, zaczęła ze mną rozmawiać i opowiadać o sobie i o mnie. Powiada ona, że Jagna jest najserdeczniejszą i najszczerszą sługą i opiekunką, i samą świętą prawdę mówi, ale że jest w błędzie: prawdą jest albowiem, że Jagna przygnana tutaj była z maleńkiem niemowlątkiem na ręku, ale w rozpaczy swéj, w strachu, dochodzącym do obłędu, ani się spostrzegła, kiedy jéj to dzieciątko... zamieniono. Wiadomo zaś, że maleńkie dzieci są wszystkie do siebie podobne, o tyle przynajmniéj, że częstokroć tylko rodzona, kochająca matka jest w możności różnicy dopatrzeć: otóż Jagna, zmordowana długą podróżą, zbita, poraniona, w pół przytomna, różnicy téj nie dopatrzyła, gdy podczas głębokiego, kamiennego snu po nadmiernem wysileniu, wysunięto jéj z rąk jedno dziecko, a wsunięto drugie, przebrawszy je najzupełniéj w powijki i poduszkę tamtego, i wybrawszy ku temu dziecinę Jagny po długiem szukaniu dla tego właśnie, że obie te dziewczynki były jasnowłose i do siebie przeto tem podobniejsze. Zmordowana Jagna nie była matką, któraby zamianę sercem odgadła.

A wszystko to własnemi rękoma uczyniła ta kobieta, matka moja!

— Ależ dla czego i po co? — przerywając opowiadającéj zawołała księżniczka.

— Dla tego, ażeby ocalić mię przed niedobrymi ludźmi, którzy odebraliby mię jéj nazawsze, gdybym pod jéj opieką wyrosła, a ona kocha mię bezmiernie, gdyż jedyną pozostałam jéj z kilkorga utraconych dzieci, i przeto woli obce dziecko Jagny wychować, niż córkę i oddać je potem na zawsze do obcych ludzi, a mnie mieć w pobliżu tu pod opieką bogów, choć widuje mię zaledwo kilka razy do roku...

— A pewną przynajmniéj jestem, że ci się krzywda nie dzieje — mówiła mi jeszcze za ostatniem ze mną widzeniem — bo kapłanka wieszczka tutejsza wie wszystko i ulitowawszy się mojéj niedoli, przyrzekła mi nad tobą opiekę.

— Ach... i czuwała nad tobą tak dobrze, że nie wie, iż chrześcijanką jesteś — zawoła księżniczka i natychmiast dodała. — Ależ... jeżeli prawdą jest, co ta tajemnicza kobieta mówi, to ty chrześcijanką *nie* jesteś, tylko tamta dziewczynka, bo ona chrzczoną była, nie zaś ty!

— Tak, ale ja oświeconą jestem w chrześcijańskiéj religii, ja wierzę w Boga chrześcijan, ja pragnę chrztu, ja, która przytem zmuszoną jestem codziennie ofiary składać bałwanom i służyć płazom, jeżeli nie zechcę wydać się z moją wiarą i przez to skazać na śmierć niechybną w męczarniach obie kobiety, które kocham serdecznie; bo już kapłani potrafiliby dojść po

nitce do kłębka, gdybym jednem słowem się zdradziła, albo odmówiła służyć bałwanom. Teraz wiesz wszystko, powiedzże, czy nie jestem nieszczęśliwą nad nieszczęśliwemi i czy ty poradzić na to możesz?...

Tak mówiła Złota wieszczka, zalewając się łzami i białe szczupłe ręce łamiąc rozpacznie. Pogańska księżniczka zerwała się z miejsca i żywo chodzić zaczęła tam i napowrót po celi, trąc czoło palcami w namysłach:

— Niema nad czem myśleć — zawołała po chwili stanowczo — zrobimy tak, jak ci już powiedziałam: bądź cierpliwą czas krótki jeszcze, a już ja, wróciwszy do domu, wyproszę u ojca Gedymina, że mi da ciebie na towarzyszkę, zaspokoiwszy sutemi ofiarami kapłanów; pojedziesz ze mną do Polski i obie razem chrześcijankami zostaniemy.

— A matka moja?... ta, która kocha mię tak serdecznie, że byle osłonić mię przed krzywdą, potrafiła wyrzec się pieszczot jedynego dziecka, i żyć tylko krótkiemi chwilkami szczęścia, gdy uda jéj się zwieść baczność ludzką i przytulić mię do łkającéj z tęsknoty piersi?...

— Matka twoja z nami pojedzie!

— Niestety! już ja dawniéj pytałam, czybyśmy uciec razem nie mogły, a ona zaręczyła, że to niepodobna; ma ona rodzinę, która zniewolić ją do posłuszeństwa umie; a co najgorzéj, to że matka moja czci gorliwie po dawnemu stare bóstwa litewskie, ma w świętem poważaniu węże i żaby, i aniby chciała ani mogła żyć od nich zdala. A nakoniec trzeba ci wiedzieć, że

jéj marzeniem, dumą i rozkoszą jest właśnie mieć mię kapłanką i sławną na całą Litwę wieszczką. Powiada ona, że wtedy dopiero nadszedłby dla niéj dzień pomsty, tryumfu i szczęścia, gdyż wtedy jawnie uznałaby mię córką swoją i osłonięta moją opieką nie lękałaby się nikogo i przez resztę życia przy mnieby żyła szczęśliwa.

— Ach!... oczy twoje promienieją, gdy mówisz o matce; już ja wiem, co uczynisz... — rzekła księżniczka, kiwając głową poważnie.—Kochasz ty matkę, jak ja ojca kocham mojego i przeto wszystko stanie się wedle jéj woli: zostaniesz Znicza wielką kapłanką, wieszczką potężną na cały świat, jak szeroką i długą jest stara Litwa!...

— Wielki Boże, chrońże mię od nieszczęścia! pani, nie mów tak! Cóżem ci zawiniła!... — zakrzyknęła na to Złota w najwyższem przerażeniu. — Nie dajże mi Boże dożyć téj zgrozy, abym pod uciskiem męczarni zaparła się mego Boga jedynego! niechaj raczéj natychmiast śmierć mię zabierze!

— Złota moja, cóżem powiedziała, aby cię tak przestraszyć? — odparła zmieszana księżniczka, pieszcząc i całując zapłakaną...

— Och... snać istotnie nie wiesz co powiedziałaś, wiedz, że dla chrześcijan odstąpić wiary i bałwanom się kłaniać, toć ostatnia hańba i duszy zatracenie — płakała Złota — i w tem też nieszczęście jest moje, że dzisiaj kłaniać im się muszę, a choć sama sobie perswaduję, że czynię to nie dla dobra własnego, bo wtedybym nie czyniła, lecz dla ocalenia matki i niańki, i że jeszcze ochrzczoną nie jestem... to przecież sumienie po-

koju mi nie daje i cierpię, jak potępiona, w takiem serca rozdarciu i czuję dobrze, iż tylko śmierć męczeńska zmazać może tę winę moję, że pozornie bałwanom się kłaniam.

— Prawda!... jeżeli tak jest, toś ty istotnie bardzo nieszczęśliwa, i ja teraz doprawdy nie wiem, co czynić, aby ci w tem nieszczęściu dopomódz...—ze smutkiem i z trwogą w głosie przyznała pogańska księżniczka i nic wiedząc, coby lepszego uczynić dla pocieszenia rozżalonéj, objęła ją ramionami, przytuliła do siebie i całując a ściskając, rozpłakała się sama rzewnie.

— To okropność — szepnęła płacząc — kryć się i udawać przed wszystkimi, i przed ukochaną matką, która jeżeli jest tak zapamiętale przywiązana do starych bogów, to znienawidzieć gotowa córkę chrześcijankę...

— O!... z pewnością!... — jęknęła Złota.

— I przed niańką serdeczną, która rozpaczałaby, gdyby wiedziała, że jéj zabrano ukochaną dziecinę, a ona obcą niańczyła... — mówiła sama do siebie Aldona.

— Onaby rozum z rozpaczy straciła!... — zapłakała Złota.

— I przed wieszczką zwierzchniczką, która gotowaby, przez zaślepione do Znicza przywiązanie, zgubić każdego chrześcijanina, choćby córkę swą lub siostrę rodzoną... Biednaś ty, och, biedna i nie możesz nawet nikogo się poradzić, nikomu użalić...

Złota podniosła na te słowa zapłakaną ale i zdziwioną teraz twarzyczkę.

— Tak — rzekła — wczoraj rano jeszcze sądziłam, że skonam wprzódy, niż zwierzę się komu z nieszczęsnéj doli mojéj, gdyż każde słowo zgubić może matkę i niańkę; a teraz opowiedziałam tobie wszystko... jakże to może być, że ja się ciebie nie boję?

— To znaczy, że serce twoje poczuło, iż ci szczerze siostrą być pragnę, że cię kocham, jak własną!... — mówiła poganka, ściskając i oblewając łzami towarzyszkę.

— Siostrą?... ty?... wielkiego kunigasa córka? siostrą nędznéj dziewczyny, która sama nie wie, czem jest?... — odparła, oddając pieszczoty chrześcijanka.

— Och, nie zapominaj, że ja nieraz z zakonnikami chrześcijańskimi rozmawiam, wiem ja od nich, że u chrześcijan prawdziwych książęta i królowie potężni i ich żony, siostry i córki, siostrami i braćmi są wszyscy najuboższym ludziom, bo tak religia ich każe! — zapewniła księżniczka.

— Wiesz o tem?... A więc nie jesteś ty już zupełną poganką i dobrze mówisz, że ja to przeczuć musiałam, kiedy powiedziałam ci całą o mojem nieszczęściu prawdę! — rzekła Złota i czuléj jeszcze ściskać Aldonę zaczęła, gdy ta brew marszcząc, po chwilowym namyśle zawołała:

— Już wiem, co czynić nam trzeba: oto ja teraz odjadę do ojca, a ty przez Jagnę zawiadomisz mię, kiedy i gdzie zobaczysz się z twą matką; trzeba koniecznie, jak się tylko z nią zobaczysz, wyprosić u niéj drugie widzenie, wymyśl jaki pozór na to, powiedz, że jéj zwierzysz jaką ważną tajemnicę; wtedy ja, uprze-

dzona przez Jagnę, zjawię się także potajemnie i niespodzianie tam, gdzie ona ci miejsce widzenia naznaczy, i zapewnię jéj opiekę mego ojca Gedymina i we dwie jak ją prosić zaczniemy, to ona szczerszą i śmielszą będzie, opowie nam, kto ona jest i kto to ją tak gnębi, że aż dziecko jedyne chce jéj zabrać. We trzy wtedy będziemy mogły coś uradzić. A być może jeszcze, że gdy ja przyrzeknę, iż na całe życie będziesz nieodstępną towarzyszką królowéj polskiéj, to los tak świetny podoba się twéj matce i ona chętnie ci dopomoże wydostać się z tego czarnego zamczyska, z mocy kapłanów i bóstw, którzy wszyscy razem przestraszają mię, co ci zwierzam w największéj tajemnicy. Bardzo być może, że kochająca matka będzie wolała widzieć swe dziecko szczęśliwą i wielką panią, niż mordujące się przy ogniu świętym, niemniéj przeto wyżerającym oczy swym kapłankom: ja muszę widzieć się z twą matką, a wtedy zaręczam ci, że wszystko dobrze będzie! Tylko ty pomyśl, jakim sposobem i gdzie mogłabym ją zobaczyć!

Aldona wypowiedziała te słowa z głębokiem przekonaniem, sądząc matkę Złotéj wedle swego ojca Gedymina, który ulubionéj córce nic odmówić nie umiał, a ta jéj pewność wpłynęła na zrozpaczoną Złotą: podniosła ona głowę, otarła oczy fartuszkiem, brzęczącym przy téj robocie dzwoneczkami i patrząc badawczo w oczy swéj pocieszycielki, szepnęła:

— A może to wszystko tak będzie... modliłam się, modliłam po chrześcijańsku, a może wymodliłam sobie, żeś ty jak anioł pocieszyciel zstąpiła do tej jaskini?...

— I to być może — potwierdziła stanowczo księżniczka — więc przyślesz mi Jagnę, a ja tymczasem wracać muszę do moich towarzyszek.

Aldona puściła z ramion przyjaciółkę, powstając z miejsca, gotowa do czynu, ale Złota stała nieruchoma, nieśmiałym i niepewnym wzrokiem na nią spoglądając... nie odwzajemniając nawet ostatniego uścisku:

— Co to? O czem myślisz? — spytała księżniczka.

— Tak, będę już szczerą zupełnie, bo zginę inaczéj i ich obie zagubię! — zawołała Złota, rzucając się do nóg dostojnéj poganki — pani moja, wszystko, co powiedziałam, prawdą jest, nie dodałam tylko, że matka jest tutaj w Pullen obecnie właśnie, jak corocznie ofiarą pozorując swe odwiedziny: jutro o brzasku przed wschodem słońca przyjdzie tu do mnie, tak jak ty przyszłaś, a mnie tymczasem z rozkazu saméj kapłanki i także z woli matki zabroniono z podziemia wychodzić, abym na świecie jéj nie ujrzała o jasnym dniu i ludzi nie spytała o nią i nie dowiedziała się, kto ona?... Tak już to od moich dziecinnych latek bywa, a Jagna jest przez ten czas na robotę daleko wysyłana, aby nas nie zeszła... i teraz niema jéj w Pullen.

— A więc kiedy tak, to bądź o resztę spokojna; już ja dam sobie radę z twoją matką, niech ją tylko spotkam tu u ciebie przed świtem — zapewniła z pewną dumą córka kunigasa, nie wątpiąca o potędze i wpływie ukochanego ojca, ani o swoim własnym wpływie na niego. Dwie młode dziewczyny ponowiły uściski z siostrzanem prawdziwie uczuciem, poczem Złota,

jak wczoraj, przeprowadziła Aldonę przez część świątyni i wskazawszy jéj wyjście zdaleka, sama wróciła do swéj celi, uwięziona w niéj niejako przez czas pewien, aby nie mogła na jasnym świecie ujrzeć swéj matki.

XIX.

Kunigasówna, ujrzawszy oczekujące w przysionku towarzyszki, przypomniała sobie, że za chwilę trzeba będzie odpowiadać na tysiączne pytania ochmistrzyni, któréj wtajemniczać w swe sprawy nie miała wychowanka żadnéj ochoty. Inna dziewczyna, chrześcijanka, starannie wychowana, byłaby się nie żartem zakłopotała w takiem położeniu, ale młoda poganka daleką była od chrześcijańskich skrupułów pod względem zatajenia przed ochmistrzynią prawdy, którą dla ojca Gedymina postanowiła zachować. To też bez namysłu zaspakajała ciekawość gospodyni, rozpowiadając przeróżne zmyślone na prędce bardzo zręcznie bajki, aż nareszcie, zaledwo wszedłszy do gospody, aby uniknąć dalszéj gadaniny, oświadczyła, że jest niezmiernie senną z powodu zbyt rannego wstania i zasnęła, ułożywszy się wygodnie.

Późniéj w czasie krótkich chwil posiłku Witginsowa nie śmiała już wypytywać zbyt natarczywie wobec Marti; następnie Aldona zapowiedziała przed zaśnięciem, że jutro zamierza spać długo, aż do godziny ofiary, aby odespać trudy podróży. Skutkiem takiego zapowiedzenia było, że obie towarzyszki księżniczki zaspały także nazajutrz, nie chcąc wstawać, aby jéj nie

przebudzić. Widząc je śpiące, przy bladem świetle wiecznie płonącego w izbie bez okien łuczywa, Aldona wstała cicho, wdziała na siebie białe od stóp do głowy odzienie Witginsowéj, wiszące na kołku, zawinęła na głowie białe *abglojme* mężatki i tak ubrana, jak mężatka, wysunęła się cicho z izby i podążyła do świątyni, zawsze otwartéj, z jednako zawsze płonącym Zniczem. Przebranie to dawało pomysłowéj księżniczce dwojaką korzyść, najprzód nikt pod niem nie mógł się domyślać córki Gedymina, a potem zabierając odzienie ochmistrzyni, zabezpieczyła się tem samem od pogoni, w razie gdyby poranna wycieczka została przez Witginsową dostrzeżoną. Okoliczność ta ostatnia i przypuszczalny przestrach dworskiéj pani, gdy ujrzy nieobecność powierzonéj sobie księżniczki, zdały się jéj nawet tak zabawne, że o mało śmiechem nie wybuchnęła i przyrzekła sobie wszystko ze szczegółami opowiedzieć ojcu Gedyminowi ku wspólnéj uciesze; potem wesoło a swobodnie, choć cicho, wsunęła się do świątyni, poznawszy już w zamku wszystkie zakąty i wiedząc, że nic jéj tu niemiłego spotkać nie może.

W przysionku klęczał jeszcze od onegdaj Wejdylota nieruchomy aż do chwili, w któréj należało mu iść sprawować ofiarę. Aldona minęła go, potem minęła ołtarz płonącego Znicza, okrążając go z daleka i przebiegłszy znane już sobie zaułki podziemia, powoli i pocichu popchnęła drzwiczki, wiodące do celi Złotéj. Na głazie, plecami do drzwi, twarzą do ogniska zwrócona, siedziała tu już kobieta w biel mężatek odziana, a u jéj stóp Złota, przytulona do niéj, jak wczoraj do Aldony,

ale niespokojne rzucająca na drzwi spojrzenia. To też ujrzała wchodzącą natychmiast, a po krótkiéj chwili podziwu poznała ją, mimo przebrania, i oczyma dała znak, że w sam czas przychodzi. Ale jakkolwiek i ten podziw i ów znak porozumiewawczy skryte były i szybkie, przecież oko matki dostrzegło ich natychmiast, i nieznajoma, przyciskając do piersi córkę, a idąc za kierunkiem jéj wejrzenia, odwróciła się ku drzwiom i... dwa okrzyki zdumienia odbiły się jednocześnie od starych kamiennych sklepień: Witginsowa ze Złotą w ramionach i księżniczka Aldona poznały się wzajem od jednego rzutu oka, dowodząc tem samem, że pogańska mężatka może mieć dość dowcipu, aby posiadać dwa ubrania i biegać w jednem po świecie, gdy drugie wisi na kołku przy jéj łóżku, i że pogańskie dziewczątko miało dość przebiegłości, aby pozbyć się zdradzieckich dzwoneczków, gdy chodziło o spłatanie figla ochmistrzyni, nazbyt rozpieszczającéj swą wychowankę.

Nastąpiły gwałtowne wyjaśnienia; gwałtowność wszakże nie ze strony ochmistrzyni pochodziła. Chciała ona wprawdzie coprędzéj nasrożyć się i skrzyczeć obie panny, mianowicie tę, która w najnieprzyzwoitszy pod słońcem sposób przywdziała niewłaściwe przebranie, co już grubem, niesłychanem nawet było wykroczeniem, ale śmiała z natury Aldona nie dała jéj na to czasu, bez namysłu zarzuciła tylko ręce na szyję dworskiéj téj damy i nie chcąc być przez nią połajaną, a wiedząc dobrze, iż na to zasłużyła, zasypała ją sama gradem wymówek, najprzód, że zły przykład daje Marti, biegając po nocy i podstępnie zostawiając, w celu oszuka-

nia wychowanic, codzienne ubranie na kołku i futra na ławie ułożone tak, jakby sama w nich spała, a potem sypała znów Aldona gradem zapytań, dotyczących Złotéj. Ta zaś tymczasem, schwyciwszy matkę oburącz z drugiéj strony za szyję i ściskając ją a całując, pomagała swéj sprzymierzonéj ile mogła. Tak uwięziona i tak badana biedna kobieta straciła zupełnie powagę i gniewne swe zacięcie, a pod uściskami córki i wychowanicy wyznała im wszystko, co wiedzieć chciały:

— A i cóżem nieszczęśliwa miała robić — usprawiedliwiała się ze łzami — kiedy Witgins zapowiedział mi, że jeżeli będziemy mieli córki, to on na nich majątek chce zrobić, wydając każdą za mąż bogato, mianowicie Tatarom, którzy najlepiéj płacą za piękne kobiety, gdyż potem z wielkim zyskiem do bogatych tureckich haremów je odprzedają... Gdy to usłyszałam, ogarnął mię taki żal, taki strach, że się w płaczu utulić nie mogłam i pocichu przysięgłam sobie, że żadnéj mojéj córki nie dam do haremu, bo tam są okropne zwyczaje i mąż rozgniewany lada o co zwykł żonę nieraz najniewinniejszą, wpakowawszy w worek wraz z dzikim kotem, wrzucać w morze!...

— Och!... — krzyknęły obie dziewczyny w najwyższem przerażeniu.

— Tak, tak, to jest czysta prawda — zapewniała Witginsowa — to też postanowiłam, że nie narażę mojéj córki na taką okropność, i gdy dali mi bogowie ciebie, Złota moja, już odtąd o niczem nie myślałam, tylko aby cię uchronić od nieszczęścia, aż wymyśliłam to, co zrobiłam: skupowałam na gwałt niewolnice z dziećmi

chcąc wyszukać podobną do mojéj dziewczynkę, co prędzéj, aby zamiany nie spostrzeżono, a że potem odprzedając wypielęgnowane nie traciłam na tem, więc Witgins mi wcale tego nie bronił i nieraz hurtem kupowałam i niewolników i chłopaczków małych, choć potrzebowałam dziewczynki, a czyniłam to dla niepoznaki. Tak właśnie kupiłam i Butowda z jego piastunem. Ale długo nie mogłam nic odpowiedniego znaleźć, aż w strapieniu mem przybywszy do Pullen, dla złożenia tutejszym bogom błagalnéj ofiary z niemowlęciem mem na ręku, ujrzałam niewolnicę z dzieciną, jakiéj szukałam. Natychmiast udałam się do tutejszéj wieszczki, opowiedziałam o mojem strapieniu i przyrzekłam córkę moją bogom tutejszym na kapłankę poświęcić, bylebym pod ich opieką ocalić ją mogła od haremu. I stało się, jak prosiłam, u Jagny zabrana Baniuta przecież nie ma krzywdy u mnie, a zawsze co cudza to cudza, jak przyjdzie jéj iść za mąż w świat daleko, nie będzie mi serce pękało.

— Toś ty taka niegodziwa! — zawołała oburzona księżniczka — to więc moja Baniuta, kochana towarzyszka méj młodości, jest tem porwanem Jagnie i zamienionem dziecięciem!... A widzisz!... nie darmo ja tobie tylekroć wyrzucałam, że ty nie masz dla Baniuty matczynego serca, ty, zła kobieto!

— Ale gdzież tam nie mam, albo to jéj źle u mnie? A że własne dziecko kocham bardziéj, niż cudze, któż temu dziwić się może!... — wymawiała się Witginsowa. — Zresztą, wszak to Polka, chrześcijanka z rodu, to i czegóż my jéj mamy żałować!

Ale na to już obie dziewczyny oburzyły się gwałtownie:

— A ty zła, niewierna sługo Gedyminowa — łajała księżniczka — to ty na Polaków i chrześcijan tak wygadujesz. A nie miałaś to rozkazu od ojca Gedymina, aby mi przeciwnie jak najlepiéj o nich mówić, żebym nie spierała się wyjść za polskiego królewicza i do Polski jechać?

— Ach... matusiu — słodko mówiła Złota—wierz ty mnie, że i Polacy i chrześcijanie, jeżeli są uczciwi i praw swego Boga słuchają, to także mogą być zacnymi ludźmi i my nie powinniśmy ich nienawidzieć. Dawniéj na początku wszyscy ludzie, i zwierzęta, i ptactwo, całe stworzenie żyło z sobą w zgodzie i późniéj kiedyś po wiekach długich też tak samo będzie!

Słuchając tego, Witginsowa tuliła uszy, jak wystraszony zając, bo słowa Aldony prawdą były, a słowa Złotéj, jako słynnéj już wieszczki, mimo młodości, wielką też miały powagę.

— Za karę, kiedyś taka — mówiła Aldona — kiedy Baniuta nie jest twoją, wezmę ją sobie ze wszystkiem; dla niepoznaki zapłacę Witginsowi za nią posag taki, jakiby bogaty zięć zapłacił, ale muszę się dobrze potargować, boby mię chciwiec obdarł! Albo nie!... Nic mu nie dam! Rozgłoszę tylko wszystko i ojcu i Witginsowi prawdę powiem, i chciwiec musi mi darmo Baniutę oddać, jako brankę polską, która ma ze mną wedle układów wracać do Polski!

— Rybko złocista moja, nie czyń tego, bo mię i Złotą zagubisz! — jęknęła Witginsowa, rzucając się do

nóg Aldony. — Toć, on wszystkiego się dowiedziawszy, natychmiast Złotą ztąd zabierze i Tatarom odda, na których też przybycie czeka z Baniutą, a nawet zaręczam ci, że uprze się, i Złotą i Baniutę zabierze, wyda po swojemu, dla zysku utrzymując, że obie są jego córkami! Zobaczysz, że tak będzie! Znam ja jego.

— No dobrze już, dobrze — wzruszona jéj żałością rzekła Aldona — a więc odkupię od niego Baniutę i nie powiem nic nikomu, prócz ojcu Gedyminowi, który jak wiesz, umie zachować tajemnicę. Ale ty za to musisz mi pomódz wydostać Złotą z tego posępnego zamczyska, bo i ją kocham jak siostrę, i ją zabiorę z sobą do Polski; nie milejże ci będzie wiedzieć, że dziecko twoje jest szczęśliwą przyjaciółką polskiéj królowéj i wielką panią, niż że jéj przez całe życie ogień, choćby i święty, piękne oczy wyżera?

Ostatnie te słowa wywarły wielkie na biednéj matce wrażenie. Z konieczności, ze strachu przed gorszym losem, wmawiała ona w siebie i w Złotą, że szczęściem i zaszczytem jest zostać wieszczką potężną, któréj kapłani sami i kunigasy radzą się w trudnych wypadkach. Ale ilekroć spojrzała na postać suchą a obrzmiałą twarz wielkiéj wieszczki w Pullen, na jéj czerwone jak u chorego zwierzęcia oczy... ilekroć była świadkiem dzikich a bolesnych szałów, jakim taż wieszczka podlegała z wysilenia i znużenia, w takich razach zawsze dreszcz wstrząsał Witginsową na myśl, że i jéj młoda i śliczna Złota córeczka na takie samo życie jest skazana w podziemiu, tak samo wyglądać będzie i cierpieć tak samo, do czego najmniejszéj nie ma

ochoty. Bo niechęci swéj do kapłańskiéj, wieszczéj wielkości nigdy Złota przed matką nie taiła, nie wyjawiając jedynie głównéj przyczyny wstrętu do służenia bóstwom pogańskim, gdyż przyczyną tą była wiara chrześcijańska, głęboko od dzieciństwa zaszczepiona w duszyczkę dziewczęcia przez Jagnę.

Matka sądziła, że dziewczątko pragnie tylko milszego niż kapłańskie życia i cierpiała na tem mocno, że dać go jéj nie mogła z obawy dzikiego kota i worka tureckiego. Do Aldony i do Gedymina nigdy zwrócić się o pomoc nie śmiała, wiedząc dobrze, iż żadna potęga, ani kunigasowa nawet nie mogła w Litwie przeciwić się woli ojcowskiéj, ojciec miał tam prawo życia i śmierci nad wszystkiemi dziećmi, a córki o tyle podrzędniejszemi były od synów, że w braku ojca, stawały się własnością braci, i własność tę nieraz bracia wydzierali sobie wzajem gwałtownie, gdyż można było wziąć dobrą zapłatę za siostrę od przyszłego szwagra.

Teraz zatem, ujrzawszy w Aldonie tajemniczą sprzymierzoną siłę, za któréj współdziałaniem można było na zawsze utaić Złotą przed Witginsa świadomością, i jednocześnie wydostać niedoszłą kapłankę z głębi czarnych murów Pullen, z rąk kapłańskich, Witginsowa uściskała tylko Aldonę na nowo, zapewniając, że całą duszą przyłoży się do sprawy, byle tylko tajemnica Baniuty i Złotéj dotycząca pozostała na zawsze tajemnicą dla Witginsa.

XX.

Wkrótce po wschodzie słońca, złamany na ciele postem i bezczynnością, ale wzmożony na duchu wejdylota, rozpoczął ofiarę Aldony, zaczynając od ofiarnéj czaszy, jak zwykle; potem porządkiem właściwym szły uroczyste obrzędy, aż uczta dla ludu zakończyła książęcą ofiarę.

W chwilę późniéj wyjeżdżała Aldona z Witginsową, z Marti i kilku dworzanami z Pullen, a w parę dni już wyszeptała na ucho ojcu Gedyminowi całą opowieść swéj podróży, z mocnym naciskiem na Złotą wieszczkę, którą cały kraj okoliczny zna jako brankę polską, porwaną z rąk Jagny, przypędzonéj litewskim rzemieniem z Polski, o czem Jagna umyślnie rozpowiada na wszystkie strony, gdy tymczasem kapłani, wychowawszy sobie też Złotą na kapłankę, usiłują zataić i zatrzymać ją jako Litwinkę i już wysłańcom kunigasowym podali liczbę i imiona polskich brańców, znajdujących się w Pullen, między którymi wcale Złotéj nie było. Przybliżywszy jeszcze bardziéj usta do ojcowskiego ucha, Aldona dopowiedziała wprawdzie i resztę historyi tajemniczéj, która dowodziła, że kapłani niekoniecznie niesłusznie chcieli zatrzymać Złotą, jako Litwinkę...

— Ale w takim razie, czemuż ci niedołędzy wejdyloci nie postarali się wcześnie jakim bądź sposobem zmusić do milczenia tę jakąś starą, roznoszącą plotki o brance, o którą teraz gotowi mi się polscy komisarze upominać tem bardziéj właśnie, że jest tak słynną! —

zawołał na to Gedymin, zrywając się z ławy i pięścią uderzając w stół, aż dzban z ałusem zachwiał się na nim. I chodzić zaczął miotany gniewem na wejdylotów, sprzeciwiających się jego planom na wszelki możliwy sposób, tupał nogami, klął, wymyślał, wygrażając pięścią, poddając się wszelkim oznakom zewnętrznym gniewu, jak to jest zwyczajem u ludzi nieokiełznanego charakteru... Aż nareszcie zakrzyknął na pachołka, porządkującego łaźnie i odesławszy córkę, rozkazał „tę niegodziwą starą czarownicę" przywołać.

— Hej! a idźcie no do kunigasa, coś tam na was gniewny, musieliście chyba ałus źle nawarzyć, Witginsowa żono! — krzyknął pachołek, wpadając do gospodarskiéj izby i sam wystraszony gniewem pana, lecz zarazem zadowolony, że dostanie się przecież coś i téj surowéj gospodyni, która wszystkich krótko trzymać umiała. Witginsowa, wiedząc dobrze o co idzie, poszła i zniosła w pokorze gniew pana na „chytre złe baby, które oszukując własnych mężów, gniewają bogów i przeto gubią kraj, bo z małych źródeł wielkie powstają rzeki, a z niesnaski między komisarzami polskimi i wejdylotami o jedną marną brankę może stać się rozerwanie z takim trudem zawiązującéj się z Polakami przyjaźni."

— Teraz — kończył kunigas — jak ja się w to wdam i każę wejdylotom oddać Złotą, oburzą się oni na mnie na nowo, właśnie gdy przecież ułagodziło ich się cokolwiek sutemi ofiarami Aldony; zatem ja nie chcę o tem wiedzieć, ale ty, coś zaplątała, to rozplącz; jedź po cichu do Pullen, jedź do samego Krewe-kre-

wejty, rzuć mu się do nóg, wypłacz, wybłagaj, aby oddano ci córkę, która kapłanką Znicza być nie chce. A gdy ją dostaniesz, to choćbyś mi w kamień miała się z żałości obrócić, oddasz ją komisarzom polskim, jako brankę, ponieważ za taką połowa Litwy zna ją jak słyszę! Rozumiesz?

— Rozumiem, panie, ale — rzekła kobieta, drżąc na dobre — jeżeli ja tylko pisnę, że chcę Złotą wziąć, a zwłaszcza, że ona sama kapłanką być nie chce, to wejdyloci rozsrożeni, choć ona jeszcze kapłanką święconą nie jest, uznają to za zdradę bogów i... oko ludzkie nie ujrzy więcéj Złotéj... Nie można wyjawiać im, że chcemy kapłankę odebrać!... Zmiłujcie się, o panie!.. — Błagała składając ręce, jak śmierć blada ze strachu o jedyne dziecko. Kunigas spojrzał i żal uczuł:

— To nie wyjawiaj, rozplącz skrycie, jak splątałaś, byle komisarze brankę dostali—mruknął i odwrócił się, odprawiając ją skinieniem. W trudnem tem położeniu kunigas, nie wiedząc jak wyjść z kłopotu, wzywał w pomoc matczynéj miłości, która podobno za mądrość staje. Witginsowa odeszła płacząc, ale gdy weszła do izby, gdzie Aldona czekająca łzami się zalała na jéj widok, gospodyni żwawo otarła oczy:

— Niema co, jedno tylko zrobić tu można — rzekła — Butowd dzielny jest, wychowałam go, jak syna, Złota jest mu siostrą, on mi zawsze dobrem był dzieckiem, trzeba posłać do niego, aby ratował Złotą!.. trzeba posłać na granicę!

— Gdyby chodziło o Baniutę, przyleciałby lotem na swym Sokole koniku, ale Złota, cóż go obchodzi?

On jéj nigdy nie widział nawet! — smutno zauważyła Aldona.

— Jak się dowie, że nie Baniuta, tylko Złota jest moją córką, to ona go obejdzie — upierała się Witginsowa. Aldona wzruszała ramionami:

— Chyba gdyby Baniuta poprosiła go sama o to... — powiedziała. — Tembardziéj, że i tak nie obejdziesz się w téj rzeczy bez niéj, gdyż wątpię, czy wiesz dokładnie, gdzie szukać Butowda; on pod rozkazami Kiejstuta tu i tam ukazuje się i działa na granicy; a Baniuta wie na to sposób, bo sama słyszałam, jak Butowd do niéj mówił:

— Jeżeliby ci tu podczas mojej nieobecności bardzo dokuczano, Baniuto, to zrób tak a tak... a ja przylecę na twą obronę...

— Kiedy tak, to trzeba wołać Baniuty — przyznała Witginsowa. Przywołano zatem smutne, wysmukłe, bladolice dziewczę od roboty i wytłómaczono, o co idzie:

— To prawda, że mam sposób, aby Butowd zaraz przybył — przyznała, wahając się po wysłuchaniu wszystkiego, ale trzeba, żeby tego nikt nie widział, jak robić będę, boby sposób stracił moc...

— A więc to czary!..—blednąc zawołała Witginsowa — zkąd ty do czarów przyszłaś, dziewczyno? Ale, ha!... niech będą i czary, a niech przybywa Butowd, bo w nim jednym mam nadzieję!

— A więc przybędzie, ale idź i nie patrz, co czynić będę, matko — westchnęła Baniuta i Witginsowa odeszła zakłopotana i nieufna.

— Zatem i ja mam odejść?... — z wyrzutem spytała Aldona, która sama żadnych tajemnic przed ukochaną towarzyszką nie miała dotąd.

— O nie, ty pójdź i zobacz czary moje, które dla tego tylko ukrywam przed matką, żeby mi ich nie wzbroniła — smutno rzekła Baniuta.

— A więc — zawołała czerwieniąc się jak piwonia zawstydzona kunigasówna — kiedy ty jak zawsze nie masz nic skrytego przedemną, to dowiedz się, że ja gorsza jestem od ciebie, bo mam skrytość jednę przed tobą, odkąd powróciłam z podróży do Pullen. Witginsowa zakazała mi mówić, ale mimo to powiem ci, a to dla tego, ażeby jéj surowość nie raniła ci tak serca, jak rani, i żebyś, gdy możesz coś uczynić nie po jéj woli, nie wyrzucała sobie, że przeciw woli matki postępujesz.

I opowiedziała kunigasówna Baniucie całą jéj i Złotéj historyą i zadziwiła się niezmiernie, widząc, że się Baniuta nie dziwi:

— Jakto?... alboż wiedziałaś o tem? — spytała zdumiona.

— Nie wiedziałam, ale domyślałam się dawno; widzę przecież, jak matki obchodzą się ze swemi córkami, a jak ta moja niby matka obchodzi się ze mną... — szepnęła ze łzami Baniuta — zresztą źle mówię, że nie wiedziałam, bo wiedziałam, i dużo...

— Co? jakim sposobem? — ciekawie badała Litwinka.

— Tylko to... — odrzekła Baniuta i rozchylając suknią na piersi, ukazała maleńki, czerwony, jakby od

nakłuć jakichś lekkich pochodzący, ale wyraźny na piersiach znaczek...

— Krzyż!... — zawołała księżniczka w najwyższem zdziwieniu — Jakto, ależ po tym dziwnym znaku każdy może poznać cię, jako chrześcijańskie dziecko; jakimże sposobem ta niańka Jagna, o któréj ci mówiłam, mogłaby się pomylić i wziąć za ciebie Złotą? wszak tamta pewno krzyżyka nie ma na piersiach?

— Bardzo prostym sposobem — kiwając poważnie główką odparła Baniuta — owa niańka wcale o tym znaku snać nie wie i nie ona, lecz rodzona matka musiała mię nim naznaczyć tak jakoś sztucznie, że z początku prawie znać tego nie było, jak lekkiego nacięcia na korze młodego drzewka; dla tego też i Witginsowa o tem nie wie, aż ja sama znak spostrzegłam, gdy coraz wyraźniejszym się stawał. A teraz pójdźmy dopełnić czarów moich, bo jeżeli, jak powiadasz, ta Złota jest chrześcijanką... w tajemnicy przed Witginsową, to mam siostrzany obowiązek dopomagać jéj, o ile zdołam.

— Siostrzany obowiązek? — zawołała młoda poganka przestraszona nieledwie: Baniuta z powagą wskazała jéj znowu krzyżyk, wyryty na piersi...

— Moi rodzice chrześcijanami byli lub są—rzekła

— Zdaje się; ależ ty... nie znasz téj wiary?...

— Owszem... Butowd zawsze mię jéj naucza, gdy mówimy z sobą — zapewniła. Pomimo zdziwienia i poważnego duszy nastroju, Aldona roześmiała się serdecznie.

— Takaż więc jest treść waszych wiecznych po-

gawędek i podstawa téj wielkiéj między wami przyjaźni, na któréj chciwiec Witgins zbudował nadzieję majątku, wymarzywszy, że ja ci dam wielki posag, a ten w jego ręce za sprawą wychowańca się dostanie!... otóż się złapał! Ale zkądże Butowd chrześcijaninem? Jakiemiż dziwnemi drogami szerzy się ta wiara po świecie?

— Butowd nauczany był od młodu przez jakąś kobietę... która zakazała mu powiadać imienia swego przed kimkolwiek bądź... Przytem utrzymuje on, że jest ochrzczonym, gdyż w burzliwych wojennych czasach jest newet w Polsce zwyczaj chrzcić dzieciątka co prędzéj po urodzeniu, aby gotowe były w każdéj chwili przejść do lepszego świata chrześcijanami... A więc, jeżeli tak jest, a on wie to przecież od samych nawet zakonników, pojawiających się tu na Gedyminowym dworze, to... i ja muszę być chrzczoną i prawdziwą chrześcijanką.

Uroczyste milczenie zapanowało na chwilę pomiędzy dziewczątkami, które w ciemnych rucianych wianuszkach, w zielonych spodniczkach, w szarych koszulkach, pstrych małych staniczkach wyciętych, brzęcząc dzwoneczkami u suto wyszywanych fartuszków, biegły jednocześnie przez ogród i zamkowe podwórze, aż wpadły do wielkiego gołębnika, który wraz z całą różnorodną skrzydlatą rzeszą kur już od kilku lat pozostawał pod bezpośrednią opieką młodéj Baniuty: był to gospodarczy wydział, powierzony jéj przez matkę-gospodynią.

— Gdzie mię prowadzisz? — zdziwiona spytała nagle Aldona.

— Czary odprawiać!... — tajemniczo, ze smutnym uśmiechem odrzekła tamta i z trudnością odsuwając oburącz od siebie napastujący natarczywie młodą gosposię tłum pieszczochów, wybrała z pośród nich dużego gołębia, wyjmując go z klatki osobnéj, uwiązała mu na szyjce mały, z paluszka zdjęty pierścionek miedziany podobno, bo miedź dawniéj niż żelazo nawet była na Litwie w użyciu, i postawiła gołąbka w otwartem okienku. Ptak stał chwilę nieruchomy, potem wyszedł daléj na ganeczek gołębnika, rozejrzał się po świecie, przechylił, rozwijając skrzydła, i uleciał prosto w górę... przez chwilę krążył wysoko ponad gołębnikiem, aż nagle puścił się jak strzała w prostym kierunku na południe...

— Najdaléj jutro nad ranem Butowd tu będzie... — szepnęła Baniuta, patrząc za nim zamyślona.

— Rozumiem... — poszepnęła tak samo kunigasówna... — otóż czary chrześcijan...

XX.

Pomimo pewności Baniuty co do powodzenia owego posłannictwa, i ona zarówno jak i jéj dwie wspólniczki niespokojne były i drżące od téj chwili, nasłuchując i spodziewając się czegoś ciągle, choć wiedziały, że choćby na skrzydlatym koniu lecąc, jeszcze Butowd nie mógłby tak chyżo przylecieć. Cóż dopiero, gdy noc zapadła i zdrowy rozsądek Baniuty po obliczeniu stosownem pozwalał przypuszczać, że Butowd już jedzie, jeżeli... jeżeli posłańca skrzydlatego nie spotkał w dro-

dze jaki grot nieszczęśliwy... jeżeli Butowd znajdował się w chwili przybycia gołębia w miejscu umówionem... jeżeli Butowd nie jest przypadkiem ciężko ranny i w niemożności puszczenia się w drogę, co na granicy wśród ciągłych bójek niezmiernie było prawdopodobnem...

Wszystkie te i t. p. „jeżeli" wstrząsały sercami trzech kobiet, i przyprawiały je o gorączkę, co Witginsowa umiała przecież jako tako ukryć w głębi duszy, chociaż najdotkliwiéj cierpiała, boć to o jéj rodzoną Złotą chodziło... Ale dwie panny nie miały tyle zdobytéj wiekiem siły nad sobą, to też nie mogąc poskromić niepokoju, przepędziły dzień w męczarni oczekiwania, nie były też w stanie zająć się żadną robotą i po długiem czuwaniu, położyły się do snu na wpół ubrane, budząc się za każdym szelestem. Już wczesny ranek świtał, już rozpacz zaczynała ogarniać kobiety, gdy wtem słowik, sławny słowik nadniemeński ozwał się spóźnionym cokolwiek, lecz przepysznym śpiewem, i to nieledwie tuż pod ścianą bezokiennéj sypialni; Baniuta zerwała się natychmiast na nogi. Aldona i Witginsowa, śpiąca umyślnie téj nocy w panieńskiéj sypialni, powstały tak samo, i po raz pierwszy zdarzyło się, że surowa Witginsowa, z pewnym zabobonnym strachem patrząc na córkę Baniutę, pozwoliła jéj czynić co chce, nie badając... bała się przeszkadzać czarom, aby nie straciły mocy, od któréj zależało wybawienie Złotéj.

— A ja nie mogę iść? — nieśmiało a ciekawie spytała Aldona.

— Ależ owszem, pójdźcie obie, to Butowd słowi-

ka udaje! — rzekła pocichu, aby innych nie budzić, Baniuta.

W chwilę potem sama Witginsowa wprowadzała po przez straże Butowda, a z nim kogoś innego do gospodarskiéj swéj, sutym ogniem oświetlonéj izby; aż gdy dwaj przybysze zbliżyli się do ognia, powstał krzyk, i Aldona zawisła na szyi Butowdowego towarzysza, gdyż był nim braciszek Kiejstut.

— I ty tutaj jesteś?... teraz, pewnam, że wszystko dobrze pójdzie! — wołała.

— Ani wątpię o tem—odparł śmiejąc się i w dwójnasób oddając siostrzane uściski — tylko, niech wiem, o co idzie, bo dotąd dowiedziałem się jedynie od Butowda, że Baniuta go na gwałt w pomoc przyzywa, a więc przybywam z nim, nie mając chwilowo nic lepszego do roboty... Ale o cóż idzie?... nie rozumiem nic!.. tem bardziéj, że Baniucie jak widzę nic nie grozi!..

— Tak, ale za to grozi, i to ni mniéj ni więcéj, tylko gorejący stos grozi pewnéj dziewczynie, którą Wejdyloci wbrew jéj woli, ponieważ ma ducha wieszczego, chcą kapłanką uczynić! — wyrzekł stanowczym głosem Butowd, który tymczasem żwawo a cicho z Baniutą się rozmówił.

— Co? — zawołał zrywając się Kiejstut — kapłani Wejdyloci chcą gwałtem jakieś dziewczę do kapłaństwa zmusić?... Na to nie pozwolę! Ja pierwszy pewno starych bogów litewskich szanuję i ostatni jako ich obrońca u stóp ich ołtarzów ledz jestem gotów, ale oprócz bogów naszych starych wielbię ja jeszcze i szlachetną rycerstwa zachodniego ustawę, która nakazuje

nam rycerzom bronić niewinność i słabość od przemocy, i przeto w imię tego rycerskiego obowiązku, Butowdzie, my we dwóch musimy wydrzeć to dziewczątko fanatycznym naszym kapłanom... *)

Książę Kiejstut nie dokończył tych słów, gdyż Witginsowa przeszkodziła temu, rzuciwszy mu się do nóg i oblewając je łzami... Nastąpiła żwawa a krótka narada, poczem dwaj młodzi przyjaciele, zabrawszy Witginsową, odjechali natychmiast, zanim słońce zaświeciło w pełni.

— Musisz jechać z nami — powiedział Kiejstut — musisz przez tę niańkę Jagnę, czy jak tam chcesz, porozumieć się ze Złotą, a wtedy reszta sprawy będzie prosta i łatwa: Złota któregokolwiek wieczora, gdy mieszkańcy twierdzy pospani, lub zatrudnieni będą, wejdzie na wał zamkowy w Pullen i zsunie się zeń do nas, a już nasza rzecz w tem, aby się zsunęła bez szwanku, byle ci znać dała, gdzie na nią czekać mamy i kiedy...

Z takim prostym planem wyjechano z Kiernowa i ukryto się w dębowym gaju przyległym do twierdzy Pullen. Tu dwaj młodzi, panicz i niewolnik, poprzewracawszy kożuchy i czapy włosem na wierzch, zwyczajem najprostszych z najniższéj klasy chłopów, krążyli po lesie, strzelając z łuków zwierzynę, a potem piekąc ją i jedząc, bez stałego legowiska umyślnie, aby

---

*) Wzmianki historyczne taki właśnie szlachetny, rycerski, awanturniczy przytem charakter przypisują Kiejstutowi „ostatniemu obrońcy pogańskich bogów na Litwie.”

oczu na się nie ściągnąć, ale codziennie inne naznaczając sobie miejsce spotkania z Witginsową, która obchodząc na około, czatowała na Jagnę.

Po trzech dniach takiéj pierwotnéj niezmiernie taktyki, dwie kobiety już się znalazły, w pół dnia później porozumiały się już wszystkie trzy ze Złotą i czwartéj nocy, wedle wskazówek Złotéj, troje spiskowych podsunęło się pod zasłoną ciemności i pełznąc w trawach pod olbrzymie wały i drewniane jak mur potężne ściany Pullen. Było to „na młodziku", to jest w czasie nowiu księżyca, kiedy to wszystkie tajemnicze lekarki, wróżki, czarownice, o saméj północy zrywają potrzebne im różne zioła, mające moc szczególniejszą, gdy zrywane są w takiéj porze. Toż i złota, wyuczona przez staruszkę wieszczkę lekarskich tajemnic, przez całą wiosnę i lato zbierała zioła „o każdym młodziku."

Nikt się nie zdziwił zatem, gdy pewnéj nocy, przed samą północną godziną, ciemna postać w zielonéj jak zwykle sukni i rucianym wianku, wysunęła się dźwięcząc dzwoneczkami z podziemnéj w Pullen świątyni i chodząc tu i owdzie po zielem zarosłych kątach weszła na szerokie wały, także gęsto obrosłe pyszną zielenią, szła zwolna, szukając ziół u stóp swych, dzwoneczki brzęczały coraz ciszéj, aż umilkły, gdy ciemna postać przyklękła nieruchomo schylając się dla rwania obficie tu rosnącéj macierzanki.

Nie dla tego przecież jedynie umilkły dzwoneczki, że Złota przyklękła spokojnie, lecz i dla tego, że jednocześnie odjęła ona dzwoneczki od włosów i pasa i zwinę-

ła je mocno w obszyty także dzwoneczkami fartuszek, a potem leżąc prawie na trawie spojrzała zeń w dół na zewnątrz wałów. O radości! cztery postacie ludzkie stały tam w załamku wału, a w jednéj z nich biedna, stosem zagrożona kapłanka poznała matkę, w drugiéj niańkę. Lecz nie łatwo było do nich się dostać, bo wał był wysoki i Złota zadrżała, pomyślawszy o tem, gdy nagle jedna z dwóch nieznanych jéj postaci wskoczyła na ramiona drugiéj i podwyższywszy się przeto znacznie, wyciągnęła ręce do drżącéj na szczycie wału dziewczyny. Mimo drżenia Złota była odważną, służba u pogańskich bogów oburzała ją, a obawa śmierci w męczarniach w razie odkrycia że była chrześcijanką popychała naprzód, to też bez wahania zsunęła się w wyciągnięte ku niéj zbawcze ramiona nieznanego jéj księcia Kiejstuta, a ten zręczny, nieduży, lecz silny i jedyny do takich sprawek niebezpiecznych, w szlachetnym celu podjętych, wskoczywszy na ramiona dużego i potężnego Butowda, zdjął z wału biedną dziewczynę i lekko w objęcia Witginsowéj ją spuścił; potem wszyscy pełznąc po ziemi wśród trawy uciekali do blizkiego lasu, co sił starczyło.

Dopadłszy lasu, wstał Kiejstut na nogi, a za nim wszyscy i szybko podążyli pod jego przewodem, przebiegając gęstwinę, do przeciwnego brzegu, gdzie dwóch pachołków z końmi oczekiwało. Dostawszy się do koni wskoczyli na nie i puścili się dniem już białym trochę spokojniéj w dalszą drogę, gdy wtem potężny dźwięk olbrzymiéj trąby wojennéj wstrząsnął tylko co przebytego lasu sklepieniem i odbił się w sercach zbiegów.

Złota o mało z konia nie spadła: trąby takie olbrzymie, zatknięte dla zwiększenia potężnego głosu w kubły ogromne, znajdowały się w téj okolicy tylko w Pullen i służyły do dawania hasła wojskom okolicznym, by gromadziły się do twierdzy w razie niebezpieczeństwa. Było to więc hasło wojenne wzywające siłę zbrojną na pomoc.

— Daléj, naprzód, w żadnym razie nie traćmy ani chwili czasu! — wołał Kiejstut, dowódca wyprawy i wszyscy śpieszyli jak mogli; Jagna nie mniéj żwawo jak inni popędzała swego małego wierzchowca, i ona musiała uciekać, bo gdyby została w twierdzy po ucieczce Złotéj, kapłani niechybnie wzięliby wierną niańkę na męki, aby się od niéj dowiedzieć, co się z młodą wieszczką ich stało.

— Albo Krzyżacy ukazali się gdzie niespodzianie w okolicy, albo też spostrzeżono już ucieczkę Złotéj, a wtedy pomsta kapłanów ścigać nas będzie — powiedział Kiejstut do Butowda. Butowd nic nie odrzekł, tylko z konia zeskoczył i przypadł jak długi uchem do ziemi, a wierny koń stał przy nim jak wryty, inni uciekali daléj co siły; mimo to Butowd dognał ich po chwili:

— A co? — spytał Kiejstut.

— Dotąd nic... może to i Krzyżacy — odparł tamten, ale po niejakim czasie powtórzył próbę, a za trzecim razem rzekł do Kiejstuta:

— Gonią!.. o Złotą sprawa: pędzą naszym śladem, a że deszcz padał, to ślad tem widoczniejszy; konie muszą po drodze zmieniać, gdzie je napotkają w lada zagrodzie, bo inaczéj gnaćby tak nie mogli.

— To cała bieda, że ja ich zmieniać nie mogę, bo coby powiedziano, gdyby kto zmiarkował, że syn Gedyminowy kapłankę litewskim własnym bogom odbiera — mruknął Kiejstut.

Poszeptali obaj i rozdzielili się: Kiejstut z kobietami bieżał dalej do Kiernowa, a Butowd z dwoma sługami zsiedli z koni i puściwszy je na paszę, sami legli spać na śladzie, właśnie kędy uciekający pobiegli. Tętent pogoni stawał się co chwila wyraźniejszym, aż i ukazała się pogoń; z kilku pocztów rozesłanych na wszystkie strony jeden, z siedmiu ludzi złożony, trafił na ślad i ten właśnie galopem dopędzał teraz trzech chłopców w starych i brudnych kożuchach i wielkich takichże czapach, mimo ciepła, chrapiących głośno na śladzie, który świeżo konie uciekających wycisnęły.

— Ha! przecz ztąd! — krzyknął zdala jeszcze dowódca pogoni.

— Co? albo to ja ci na drodze leżę? taka moja droga, jak twoja — odburknął jeden z chłopów, i słusznie, bo na Litwie w ogóle pod owe czasy dróg właściwych wcale nie było, i którędy komu jechać się spodobało, tam mu była droga, ale i leżeć tak samo trudno było bronić komu, gdzie zechciał. To też nie rozmawiając dłużej, pogoń chciała śpiących przesadzić, gdyż ci umyślnie wybrali miejsce do spania na przesmyku między głębokim jarem i strumieniem, gdzie objechać nie było można:

— A co to ty będziesz deptał po mnie, jak po marnym piasku!... — zakrzyknął wtedy chłop w naj-

wyższym gniewie i jednem uderzeniem ogromnéj pałki konia i jeźdźca powalił o ziemię. Na ten okrzyk zerwali się dwaj inni śpiący, odrazu godząc krótkiemi ostremi pociskami w przeciwników; zawrzała bójka gorąca, przy czem sporo ubiegło czasu i trzech Litwinów z pogoni legło jęcząc na placu, a czterech pozostałych, zawziąwszy się w walce, zaczęło gonić uciekających chłopów, ani spostrzegając, że ci uciekają w bok i odprowadzają ich daleko od śladów, za któremi gonili i które tymczasem coraz silniejszy deszcz spłukał nareszcie i zatarł. Noc rozdzieliła zażartych przeciwników i znikli sobie z oczu wzajemnie.

XXI.

Nazajutrz bardzo rano Witginsowa ze Złotą i Jagną cichutko wsunęła się do swéj gospodarskiéj izby w zamku Kiernowskim i ukrywszy je obie w głębi kryjówek własnego mieszkania, zajęła się jak zawsze gospodarstwem. W trzy dni późniéj dopiero nadjechał wlokąc się z trudem do Kiernowa Butowd, posłany z wiadomościami do kunigasa od księcia Kiejstuta z nad granicy; wilczyska go po drodze trochę poturbowały. Nikt ani się domyślał, że Butowda omdlałego prawie z ran sam Kiejstut odszukał, jak tylko kobiety do Kiernowa zaprowadził, gdzie też i jego troskliwie sam przywiódł, parobczaków także rannych ukrywszy w lesie u wiernego sługi, żeby oczu nie zwracać aż trzema ludźmi na raz poturbowanymi przez wilków. Witginsowa gorliwie zajmowała się gospodarstwem,

donosząc osobiście żywność Złotéj i Jagnie i trzymając je ściśle ukryte, że zaś przy tych zatrudnieniach trudno jéj było pielęgnować Butowda ciężko chorego, przeto czuwanie nad nim i leczenie go spadło samo z siebie na Baniutę, wyuczoną przez matkę tajemnic lekarskich.

Baniuta pilnie jęła dopełniać włożonego na się obowiązku od pierwszéj zaraz chwili, gdy Butowd z wielkim wysiłkiem zdawszy sprawę ze swego poselstwa przed kunigasem Gedyminem i wróciwszy do gospodarskiéj izby pani Witginsowéj, gdzie go sam Gedymin odesłał na leczenie, usiadł na tapczanie i osunął się, omdlawszy zupełnie. Baniuta natychmiast rozpięła mu ubranie na piersiach, ponieważ jéj powiedział, że go rannego w piersi sam Kiejstut opatrzył na prędce. Wistocie taki opatrunek „na prędce" bardzo był niedostatecznym, krew przesiąkała przez chustę, osiadając czarna i zgęstniała na około ran w sposób okropny. Ale Baniuta była czynną i odważną, gdy pomocną być mogła, zaczęła tedy przedewszystkiem od obmycia krwi skrzepłéj na poranionéj piersi, dopełniała tego szybko. Gdy ostatni ślad krwi znikał, pozostawiając jedynie rany krwiące lecz niezbyt niebezpieczne, młoda lekarka odskoczyła nagle od rannego zdumiona, szeroko otwartemi oczyma patrząc na pierś porauioną: maleńki lecz wyraźny krzyżyk widniał teraz na niéj, sztucznie nakłuty i czerwono zabarwiony, zupełnie taki sam bez różnicy, jak na piersi Baniuty.

— Co tobie, Baniuta?... Czy ja mam umrzeć? — zapytał Butowd, ocucony przy obmywaniu i nie wie-

dzący, jak sobie wytłómaczyć dziwny wyraz na twarzyczce dziewczęcia. Baniuta wstrzęsła się.

— Och nie, nie! — zawołała z mocą — dobry Bóg nie dopuści tego i rany twoje chociaż liczne nie są przecież śmiertelne...

— Dla czegóż więc patrzysz na mnie tak dziwnie?

— Bo... bo... — jąkała dziewczyna i nagle dodała. — Czegóż ja się waham?... oto widzę na twojéj piersi wyryty krzyż, którym zapewne matka naznaczyła cię w dziecinnych latkach?

— Wiem ja o nim dawno — rzekł Butowd, nie zdziwiony wcale — i tylko to mię dziwi, że... że pewna kobieta o nim nie wie, a przecież utrzymuje, że mię wychowała; chyba więc ona się myli i ja nie jestem tym, za kogo mię bierze.

— Pewna kobieta? Jagna? — spytała Baniuta. Butowd się zdumiał:

— Zkąd wiesz jéj imię — spytał — wszak ja nie powiedziałem ci go nigdy, nie dla tego, abym ci nie wierzył, lecz ponieważ ona o to prosiła...

— Ty nie powiedziałeś, ale Aldona i Złota opowiedziały mi wszystko, bo Jagna zawsze przed Złotą opowiadała o tobie, jak się z tobą widuje, jak cię chrześcijańskiéj wiary uczy, o ile sama umie, tak jak ty mnie potem uczyłeś; opowiadała ona to Złotéj w przekonaniu, że ty i Złota rodzeństwem jesteście, a tymczasem...

Baniuta nie dokończyła, bo chory na wpół orzeźwiony jéj słowami wyprostował się nagle i wpatrzył w nią, szeroko otwierając oczy i schwycił ją za rękę:

— A tymczasem!... — zawołał — jeżeli teraz dobrze te rzeczy rozumiem, jak Witginsowa zamieniała dziewczynki, aby swą córkę na zawsze przy sobie zachować, to!... to nie Złota byłaby moją rodzoną, tylko... tylko... — nie śmiał wymówić, co miał na myśli, ale ręce i usta mu drżały i oczy błyszczały, jak ogień.

— Tylko może ta, która jak raz takiż sam krzyżyk, jak ty, nosi na piersi... — wyjąkała dziewczyna, uchylając kilka sznurów grubych bursztynów, które nizko spuszczone na szyi nosiła; pod bursztynami czerwienił się krzyżyk niestarty, Butowd krzyknął i pochwycił ją w ramiona:

— Siostra!... rodzona moja!... — łzy strumieniem polały się z ócz dwojga sierot.

— Czy tylko tak jest istotnie? — łkając mówiła Baniuta.

— Jest!... nie darmo pomiędzy nami była zawsze ta przyjaźń, która wszystkie oczy zwracała, nie napróżno przeczucie macierzyńskie naznaczyło nas temi krzyżykami, i rozumiem już nawet, dla czego Jagna nic o tym znaku nie wie: oto matka nasza musiała nas jednocześnie niemi naznaczać, gdy ja już kilkoletnim byłem, a ty niemowlęciem, a snać sok z jakiegoś ziela, jakim napuściła te nakłucia, z czasem dopiero purpurowéj barwy nabywa i przeto Jagna nie widziała tego znaku na mojéj piersi, dopóki małym byłem... Ha, kto wie, jest przecież miłosierny Bóg!... może my i rodziców odzyskamy jeszcze? tych Horskich, Stacha i Zofią.

— Czy tylko to prawda? Czy ty istotnie mój rodzony jesteś? — szeptała biedna dziewczyna, nie mo-

gąc w żaden sposób pierwszemu w życiu szczęściu uwierzyć. — A może w Polsce taki zwyczaj, że wszystkie dzieci chrześcijańskie krzyżykami znaczą?

— Nie!... stanowczo Butowd zapewnił. — Przecieżbym o tem już zasłyszał, czyliż to jednego znam tu polskiego brańca, czy z jednym zakonnikiem rozmawiałem w życiu? Nie, to tylko jedna i taż sama pobożna a troskliwa matka wpadła na pomysł tak niezwykły...

Podczas téj rozmowy Baniuta nie traciła czasu, opatrując tem staranniéj teraz rany tego, który mógł być jéj bratem rodzonym, nie zaś jedynie bratem w Chrystusie, jak w głębi duszy i w stosunkach z nim samym dotąd go nazywała. Wtem weszła Witginsowa, niosąc czarę posilnego napoju, i drżące rodzeństwo umilkło, spoglądając wzajem na siebie, niepewni, czy ją przypuścić do swej tajemnicy, przeczutéj raczéj i zgadywanéj, niż sprawdzonéj dotąd. Dworska jejmość obejrzała opatrunek i uznała, że Baniuta dobrze wywiązała się z zadania, potem podając choremu czarkę, rzekła:

— Trzeba to zaraz zjeść, mój chłopcze kochany, abyś był trochę silniejszy i mógł z nami pomówić, bo dworscy rozgadali już, że cię wilcy pogryźli, więc Złota i Jagna, wiedząc dobrze, co to za wilcy, toną tam we łzach i ręce łamią z rozpaczy, żeś życie, ratując Złotą postradał; kunigasówna Aldona pomaga im z wielkiéj przyjaźni, tak że głowę stracę z temi dziewczętami i tą niańką, jeżeli nie przekonają się na własne oczy, że cię wilki nie ze wszystkiem zjadły.

— Bardzo dobrze — odparł Butowd — a że po opatrunku Baniuty jest mi istotnie daleko lepiéj i na widok téj czarki okrutnie mi się jeść zachciało, to możesz, matko, sprowadzić swoje rozpłakane kukułki choćby zaraz, aby pocieszyły się patrząc, jak się do jadła brać będę!

— Słusznie mówisz — roześmiała się gospodyni, i gdy Baniuta wzięła od niej czarę i trzymała ją przed chorym, ona wybiegła z izby i w chwilę późniéj wwiodła do niéj dwie zapłakane panny i rozpaczającą Jagnę.

— Chodźcie, chodźcie, beksy — mówiła — przypatrzcie mu się i powiedzcie same, czy ci, których wilcy zjedli, tak jadać mogą, jak on? Zalane łzami panny nie mogły się wstrzymać od śmiechu, widząc jak ów chory, umyślnie, patrząc na nie z boku figlarnie, wywijał zamaszyście łyżką i pochłaniał smaczną polewkę ku ich biedaczek pociesze. A wtem szmer jakiś dziwny zwrócił wszystkie oczy na Jagnę i wszyscy zdziwili się, bo Jagna bledsza od białych chust, odziewających ją litewskim obyczajem od stóp do głowy, stała jak nieprzytomna z wyciągnionemi ku Baniucie rękami, a drgające jéj usta szeptały wciąż na różne sposoby:

— Pani Horska!... pani Zofia!... moja pani... Czyli duch?... — zdawało się, że niańka straciła rozum zupełnie. W pierwszéj chwili Witginsowa i dwie panny, nie rozumiejąc nic, zlękły się téj kobiety, wyglądającéj w owéj chwili jak widmo; ale Baniuta zadrżała tak, że o mało czarki z rąk nie puściła i z Butowdem porozumiewające zamieniła spojrzenie:

— Jagno! — zawołał Butowd — patrz, to jest

moja siostra, Baniutą tutaj zwana, prawdziwa córka twoich państwa, pani Zofii i pana Stacha, a Złota pani jest tylko twoją wychowanką, bo ta oto żona Witginsa zamieniła dziewczynki, bojąc się, aby z czasem Witgins jedynego jéj dziecięcia daleko gdzie na kraj świata w zamęzcie nie sprzedał. Jagno, czy mię rozumiesz?

Jagna stała jeszcze jak bez duszy, szepcąc wciąż też same wyrazy bezwiednie, aż Baniuta, podszedłszy do niéj i objąwszy za szyję, spytała słodkim głosem:

— Nianiusiu Jagno, powiedz, jak imię było córeczce pani Horskiej?

— Baśka... moja jedyna, moja własna, a toż i mowa w niéj matczyna rodzona!... — jęknęła niańka, upadając do nóg młodéj dziewczyny z głośnem szlochaniem i jękiem, ściskając ją i oblewając łzami rzewnemi.

Dużo czasu upłynęło, nim trzy panny i Butowd zdołali wytłómaczyć biednéj odurzonéj niespodziewanemi wypadkami niańce wzajemny swój do siebie stosunek, tak jak go sami zrozumieli, lub tylko zgadywali i domyślali się słusznie. Ale gdy zrozumiała nareszcie, wtedy jéj opowiadania dowiodły tylko prawdziwości ich domysłów. Pokazało się natenczas jawno, jak na dłoni, że stary Kost, piastun Kiejstuta, a ojciec Butowda, jak sądzono, był własnym mężem Jagny, parobkiem Chwastem, który z przekręconem przez pogan imieniem, a obłąkany w skutek ran w głowę zadanych, umiał do ostatniéj chwili swego życia wiernie piastować paniczyka swego. Butowd, a jak się późniéj pokazało, i Kiejstut nawet pamiętali, że stary zżymał

się i gniewał, gdy imię Butowda dawano jego paniczowi, nazywając go sam jakiemś innem... Ale wkrótce, obłąkany łagodnie starzec tracić resztę sił zaczął powoli, a w końcu żyć przestał i wszystkie jego gawędy, natchnione przezeń przeczucia, żale i tęsknoty zacierały się zwolna w umyśle młodego niewolnika Butowda, i byłyby się z czasem zupełnie może zatarły, gdyby wkrótce znów nie poczęła budzić ich Jagna, szukająca ciągle męża i panicza swego i upatrująca go w każdym chłopczynie odpowiedniego wieku.

Gdy to wszystko działo się w głębi mieszkania pani gospodyni kiernowskiéj, ona sama znowu wróciła do gospodarstwa, popłakawszy się ze wszystkiemi, uściskawszy wszystkich i Jagnę także, któréj zazdroszcząc przywiązania Złotéj, bała się teraz nie żartem, podejrzywając po pogańsku, że przez tęż samą zazdrość o Złotą, Jagna gotowa jest pomścić się i wydać jéj tajemnicę przed Witginsem. Gospodarowała zaś Witginsowa tak zawzięcie dla tego, aby nikomu z dworskich ani na myśl nie przyszło, że ma jakiś kłopot serdeczny i inne prócz z rannym Butowdem w głębi swego mieszkania zajęcie. Złota i Jagna pozostały stale i zupełnie ukryte, a to, by uniknąć tajemnych i skrytych przeszpiegów pogańskich kapłanów i oburzenia ludu, bo straszliwy rozruch powstał w zamku i w okolicy, gdy przekonano się stanowczo, że słynna wieszczka, nadzieja pogaństwa, w któréj natchnieniu mieli kapłani czerpać siły i wskazówki, jak walczyć z chrześcijaństwem i jak go zwyciężyć... zniknęła z Pullen wraz z wierną niańką.

Szczęściem i skutkiem przebiegłości i ostrożności samych panien, oraz Gedymina, Witginsowéj i Kiejstuta, nie było żadnéj poszlaki ich stosunku ze Złotą, gdyby nie to, kto wie, czyby bunt kapłański i przez kapłanów podżeganéj części fanatyczniejszéj narodu nie wpłynął nawet na rozerwanie najpierwszego w dziejach Litwy z Polską sojuszu. Złota albowiem uchodziła zawsze w oczach ludu za brankę polską, która ukochawszy bogów litewskich, dobrowolnie a żarliwie na cześć i chwałę, i potęgę Litwy, służyć im miała. To też jakkolwiek żadnych nie było poszlak, przecież poganie włóczyli się pod różnemi postaciami na około miejsca pobytu komisarzy polskich, zbierających brańców, i około Kiernowa, podpatrując tam swéj kapłanki, podejrzywając mimo wszystko, że porwano ją gwałtem, jako część posagu Aldony. W takich okolicznościach trzeba było zachowywać największą ostrożność, Złota nie mogła się ukazywać nawet najzaufańszym sługom kiernowskim, ani Jagna także, gdyż obecność wiernéj sługi naprowadziłaby natychmiast na ślad jéj pani.

Tymczasem Gedymin, napastowany ze wszystkich stron o wyjaśnienie i ukaranie straszliwéj, o pomstę wołającéj zbrodni porwania kapłanki, wzruszał ramionami, najdoskonaléj udając nieświadomość, ubolewał nad zepsuciem obyczajów, dawał do zrozumienia, że Złota może sama uciekła, znudziwszy się podziemnem życiem pobożnem, i obiecywał wymierzyć wszelką sprawiedliwość, byle mu dostawiono winowajców, ale z resztą:

— Czegóż to chcecie odemnie? —dodawał z gniewem — czyliż pilnując waszych granic ze wszystkich

stron, jak długie i szerokie, od wrogów, mam jeszcze i kapłanek waszych w głębi świątyń pilnować?

Na to nie było odpowiedzi. Ale straszna groza wisiała nad nieszczęsną chrześcijanką, która w dodatku do wszystkich swych przykrości musiała jeszcze ukrywać przed rodzoną matką, że chrześcijanką była, aby jéj zmartwienia nie przyczyniać, gdy już odstępstwo Aldony, jak je nazywała, było dla niéj ciężką zgryzotą. Zresztą zamknięcie nie przykrzyło się wcale Złotéj; przyzwyczajona do pokutniczego i więziennego prawie życia w głębiach podziemnéj świątyni, a teraz uwolniona od oburzającéj ją służby bogom pogańskim, czuła się owszem zupełnie szczęśliwą, przepędzając czas na kolanach, na gorących prośbach do jedynego Boga... o chrzest. To było teraz jedyne pragnienie dziewczęcia, a ta jéj żarliwość serdeczna i wrodzona dobroć sprawiły, że Jagna nawet odnalazłszy prawdziwą i również *złotą* panienkę swoję, przecież nie odebrała całkiem wiernego serca wychowance Litwince, która za jéj sprawą chrześcijanką została z przekonania, jakkolwiek niechrzczoną jeszcze. Modliły się też obie o chrzest dla Złotéj, kryjąc tylko z modlitwami przed poganką matką.

Ta matka tymczasem w obec niebezpieczeństwa, zagrażającego córce, miała w téj chwili także tylko jedno ze swéj strony pragnienie, którego spełnienia licznemi ofiarami domagała się u bóstw pogańskich, a było to, aby już co rychléj zapowiedziane poselstwo po Aldonę przybyło, wraz z nią zabrawszy Złotą pod swą opiekę, zawiozło ją do Polski, gdzieby pomsta poga-

skich kapłanów dosięgnąć jéj nie mogła. Gedymin nie mniéj pragnął ostatecznego uwieńczenia swych zamysłów, zarówno jak i sama Złota, któréj wyjazd do Polski obiecywał chrzest upragniony. Energiczna Aldona, raz zrozumiawszy, że zgaszenie Znicza nie znaczy jeszcze zguby Litwy, ani ojca Gedymina, przestała już teraz się wahać, i owszem pragnęła, aby jaknajprędzéj spełniły się losy, by skrócić boleść rozstania swego z rodzinnemi progi, z ojcem, dla którego rozkazu istotną z siebie ofiarę czyniła.

XXII.

Tak wszyscy w gorączkowym niepokoju oczekiwali i pragnęli przybycia poselstwa, wszyscy, nie wyłączając Baniuty i Butowda, gdyż on jako branie[c], a ona jako towarzyszka Aldony, mieli jechać ta[k]że i choć uszczęśliwieni wzajemnem się poznaniem, d[r]żeli na myśl, czy odnajdą rodziców? czy zastaną ich je[s]zcze przy życiu? czy w tem wszystkiem niema jeszcze jakiéj pomyłki lub złudzenia? Te troski i niepokoje b[y]ły nieustannym przedmiotem ich gawęd, gdy niepot[r]zebując się ukrywać, jak Złota i Jagna, oboje wziąw[s]zy się za ręce błądzili gorącem już latem po cienist[y]ch gajach kiernowskich.

Tak właśnie błądzili pewnego razu, [g]dy powstał gwałtowny szelest w gęstwinie, i już Butowd, chwyciwszy ostry pocisk z zapasa, rzucił się naprzód zasłaniając sobą Baniutę w przekonaniu, [ż]e żubr lub tur rozjuszony nań godzi; aż w tem rozch[y]liła się gęstwina

i świetny cudzoziemski jeździec, na pysznym, choć trochę zdrożonym rumaku, wyskoczył z głębin czarnéj puszczy i w mgnieniu oka ujrzawszy napastniczą Butowda postawę, wyrwał z pochwy zakrzywioną trochę szablę i świsnął mu nią nad głową, zamierzając się do cięcia. Lecz tejże chwili odskoczył z koniem w tył, wymawiając z nieopisaną wzgardą jeden wyraz, poddany mu snać widokiem krótko uciętych włosów przeciwnika.

— Niewolnik!...

Baniuta krzyknęła, zarówno z przerażenia w obec téj niespodzianéj obustronnéj napaści, jak ze zdziwienia, gdyż jedyny ów wyraz wymówiony był po polsku, a mowę tę ona znała, rozmawiając nią zawsze z Butotowdem, odkąd krzyżyk na swéj piersi spostrzegła; on znał ją od Chwasta jeszcze, a potem nie zapominał, rozmawiając z Jagną i z Baniutą. Ale w téj chwili Butowd, dotknięty do żywego nazwą upadlającą, która go tak zawsze gniewała, nie zwrócił wcale uwagi na to, że wypowiedzianą była po polsku, tylko wywijając swym pociskiem nad głową, zawołał w uniesieniu gniewu i dumy:

— Nieprawda!... nie niewolnik, tylko braniec wojenny, rycerz, szlachcic polski, mogący mierzyć się w walce szlachetnéj choćby z królami, Władek na Hordce Horski.

— Horski! — zakrzyknął nieznajomy rycerz, odskakując w tył i miecz opuszczając, i nie wzgarda już, lecz najwyższe, do osłupienia dochodzące zdziwienie odbiło się w całéj jego postaci tak wyraźnie, że na ten

widok i Butowd, pod wpływem zdziwienia, opuścił broń swą i przez chwilę dwaj młodzi zapaśnicy patrzyli na siebie w milczeniu, nieruchomo, jakby usiłując się wzajem rozpoznać... Tymczasem dwóch innych jeźdźców zbrojnych i strojnych, chociaż mniéj świetnych, wybiegło z lasu i stanęło za pierwszym, oczekując widocznie na rozkazy. Przez długą chwilę trwało milczenie, aż nieznajomy, przesunąwszy ręką po czole, obudził się niby z zadumy i chowając miecz do pochwy, rzekł zupełnie odmiennym, poważnym i przyjacielskim głosem.

— Jeżeli tak, to co innego, i ja pierwszy ziomka mego nieszczęśliwego za mimowolne uchybienie przepraszam.

— Ziomek!... — zawołał Butowd, teraz dopiero spostrzegając, że po polsku mówi i puściwszy z rąk broń morderczą, wyciągnął obie ręce do nieznajomego, a łzy polały mu się nagle po twarzy. Tamten skwapliwie zeskoczył z konia i dwaj ziomkowie na obczyźnie uściskali się serdecznie.

— A to jest rodzona moja, zwana tutaj Baniutą, a w rzeczy zwana Baśką na Hordce Horską... my dzieci jesteśmy Stacha i Zofii Horskich z krakowskiéj ziemi!... — opowiadał jednocześnie gadatliwy z radości Butowd.

— Baśka Horska!... — ciągle zdumiony poszepnął sam do siebie nieznajomy, wpatrując się w Baniutę, a Butowd w rozradowaniu swem mówił daléj:

— I jak zbawienia dusznego oczekujemy na poselstwo od królewicza Kazimiorza, bo jesteśmy z dworu

kunigasówny Aldony i z nią mamy nadzieję wrócić do rodzinnéj ziemi!

Na te słowa dopiero ocknął się ze zdumienia i żywo poruszył nieznajomy:

— To dobrze — rzekł — bo oto przybywa poselstwo, a ja poprzedzam je, wysłany w przedniéj straży!

Młode rodzeństwo wydało okrzyk radości, a on mówił daléj.

— Zatem powiedzcież mi, gdzie się obecnie znajdujemy? Czy daleko ztąd do Kiernowa? Którędy doń droga? Czy obecnie znajduje się tam wielki książę Gedymin?... i jakie jest jego, i kapłanów, i narodu w ogóle dla polskiego związku i dla samego poselstwa, usposobienie? A zmiłujcie się, mówcie prędko a dokładnie, gdyż jak przybyłem, tak wracać muszę w skok do poselstwa, które zmęczone legło taborem na spoczynek w puszczy o kilka mil ztąd, w tym pogańskim bezdrożnym kraju.

Tak wezwane młode rodzeństwo odpowiedziało coprędzéj na wszystkie rycerza pytania, poczem tenże podziękował im, pożegnał serdecznie do prędkiego zobaczenia i dosiadłszy konia znikł z towarzyszami w gęstwinie, a brat z siostrą, pełni radości, wracali coprędzéj do zamku, dziwiąc się tylko troszkę, że nowy przyjaciel-ziomek, usłyszawszy ich nazwisko, nie powiedział im wzajem własnego.

XXIII.

Nazajutrz przypadała właśnie doroczna uroczystość bożka lnu, Wajżgantosa. Dworskich dostojni-

ków i okolicznych ziemian córki naradzały się już od kilku dni tu i tam po gajach i chatach tajemniczo, chodziło, jak corocznie, o wybranie *bezstronne* najpiękniejszéj i najlepszej dziewczyny z pomiędzy licznego grona towarzyszek i rówieśnic, pracujących i bawiących się wspólnie zazwyczaj. Ażeby uniknąć postronnych, podejrzanych wpływów, bo od bezstronności wyboru zależał przeszłoroczny zbiór lnu, pojedyncze kółka bliżéj ze sobą sprzyjaźnionych dziewcząt zachowywały tajemnicę aż do dnia ostatniego i wtedy dopiero, zebrawszy się bardzo rano w przeznaczonéj ku temu stodole, rzucały się ku wchodzącéj wybranéj, podając jéj z okrzykiem wstęgi i placki.

Wybranych takich, szezególniéj odznaczających się pięknością, dobrocią i pracowitością dziewcząt, nigdy nie mogło być dużo, bo wyjątki nie bywają liczne, zatem natychmiast spostrzegano, która z owych dwóch lub co najwyżéj trzech wybranych ma więcéj zwolenniczek i przekreskowane dziewczęta pierwsze coprędzéj odnosiły swe wstęgi i placki jedynéj wybranéj, uznając przez to dobrowolnie wyższość jéj przymiotów. Uściski serdeczne kończyły tę przedwstępną część uroczystości, jaka właśnie w téj chwili wczesnym rankiem odbywała się w wielkiéj kiernowskiéj stodole.

Sto blizko dziewcząt w zielonych sukniach i ciemnozielonych wianuszkach, brzęcząc dzwonkami u włosów, pasków i wyszywanych zielono fartuszków, skoczyło z okrzykiem do wchodzących razem Aldony i Baniuty, podając jéj wstęgi i placki; dopiero spojrzawszy wzajem po sobie, wszystkie zdziwiły się nad takim wy-

nikiem tajnych wyborów. Snać dziewczęta same nie wiedziały, jak umiały bezstronnie ocenić dziewczęce cnoty. Jedna Aldona, znająca z dziecinnych lat Baniutę i świeżo pełna uwielbienia dla niéj ze względu na serdeczne jéj i ciche a mądre obejście w dość zawiłych stosunkach z przybraną matką, z udanym ojcem, z rzeczywistym bratem i biedną Jagną i biedniejszą jeszcze, rozdartą na poły różnorodnemi uczuciami Złotą... uściskała ją natychmiast serdecznie, serdeczniéj jeszcze niż wszystkie wyborczynie, mówiąc:

— Króluj nam, Baniuto, jeżeli kiedy, to na przyszły rok będziemy miały len przepyszny, nigdy nie było sprawiedliwszego wyboru.

Ogólny okrzyk był odpowiedzią na te słowa, poczem ustawiono w pośrodku stodoły ławeczkę wysoką, na Baniutę ofiarnicę narzucono natychmiast białe od stóp do głowy szaty, zostawiając tylko ciemnozielony wianek ruciany na głowie, przypasano jéj duży fartuch i napełniono go placuszkami, zwanemi *Sykies*. Następnie, uroczyście, śpiewając pieśń odpowiednią, wprowadzono Baniutę na wysoką ławeczkę. Tu, twarzą ku wyjściu zwrócona, stojąc na prawéj nodze, z lewą trochę podniesioną, w lewéj ręce trzymając długą wstęgę jasnéj barwy i koniec jéj podnosząc, jak mogła najwyżéj, ponad głowę, a w prawéj unosząc czarę z piwem, tak, śpiewnym głosem wołała Baniuta, powtarzając trzykrotnie:

— Wajżgantos, bożku, pomnóż nam len tak długi, jak ja jestem, a nie daj, abyśmy nago chodziły!

Prześpiewawszy trzykrotnie to wezwanie, trzema

ruchami Baniuta piękna, zręczna, uważna i roztropna choć skromna i cicha, wypiła piwo, wylała resztę na lewo, rzuciła naczynie na prawo, i żywo chwytając zatrzymany z lekka jedną ręką fartuch, podrzuciła w górę placki. Natychmiast rzuciły się dziewczęta, zjadając padające na prawo, zakopując te, które padły na lewo, na ofiarę bogom podziemnym, a właściwie bogu lnu Wajżgantosowi, i śpiewając przytem rozgłośnie pieśń radosną:

Dobądźmy wrzeciona, narządźmy kądziołki,
Ustawmy krosna,
Wajżgantos będzie łaskawy dziewczynom,
Bo najpiękniejsza na jednéj nodze ustała...

Właśnie Baniuta zręcznym ruchem, stojąc bez zachwiania na jednéj nodze, podrzucała placki w górę i pieśń powyższa już brzmiała, gdy wierzeje stodoły rozwarły się pocichu i stanął w nich sam książę Gedymin z nieznajomym rycerzem pod rękę i młody, wszystkim znajomy Butowd, za nimi.

Dziewczęta wszystkie, nie wyjmując Aldony, z krzykiem i śmiechem jednocześnie uciekły, zbijając się w gromadkę, w kąt stodoły, jedna Baniuta, zajęta dość trudną swą rolą i zaskoczona niespodzianie, skamieniała przez chwilę. Piękna była, jak posąg, w tem pomieszaniu stojąc na podwyższeniu na jednéj nodze z długą wstęgą wzniesioną w jednéj ręce nad głowę, a fartuchem w drugiéj... stała chwilę, aż opamiętawszy się, zeskoczyła także i skromnością powodowana, skryła się między towarzyszki.

— Twoja siostra? — szepnął nieznajomy rycerz do Butowda.

— Tak, a księżniczkę Aldonę widziałeś? — odszepnął Butowd.

— Widziałem, wiem już teraz co powiedzieć — — odparł rycerz; snać porozumieli się już wprzód dokładnie, bo łatwo rozmawiali się teraz, i Butowd wiedział już, po co głównie królewicz Kazimierz posłał swego przyjaciela z poselstwem.

Śmiejąc się z dziewcząt popłochu, odszedł Gedymin z towarzyszami i dziewczęca lniana uroczystość zakończyła się tańcami, jak zwykle: nie wiedziały dziewczyny i zmartwiły się okrutnie dowiedziawszy się, że tymczasem, gdy one odprawiały swą uroczystość w stodole, odbył się wjazd poselstwa polskiego. Nie był to jednakże wjazd uroczysty, gdyż ten w trzy dni późniéj dopiero miał się odbyć w Wilnie. Tu poselstwo zatrzymało się właściwie dla spoczynku, potrzebnego nie żartem, rumakom zwłaszcza, umyślnie zaś obierając na miejsce spoczynku miejsce pobytu księcia, aby u jego boku większego używać bezpieczeństwa, gdyż zdanie Butowda potwierdzało dawniejsze domysły, że garstka maleńka chrześcijan godowo strojnych, mająca wraz z oblubienicą Kazimierzową zabierać 24000 brańców, bardzo niechętnie oddawanych, nie była bezpieczną wśród pogan.

Nieznajomy przyjaciel Butowda, zaledwo przybywszy z poselstwem do Kiernowa, zwierzył się zaraz Butowdowi ze swem tajemnem od królewicza posłannictwem, radząc się, jakby tu znienacka można zoba-

czyć księżniczkę Aldonę tak, aby na takie oględziny nieprzygotowana była i przeto wydała się i okazała taką, jaką jest rzeczywiście, bez książęcych strojów i książęcéj powagi, które mogą być zwodniczym tylko pozorem. Butowd, zamiast chwytać się podstępów, poszedł z tem prosto do Gedymina i opowiedział mu szczerze niepokój szesnastoletniego królewicza, który będąc pod wpływem zawistnych związkowi Krzyżaków prawdopodobnie, przysyła pocichu wiernego przyjaciela, aby ujrzał oblubienicę, jaką jest w domowem zaciszu i prawdę mu o niéj doniósł. Gedymin wzruszył ramionami:

— A to niech idzie patrzeć, właśnie dziewczęta w stodole Wajżgantosa święto obchodzą — odparł, i pysząc się urodą córki, sam natychmiast zaprowadził tam tajemniczego posła.

Wracając, Gedymin miał ochotę spytać go, co też królewiczowi powie, a wtem z bocznych drzwi zamkowych wyszło przeciw księciu kilku poważnych panów, przybyłych na czele poselstwa i jeden z nich, wyraźnie zdziwiony tą poufną jakąś przechadzką Gedyminową z jednym z najmłodszych swych i najmniéj znaczących towarzyszów, spytał go żartobliwie, podczas gdy inni rozmowę poczynali z księciem:

— Ejże, ho ho, panie Horski, a toż waszmość, jak widzę, z panującym samym za pan brat jesteś?... tobieby raczéj nie zaś mnie tutaj na czele poselstwa stać...

Butowd wstrząsł się cały, usłyszawszy własne nazwisko, sądził w pierwszéj chwili, że do niego mowa.

a potem ze zdumieniem wpatrzył się w swego nieznanego przyjaciela, który czując na sobie to badawcze, niespokojne wejrzenie, zarumienił się jak dziewczyna, zakłopotał, ale natychmiast zbierając przytomność, odparł z uśmiechem:

— Nie, panie kasztelanie, to tylko przypadek szczęśliwy sprawił, gdyż za łaską boską oto znalazłem tu w tym młodzieńcu brańcu, ziomku naszym, imiennika, a bodaj czy nie krewniaka, boć to jest równie jak ja, Władko na Hordce Horski... i przez niego mam tu owo znaczenie...

— Czy tak?... a witaj że nam młody, nieszczęśliwy bracie!... — mówił ten i ów, serdecznie witając Butowda, o ile obecność Gedymina pozwalała; i w chwilę później Butowd był już z całem zaprzyjaźniony poselstwem, i gdy starsi panowie w głębi zamku naradzali się z księciem Gedyminem, Butowd opowiadał młodszym swoje i swéj siostry dzieje i wypytywał o Hordkę i o rodziców, Stacha i Zofią Horskich. Ale nie dowiedział się nic, gdyż Horscy zbyt świeżą i małoznaczną byli szlachtą, aby szerzéj i lepiéj znanymi być mogli; każdy zatem Butowda odsyłał po wiadomości do imiennika jego, pana Władka Horskiego, który sam jeden mógł go najlepiéj objaśnić, lecz ten znów ze swéj strony wywijał się i wykręcał jak piskorz, unikając nie wiedzieć czemu nazbyt dokładnych wyjaśnień. Dziwiło to i smuciło okrutnie Butowda i Baniutę, aż raz przydybawszy Horskiego, zaklęli go na miłość Boską i cześć szlachecką, aby im niepewnością serc nie rozdzierał, lecz szczerze wypowiedział, co myśli: mianowicie, czy nie

wie o Horskich z innego niż jego własne gniazda, lub czyli przypuszcza, że są oni wistocie sobie krewnymi.

— A otóż właśnie — odparł Horski — dla tego, aby wam serc nie rozdzierać próżnemi nadziejami, dla tego, że sam jako żywo pewny nie jestem tego, co myślę, przeto pozwólcie mi milczeć i nie pytajcie o nic, a pamiętajcie o jednéj rzeczy, to jest o tych krzyżykach na piersi u was wyrytych, bo wedle mego zdania, w tych to krzyżykach cała jest teraz wasza nadzieja i moja a przysięgam, że was serdecznie miłuję. I tak sobie umyśliłem, że wróciwszy do Polski zapytam wprost pewnéj matki, która dwoje dzieci utraciła przez Litwę: Uczyniłaś ty, matko, twoim dzieciom jaki znak na ciele, lub nie?... a co ona wtedy odpowie, to będzie o losie waszym stanowić...

— Prawdziwie też widzę, żeś nam życzliwy! — zawołał Butowd i serdecznie uściskał się z imiennikiem. A późniéj sam z Baniutą będąc, rzekł jéj:

— Baśko, siostro, wiesz ty, co mnie się zdaje?... oto, że ten Horski chyba sądzi nas rodzonymi swymi?... a może tak jest? może on własnéj matki chce o znaki owe pytać?

— Takbym i ja myślała — odrzekła — zwłaszcza z téj przyczyny, że w żaden sposób dowiedzieć się od niego nie mogę, jak na imię jego rodzicom... czy tylko nie Stach i Zofia?... Ale, jeżeliby on miał być nasz brat, to chyba młodszy, boć Jagna o nim nie wie...

— A nie... a od ciebie on młodszym być nie może... widzą oczy... — zauważył Butowd frasobliwie.

— Otóż to — smutno potwierdziła — ale choćby

i był, to jakżeby być mogło, żeby słysząc od matki o zaginionem rodzeństwie, nie słyszał nigdy o tym znaku, jakim ona dzieci swe naznaczyła?...

— Prawda!... ot zacny człowiek, nie chce próżnych nadziei nam robić, bo prawdziwie mogą być próżne: nuż Jagna i my igraszką nieporozumienia jakiego i złudy jakiéjś jesteśmy... — smutno poszepnął Butowd, a Baniuta smutniej jeszcze pokiwała główką.

Podczas gdy para biednych brańców tak się naprzemian radowała i smuciła, Władko Horski zaraz na trzeci dzień po przybyciu do Kiernowa, zanim jeszcze do Wilna wyruszono wspaniałym pochodem, dopełnił obowiązku, dla którego głównie przybył do Litwy: oto, wezwawszy młodego hajduka, którego po to właśnie wziął z Polski z sobą, rzekł mu, dając własny oszczep, dar królewicza, na znak:

— Oto wypocząłeś cokolwiek, chłopcze, i pan kasztelan posyła do króla z wiadomościami o naszem tu przybyciu; jedźże i ty z tamtym posłańcem, a przybywszy na króla naszego Łoktka dworzec, idź do królewicza Kazimierza, oddaj mu ten oszczep i rzeknij te słowa: „Władko Horski pozdrawia was, królewiczu i powiada wam, bądźcie dobréj myśli, bo złość i zawiść kłamliwy a bezczelny mają język.”

Kazawszy sobie po kilkakroć powtórzyć te słowa, Horski wyprawił z niemi posłańca swego do królewicza, nie mogąc inaczéj zawiadomić go, że przerażające o Aldonie plotki kłamliwemi były; nie mogąc głównie dla tego, że sztuka pisania obcą mu była.

W kilka tygodni późniéj Złota i Jagna, obie

w bieli mężatek i z twarzami starannie zakrytemi. wśród głębokiéj nocy wyjechały pod opieką Butowda i tych samych dwóch sług, których to wilki zarówno jak Butowda pogryzły, i oczekiwały w upatrzonem poprzednio odludnem miejscu w szałasie, wśród puszczy; aż gdy Aldona, jawnie i wspaniale wyruszywszy z Wilna z Baniutą i Witginsową, przejeżdżała przez ową puszczę, jadąc już prosto do Polski w świetnym panów polskich orszaku, a za nią szło, błogosławiąc ją, 24,000 brańców... wtedy, także wśród nocy, pocichu, Złota i Jagna wsiadły do jéj kolasy, a Butowd z towarzyszami przyłączył się do orszaku i pojechano daléj.

Po długiéj, miesiące trwającéj podróży, gdy nareszcie Kraków świetnemi uroczystościami i nabożeństwem obchodził przybycie i chrzest przyszłéj swéj królowéj, a Polska powrót 24,000 swéj zbiedzonéj dziatwy, była także wielka radość i uroczystość w skromnéj wiosce pod lasem, zwanéj Hordką, aczkolwiek obchodzono tam tylko powrót z poselskiéj podróży jedynaka syna, Władka. Po pierwszych uściskach, pani Zofia na gwałt chciała zająć się sutą ucztą, ale syn zawołał, całując jéj ręce:

— Oj nie, matko kochana, przejeżdżając widziałem nabożeństwo, odprawiające się w kościele, śpieszmy, jeżeli łaska, a może jeszcze choć na ostatek zdążymy, aby podziękować Bogu, że was w zdrowiu, i ojca, i dziada, oglądam.

— Jedźmy — rzekł dziad — jedźmy prosić Boga, aby błogosławił dobre dziecko.

I pojechano, śpiesząc co siły, przyjechano. po-

modlono się serdecznie, a gdy już miano wychodzić, Władko położył rękę na ręku matki i głośno spytał:

Na imię Boga, proszę ciebie matko, przypomnij sobie, czyś ty dwojgu twéj zaginionéj dziatwie nie uczyniła jakiego znaku na ciele?

Na tak niespodziane zagadnienie, wstrzęsła się matka, zadrżeli ojciec i dziad, wlepiając w nią oczy, domyślając się celu pytania:

— Czym nie zrobiła? — trzęsąc się cała, z wlepionemi w syna oczami, matka odrzekła — otóż zrobiłam właśnie i nieraz myślałam o tem, zrobiłam... ale nie wiem czy późniéj znak ten był widoczny...

— A jaki? jaki znak? — pytał Władek.

— Uczyniłam im po maleńkim krzyżyku nakłótym i zielem napuściłam na piersi... — ledwo słowa te wyszły z drgających ust matki, gdy krzyk się ozwał w pobliżu i dwoje młodych ludzi, klęczących tuż obok, upadło do nóg państwa Horskich... za nimi klęczała łkając głośno Jagna... Nie zachodziła najmniejsza wątpliwość, że dwoje zaginionych dzieci odnalazło się.

Zbyt trudno byłoby opisać, jak wielkie szczęście, jaka radość zapanowały w Hordce od téj chwili; zaprawdę trzeba było mieć siły owoczesnych ludzi, aby znieść taki ogrom radości. A gdy po wielu tygodniach i miesiącach uspokojono się trochę i przyzwyczajono do szczęścia, to nowa radość nastała, gdy Władek-znajdek, jak sam siebie żartując nazywał, przyszedł raz do dziada i rodziców, trzymając Baśkę-Baniutę za rękę i zapytał.

— Ojcowie drodzy, przywiodłem wam córkę do chaty, tak jak to wam niegdy ów ksiądz w Krakowie obiecał... a no, nie bylibyście też łaskawi oddać mi jéj napowrót... na żonę?...

Dziad i rodzice odpowiedzieli tylko radosnym uściskiem; potem wyprawiono huczne wesele, i szczęście na długie wieki osiedliło się w Hordce pod lasem.

XXIV.

— Héj Chwast! Chwast!... a spojrzno, bo młode masz oczy, co to czerni się tam w polu daleko, jakby na drodze? Swój, czy cudzy? Czy tylko, nie daj Boże w złą godzinę wymówić, nie Tatar albo Litwin znowu nadchodzi, podpatrzywszy, że u nas po weselisku niedawno jest, to może nieład się zakradł, a ludzie pospali? — tak wołała pewnego ranka przed wschodem słońca jeszcze Jagna, stojąca na progu domostwa w Hordce i podejrzywająca Tatara lub Litwina w każdym cieniu nieledwie, jaki gdzieś tam pod lasem zamajaczył, i nic dziwnego: pamiętała nieprzyjaciela, bo też dał jéj się dobrze we znaki. Chwast, nie ów stary, mąż Jagny, z nią jednocześnie w niewolę wzięty, bo ten zmarł, jak wiadomo, w téj niewoli, lecz syn jego i Jagny rodzony, w kwiecie wieku dzisiaj będący, wierny sługa Horskich, wybiegł na matki wołanie ze stajni, gdzie konie mimo wczesnego ranku już opatrywał, i usilnie jął patrzeć młodemi oczami we wskazaną przez matkę stronę.

— Czerni się, bo czerni, i rucha, bo rucha —

rzekł po chwili pilnego przypatrywania — a no wtem rzecz, co to jest?... i bajka to, żeby moje oczy lepsze były od matusinych dla tego, że młodsze; z oczami tak jest, jak i z rozumem. Strona ta uboczna, więc przejezdnych mało; goście, krewni i znajomi tylko co na weselu byli i ledwo się rozjechali, nie wszyscy nawet, więc to nie gość; zatem kto? Wilcy dużą gromadą, albo Litwini, czy też Tatar! Matusiu, co robić?...

— Idź żywo zbudź pana starego, pana młodego i panięta— poradziła matka Chwastowa Jagna. Chwast znikł natychmiast w sieni dworca, a w krótką chwilę potem zjawił się na ganku pierwszy dziad Hordka, takiż sam, jak przed laty, żwawy, bystry, i wyprostowany, tylko chudy i suchszy znacznie; najoczywiściéj lepianka cielesna nie mogła dotrzymać duchowi, więc choć potężna, choć choróbsko nie śmiało jéj się czepić, ani zdołało ukąsić ją zmartwienie, przecież zużywała się powoli sama przez się, a raczéj więdła i schła naturalnym sposobem jak roślina, która już kwitła i owoc swój wydała, a teraz wedle praw przyrody wątleje, więdnie i schnie, ku użyźnieniu powłoką swoją matki-ziemi. Starzec spojrzał pod las i rzekł dźwięcznym jeszcze głosem:

— Nie wilcy... bo nie takim ruchem wilcy chadzają... Nie Litwin ani Tatar, bo jeden i drugi nie głupi byłby ukazać się tak zdaleka w szczerem polu, mogąc podejść bliżéj tam ot zaroślami i tu ot tym jarem... zatem, ani to zwierz, ani wróg, ani znajomy, bo tacy dopiero byli i jeszcze są, jeno musi być przypadkowy gość; zatem żwawo zakrzątnąć się koło przyję-

cia, żeby było co położyć na głodny ząb ludziom i koniom!..

Młody pan i „panięta", Władko-znajdek i Władko-Butowd, wybiegłszy w ganek tuż za dziadem, pobiegli teraz napowrót wraz ze służbą wypełniać jego rozkazy i zarządziwszy co należało, ukazali się znów w ganku w dobre dwa pacierze, w sam czas ku pomocy dziadowi w przyjmowaniu gości. Gość, właściwie był jeden nadspodziewanie znajomy, gdyż był to ten sam młody dworzanin królewski, pan Przyjemski, który już przed dwoma laty w Hordce się zjawiał, przyprowadzając Władkowi-znajdkowi całkowity wojenny rynsztunek wraz z rumakiem w darze od królewicza. Inni byli to jacyś ludzie nędzni i zbiedzeni dziwnie, choć powaga patrzała im z oczu, czem zdziwieni gospodarze, tem prędzéj posadzili wszystkich za stoły, mówiąc uprzejmie:

— Jedźcie, pijcie, mili goście, gdyż daleką i uciążliwą, zda się, musieliście podróż odbywać.

Ale na to odparł, wpadając w słowo, pan Przyjemski:

— Tak to jest prawdziwie, że towarzysze moi z dalekiéj i uciążliwéj przybywają podróży, a że w ich to właśnie sprawie i ja przybywam tu z rozkazu miłościwego królewicza naszego, a z pozwolenia króla Łoktka, przeto pozwólcie mili gospodarze, abym sprawę tę wypowiedział i rozkaz królewicza spełnił, zanim będę jadł pił pod waszym dachem:

Natychmiast wszyscy powstali za pana Przyjem-

skiego przykładem, zrozumiawszy, że jakaś wola królewska ma być wygłoszoną, a ów dworzanin tak mówił:

— Ludzie ci oto, których tu przywiodłem, są litewscy brańce, którzy za królewiczową miłościwą naszą Anną z Litwy przybywszy, tacy są nieszczęśliwi, że na własnéj ziemi ani krewnych ani kąta rodzinnego odnaleźć już nie mogą, gdyż dziećmi małemi w niewolę zabrani byli, i przeto teraz, tułają się smutni i doszło to do króla Łoktka i do królewicza Kazimierza, który to usłyszawszy, tak powiedział: „Cudzą niedolę sercem odczuje ten tylko, kto sam podobnéj zaznał. Idźcież wy ludzie do Horskiego Władka, we wsi Hordce, który teraz żonaty jest z miłą drużką żony naszéj Anny i proście go, aby wam dał u siebie dwadzieścia lat woli braterskiem sercem, tembardziéj, że nie wiadomo jest nawet, czy wy ludzie nie jesteście potomkami zasłużonéj szlachty. Aby zaś Władko Horski, ten, który jako słyszymy sam się dziś Znajdkiem nazywa, miał was gdzie pomieścić, ile że sobie pono brata z Litwy przywiódł, a Hordka krwią dziada zdobyta nie starczy, tedy nadajemy temuż Władkowi znajdkowi Horskiemu i jego potomkom, póki ich starczy, ziemię i młody las sąsiedni za wsią Hordką, zwany Polanką z racyi, iż tam niegdy był wszędy las i wycięto go, i znowu porasta, które to nadanie z pozwoleniem najmiłościwszego króla Łoktka, ojca naszego, pieczęcią jego stwierdzonem jest, a uczynionem zostaje tak w dowód pamięci naszéj, za oddane nam już przez Władka znajdka Horskiego usługi, jak i w zakład tych, jakich ojczyzna odeń w przyszłości oczekuje...”

To powiedziawszy, wyjął pan Przyjemski z zanadrza i podał Władkowi znajdkowi pargamin, wielkiemi literami zapisany, z ogromną wiszącą u niego na wosku wyciśnioną pieczęcią...

— Zaprawdę, wielkie brzemię królewicz miłościwy na mnie wkłada! — z zapałem Władko znajdek zawołał — boć całe, by najdłuższe życie i zasług najpełniejsze nie starczy, bym odwdzięczył się należycie za łaskę jego i królewską jego o nas pamięć, za którą, tak mniemam, należy mi chyba zaraz bieżać i do nóg upaść miłościwym królowi i królewiczowi naszym?...

— Słusznie mówisz — dodał Staśko ojciec — ale nietylko tobie lecz i nam wszystkim uczynić to trzeba, gdyż królewicz miłościwy darem swym udarowywa również i brata twego, zwiększając w dwójnasób wasze dziedzictwo, a także raczy w uprzejmości swéj królewskiéj pana ojca zasługi wspominać, i w dodatku jeszcze drużkowstwo mizernéj Baśki naszéj z miłościwą królewiczową swoją pamiętnem czyni. Zatem wszystkim nam należy bieżać i upaść do nóg staremu naszemu królowi panu, bodaj już tylko za to, że nam takiego króla daje i królewiczowi za to, że w młodzieńczych latach już umie ojcem być ludowi swojemu. A no tymczasem, Władku, ty, któremu „znajdkiem” spodobało się nazwać, ugość ty sam gości twoich, boć twoimi oni są, ale pamiętaj, że choć oni u ciebie na twoim łanie osadnikami będą, to zawsze nie wiadomo, czyli ojcowie ich krwią własną nie kupili już dla nich klejnotu!...

Podszedł zatem Władko znajdek do smutnych gości i każdego po bratersku uściskał i dopiero za stół

posadził, prosząc o braterską sąsiedzką przyjaźń w przyszłości; zaczem wszyscy zasiedli, dworzanina, jako posła królewskiego, na picrwszem dziadowem posadziwszy miejscu, i posilali się na wpół ze łzami z początku, bo smutni goście, zapytani o swą przeszłość, opowiadać ją musieli, a tego bez łez słuchać nie było sposobu: nie każdemu to zdarzyło się tak, jak Butowdowi, zostać ulubieńcem litewskich młodych kunigasów w niewoli, a wiadomo, że podówczas „orało się w niewolników.”

Niedaléj jak w trzy dni póżniéj, opatrzywszy i objąwszy w posiadanie Polanę Znajdkową, jak ją nazwał nowy dziedzic Znajdek-Horski, i wyznaczywszy na niéj działy osadnikom, cała rodzina Horskich, dosiadłszy koni, ruszyła do Krakowa i na Wawel prosto. Tam doznali niespodziewanego trochę, acz tem serdeczniejszego przyjęcia, bo królewiczowa, więżona przepisami dworskiéj przystojności, tak zwanéj dzisiaj etykiety na wawelskim zamku, nieledwie jak szczygieł w klatce, ujrzawszy z okna ukochaną Baniutę, wydarła się poprostu siłą nieledwie, otaczającym ją i załamującym ręce z wielkiego zgorszenia paniom dworskim, z wielką mistrzynią na czele, i zbiegłszy jak sarna wśród zdumionego dworu, skoczyła na szyję towarzyszce „młodych dni” swoich, na środku zamkowego dziedzińca.

Baniuta-Baśka, pomimo, że wychowana w litewskiéj swobodzie, jednako z królewiczową, i późniéj dopiero ucząca się panieńskiéj przystojności pod matki szlachcianki rygorem, przecież z natury szlacheckiéj

inaczéj usposobiona, przyjmowała zmianę i zastosowywała się do niéj daleko lepiéj i łatwiéj: owszem, smutna i przygnębiona w Litwie, nawet wtedy jeszcze, gdy się córką Witginsowéj mniemała, teraz dopiero zyskała młodzieńczą swobodę, a przygnębienie zamieniło się u niéj w powagę, jakiéj pod owe czasy od panien, zarówno jak od niewiast zamężnych, koniecznie w Polsce zwyczaj wymagał. To też zdumiały się niesłychanie poważne panie dworskie, przekonane, że ujrzą litewskiego „dzikusa", gdy młoda pani Horska w chwilę późniéj w ich towarzystwie zachowywała się, może nie zupełnie wedle drobiazgowych dworskich prawideł, boć nie na królewskim dworze wychowaną była, lecz przecież z tą powściągliwą, pełną powagi skromnością, która zawsze i wszędzie jest na swojem miejscu. Wkrótce spostrzegły panie, że Baśka miała nawet pewną przyjacielską serdeczną przewagę nad królewiczową, i tą obecnie powściągała czasami nieznacznie jéj burzliwy temperament, miarkując mimowoli prawie jednem spojrzeniem lub poszepniętem w porę słówkiem, zbyt żywe wyskoki dawnéj Kunigasówny. Zaraz też wielka mistrzyni królewiczowéj przy sposobności powiedziała do pani kasztelanowéj, zaufanéj swéj przyjaciółki:

— Ot zlękłam się, usłyszawszy, kto przyjeżdża, że to będzie jakoby niby znowu wicher niesforności na naszą miłościwą młodą panią powiał z jéj stron litewskich, aż tu wcale co innego...

— Inna krew, szlachecka krew, boć zresztą jednako przecież chowane — wytłómaczyła pani kasztelanowa.

— Otóż tak musi być i dlatego właśnie myślę, czyliby nie dało się zużytkować téj przyjaźni!... dla dobra miłościwéj królewiczowéj... — szepnęła wpół do siebie ochmistrzyni, i przekonana teraz, że królewiczowa może tylko korzyść odnieść z towarzystwa Baśki, dozwoliła przecież młodéj pani usunąć się trochę wraz z przyjaciółką od towarzystwa pań dworskich, w którym to celu królewiczowa zrazu napróżno manewrowała.

— Ha, cóż się stało, że te sztywne bocianice przestały na chwilę nadeptywać mi na pięty! — zdziwiła się natenczas Aldona-Anna, wywiódłszy Baśkę na mały krużganek i spostrzegając, że nieodstępne od niéj dworskie panie pozostały wraz z ochmistrzynią w przyległéj sali, przez któréj rozwarte drzwi szerokie mogły widzieć dwie przyjaciółki, ale nie przeszkadzały przecież poufniejszéj rozmowie. I zaraz korzystając z tego niebywałego wypadku, zaczęła królewiczowa żalić się i rozżalać aż do łez rzewnych nad teraźniejszem życiem swojem:

— O, gdzieżeście mi uleciały, wy młode moje dni —mówiła pocichu płacząc, a skrywając się z tem przed pozostałemi w głębi sali świadkami — toż niewola tutaj prawdziwa, nie tańczyć mi już na łące topora ani jaskółki, ani za turem w puszczę z pałką w ręku pogonić, ani muzyki pięknéj usłyszeć, téj naszéj, co to gdy zagrzmi w boru, to dziki z legowisk na całe mile wystrasza; tu wszystko jakieś nijakie; jak na polowanie jedziesz, to jak na żarty, jak tańcujesz, to ledwo się ruszasz; a muzyka, jak dla myszy; ni tu wykrzyknąć

głośno na ochotę, ni się zaśmiać, aż echo odpowie, ni zapłakać serdecznie, ze wszystkiem się trzeba miarkować, wszystko w sobie taić i ukrywać i każde ruszenie stosować do przepisu, bo ot cała czereda owych tam pań chodzi za mną, nie spuszczając z oka, z nieustannem gęsiem niby gęganiem „miarkuj się wasza królewiczowska mość, nie przystoi to dostojeństwu waszéj królewiczowskiéj mości...” O... już mi uszy spuchły od gęgania!...

Wten sposób zacząwszy, biadała Litwinka, wtem nagle spostrzegłszy, że takie wygadywanie na polski obyczaj może być przykrem Baniucie, która Baśką szlachcianką się stała, rzuciła się jéj na szyję królewiczowa, przepraszając za żale i narzekania swoje, aż nagle krzyknęła:

— A Złota!.. wiesz ty co ze Złotą dzieje się!..

— Wtem weszło pacholę szlacheckie, zapraszając panią Horską do królowéj Jadwigi. Poszła Baśka, złączywszy się po drodze z rodziną swą, która czekała w sali poczekalnéj. Zamek krakowski na Wawelu był jeszcze drewniany po ostatniem w czasie zaburzeń spaleniu, a na Łoktowym dworze, pomimo żalów królewiczowéj na zbytnie skrępowanie, nigdy w rzeczywistości nie panował ów obrzędowy i urzędowy ceremoniał, utrudniający na innych zbliżenie poddanych do monarchy; tu zbliżano się prawdziwie, jakby dziatwa do ojca; na przyjęcia obcych posłów i tym podobne wypadki pozostawując dworską wystawność i obrzędy.

Oboje królestwo w purpurze zrodzeni, ale z woli Bożéj doświadczani w długiem tułactwie, król po jaski-

niach goniony, królowa przechowywana z litości u biednego mieszczanina, nigdy nie zapomnieli ciężkiéj przeszłości i wyrytą ją mieli na pooranych, zestarzałych przedwcześnie twarzach. Jedno tylko było dla tych państwa życia osłodą, a to wzajemna miłość i przyjaźń prawdziwa w młodocianych latach zawarta, któréj ślad pozostał w starych dokumentach, dowodzących, że ta królowa Jadwiga wielkopolska kaliska sprawowała zarówno z mężem prawne królewskie czynności, zupełnie jakby jedność z nim stanowiła.

I teraz król i królowa siedzieli razem, bez dworskiego otoczenia prawie, sami, bo córka Elżbieta już od sześciu lat była żoną króla węgierskiego, a królewicz Kazimierz polował w Łobzowskich lasach z towarzyszami, ale bez królewiczowéj, któréj towarzystwa w takich razach unikał, ponieważ za pierwszą próbą zraziła go i zawstydziła wobec otaczających dworzan gwałtownem do szału oddaniem się téj rozrywce; nie wiedział czy też nie chciał wiedzieć, że młodéj Litwince zdało się wtedy na chwilę, iż znowu buja z braćmi po Kiernowskich lasach, goniąc pociskiem za dzikim rozszalałym żubrem. Królestwo starzy byli zatem sami na zamku w téj chwili i przyjęli nieledwie po rodzicielsku starego rycerza, dziękującego za łaski i przyprowadzającego im troje wnucząt na wierne gotowych usługi. Krótka a serdeczna była rozmowa i miano coś więcéj mówić, lecz weszli panowie z dokumentami do rozwagi i podpisu królewskiego, więc król rzekł:

— A resztę niechaj Komornik nasz załatwi. — Komornik czyli Komorzy był to urzędnik, zarządzają-

cy pokojami, sprzętami i domowemi sprawami; ten natychmiast resztę sprawy załatwił, która była taka, aby każdy odpowiedni swemu stanowisku podarek pamiątkowy od królestwa otrzymał. A wtem, kiedy już wszyscy do miasta na noc wróciwszy zamierzali na spoczynek się udać, wszedł do ich gospody dworzanin zapraszając obu młodych braci Horskich do królewicza, który właśnie już z łowów powrócił i dowiedział się o ich do Krakowa przybyciu.

Poszli tedy Władko-Znajdek z bratem nieznanym jeszcze królewiczowi, ten przyjął ich po bratersku nieledwie, siadłszy z nimi za stół w swojéj komnatce i postawiwszy dzban miodu, rzekł:

— Owoż, jest tu do was i sprawa, jaką niewiasty już od południa uprząść zdążyły, a to taka: ma królewiczowa jejmość jeszcze jedną drużkę ukochaną, prócz waszéj żony i siostry, a ta panna wielce pobożnych obyczajów, otrzymawszy tutaj chrzest święty, w ręce kapłańskie złożyła śluby zakonne, jako od dziecięcych lat poświęcona na służbę Bogu, acz o pogańskich to bóstwach myśleli ci, którzy wówczas ją poświęcali. Pannę tę własna matka poganka rada była z Litwy wysłać, chroniąc przed zemstą ojca poganina i krywejtów, gdy pogańskim bogom służyć nie chciała; a oto umarł już i pogański ten ojciec i wejdylota stary, ten, który pannę tę w zamku Pullen w starożytnéj świątnicy wychował wespół ze starą wróżką; inni ludzie, nawet wejdyloci, nie znają prawie téj panny, która w podziemiu ciemnem u pogańskiego ołtarza życie wiodła, i cały gwałt, jaki o nią czyniono, już tam przycichł z czasem,

i nawet matka rodzona wie już teraz, że córka Bogu chrześcijańskiemu służy i zezwala na to, byle znów mieć dziecko jedyne przy sobie, gdy niebezpieczeństwo jéj tak jak przed dwoma laty nie grozi. Zatem chce ta Boża służka teraz do Litwy wracać, w Wilnie zamieszkać, i święcie acz tajemnie dochowując ślubów swoich, szukać sobie zwolna towarzyszek między pogankami, czyniąc tak ku rozszerzeniu wiary świętéj na chwałę Boską i ku zbawieniu ich, jak to czynią już zakonnicy nasi, mieszkający i pracujący w Litwie pod nieustanną grozą pogańskiéj zemsty. A no żeby odwieść panienkę ową na dworzec Gedyminowy, gdzie jéj matka zostaje, na to potrzeba rycerza pewnego, i roztropnego, znającego litewski kraj i obyczaj i przeto ujrzawszy was dzisiaj, tak sobie to z paniami swemi królewiczowa umyśliła, że tym rycerzem będziesz waszmość, panie Horski-znajdek, a wasza jejmość, pani Baśka, zostanie tymczasem na naszym dworcu, ku uciesze królewiczowéj, stęsknionéj za towarzyszką.

Tak mówił królewicz, a młodemu, dopiero co przezeń uposażonemu szlachcicowi, pozostawało jeno gotowość swą na królewskie rozkazy oświadczyć, co też uczynił. Nie w smak była wszystkim Horskim wola królewicza, lecz rady na to co do Władka nie było, bo szlachcic każdy na to był szlachcicem, aby służył państwu i królom swoim; inna rzecz wszakże była ze szlachciankami, i stary dziad Horski odrazu sprzeciwił się układom co do Baśki. Nazajutrz zaś poszedł prosto do króla Łoktka i przełożył mu, że Baśka nie powinna na królewskim dworze rozkoszy zażywać, gdyżby

zapomniała drobiu hodować i koło warzywa chodzić, a piwo warzyć i łapcie szyć, ku czemu w miernym swoim „staniku" jest przeznaczoną. Król Łoktek uśmiechnął się i przyznał słuszność staremu.

Tak więc nie doznała biedna królewiczowa i téj uciechy, jaką sobie umyśliła; Baniuta wróciła do Hordki z całą rodziną, bardzo z tego zadowolona, acz szczerze kochająca dawną przyjaciółkę. Władek-znajdek przecież musiał, żonkę u rodziców zostawiwszy, jechać znowu na Litwę, odwożąc Złotą, która jak zamierzyła, tak i osiadła cicho na uboczu w ukrytem wśród drzew domostwie w Wilnie, i pozostała rzeczywiście choć potajemnie najpierwszą w tem mieście zakonnicą, a towarzyszką jéj pierwszą była własna matka, która po tylu latach tęsknoty do jedynego dziecka, już mimowoli jéj tylko oczami widziała i po niejakim czasie dała się do chrześcijańskiéj wiary nakłonić, pociągnięta świętością życia ukochanéj córki. Późniéj, powoli, zaczęły się gromadzić około Witginsowéj córki inne dziewczątka, po większéj części sieroty pogańskie, które ona po cichu przed poganami w wierze świętéj wychowywała, lecząc przytem i pielęgnując chorych, pocieszając strapionych, przyodziewając ubogich.

Butowd wkrótce na najpierwszéj wojennéj wyprawie zasłynął z dzielności, tak jak słynął z niéj na Gedyminowym dworze, i Horscy, wiernie służąc ojczyźnie, rozsiadali się szeroko na bogatych swych łanach, szczęśliwi, mimo pełnego przygód i pracy życia. Dopiero w czternaście lat późniéj Baśka-Baniuta wylała pierwsze łzy gorzkie od powrotu swego na rodzinną ziemię,

a łzy te wywołała śmierć młodéj królowéj Aldony-Anny. Aldona umarła w Krakowie w r. 1339 bezpotomnie; umierając, przyciskała rękę do serca, a działo się to tegoż samego roku, i w tejże chwili podobno, w któréj ukochany jéj ojciec, Gedymin W. książę litewski, upadł przeszyty strzałą z kuszy przy oblężeniu Wielony.

Ulubiona Gedyminowa córa „zwiędła jak ruta, przesadzona w grunt niewłaściwy.” Kroniki polskie zapisały o niéj: „Niewiasta zacna, miłosierna, przychylna i posłuszna mężowi, ale obok tego lubiąca żywe i huczne uciechy, właściwe jéj narodowi.”

KONIEC.